Wszystko dla pań

EDNA O'BRIEN

DOM ZAPOMNIENIA

AMBER

EDNA O'BRIEN

Edna O'Brien jest zaliczana do najwybitniejszych współczesnych pisarek tworzących w języku angielskim. Wydała siedemnaście książek, m.in. znane już polskim czytelnikom: **Dziewczyna o zielonych oczach** (1973), **Czekając na miłość** (1974), **Grzesznica** (1979), a także **Time and Tide**, za którą w 1993 roku została wyróżniona nagrodą Guilda.

Pisarstwo Edny O'Brien jest pełne kontrastów w jej powieściach psychologia przepłata się z pasjonującą akcją, najprostsze wybory prowadzą do sytuacji bez wyjścia, a subtelności prozy kryją emocje i uczucia o sile rzadko spotykanej we współczesnej literaturze.

DOM ZAPOMNIENIA

Irlandia. W położonym na odludziu zaniedbanym wiejskim dworze mieszka wdowa Josie. Doświadczywszy w życiu gorzkich rozczarowań w samotności rozpamiętuje niewykorzystane szanse i stracone złudzenia. Jednak gdy w jej domu przypadkowo znajduje schronienie groźny terrorysta McGreevy, Josie staje przed koniecznością wyboru, który może kosztować ją życie. W targanym wewnętrznymi sprzecznościami kraju, gdzie patriotyzm i przemoc są pojęciami nierozerwalnymi, żadne rozwiązanie nie wydaje się do końca słuszne...

ISBN 83-7169-116-5

Cena det. zł 16,40 (164 000,-)

AMBER

EDNA O'BRIEN

DOM ZAPOMNIENIA

Przekład
Danuta Czyżewska

AMBER

Tytuł oryginału
HOUSE OF SPLENDID ISOLATION
Ilustracja na okładce
JOHN HAMILTON
Redakcja merytoryczna
MIRELLA REMUSZKO
Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI
Korekta
ELŻBIETA TYMIŃSKA
Copyright © 1994 Edna O'Brien
For the Polish edition
Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o
ISBN 83-7169-116-5
Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
Warszawa 1996. Wydanie I
Druk: Wojskowa Drukarnia w Lodzi

„Albowiem św. Patryk wygnał tylko jadowite robaki, a ludziom pełnym jadu pozwolił dalej zamieszkiwać tę ziemię; lecz błogosławiony geniusz Jego Królewskiej Mości wygna z niej te wszystkie pokolenia żmij i uczyni ją niebawem naprawdę szczęśliwą wyspą... „

Sir John Davies
(Prokurator Królewski Irlandii)
do Lorda Salisbury, 1606

„Złapaliśmy zbrodnię za gardło”.

Lloyd George
po wysłaniu Czarno-Brunatnych *
do Irlandii w 1920

* Czarno-Brunatni (ang. Black and Tans) - specjalne brytyjskie oddziały wojskowe, utworzone w celu zwalczania irlandzkich ruchów narodowościowych, nazwane od kolorów ich mundurów.

Dziecko

Historia jest wszędzie. Wsiąka w ziemię i wnika w nią. Jak deszcz albo grad, albo śnieg, albo krew. Dom pamięta. Szopa pamięta. Naród rozmyśla. Ta opowieść ma różne oblicza, w zależności od opowiadającego.

Miejsce to nie jest podobne do żadnego innego miejsca na świecie. Jest dzikie. Dzikość. Rzeczy odkrywają moją obecność. Przyglądam się im uważnie. Buraki oblepione gliną. Ciemne przedmioty. Jasne przedmioty. Kamienie. Kamienie spoiste, zwarte, kamienie przezroczyste. Słyszę jakieś wiadomości. Przenosi je wiatr. Kiedy wieje i kiedy cichnie. Muzyka, nie zawsze porywająca, nie zawsze smutna, czasami dźwięczna. A potem milknie. Cisza. Pytam muzyki, czy odeszłaś, czy odeszłaś? Słyszę opowieści. Być może snuję je sama, albo robią to szepty dochodzące z ziemi. Ziemia jest taka stara, nawiedzana przez duchy, taka głodna, a jednocześnie nasycona. Mówi. O tym, co minęło i o tym, co się jeszcze wydarzy. Bitwy. Coraz więcej bitew, przelew krwi, łagodne poranki, wędrówki dzikich zwierząt z młodymi. Chcę, żeby już nigdy nie toczono żadnych bitew, żeby się to skończyło raz na zawsze. Właśnie o to się modlę, kiedy się modlę. Czasami trawa oddycha jak człowiek, słychać delikatny oddech,

Teraźniejszość

„**Ś**winie... świnie... świii... nie” - powtarza w kółko z każdą możliwą w jego warunkach intonacją, a kiedy to mówi, żaden mięsień nawet nie drgnie, a z ust nie wydobywa się żaden dźwięk, prawie nie oddycha, skulony w zagłębieniu w drzewie, w które kiedyś uderzył piorun; jak w kołysce i w trumnie, płód i trup jednocześnie. Świnie. Angielskie świnie, świnie z Wolnego Państwa *, wszyscy jednakowi.

* Wolne Państwo Irlandzkie (ang. Free State) - utworzone w 1921 roku, w południowej części Irlandii, państwo o statusie dominium, zależne od Wielkiej Brytanii.

Przeszukują, omiatają światłami reflektorów. Helikopter unosi się w górę z jakąś potworną zawziętością, przesyłając mu swoje wyrazy współczucia: Mamy cię, bracie... Teraz już cię mamy. Światła reflektorów szydzą z niego wściekle nad polami zasnutymi mgłą. Nie znajdą go. Tym razem nie. Ma dziewięć żyć. Pewna wróżka powiedziała to jego matce. Zostały mu jeszcze trzy. Z chrzęstem wciska się coraz głębiej w drzewo. Na szczęście nie zwichnął nogi w kostce ani jej nie złamał, kiedy wyskakiwał. Wyskoczył w biegu z furgonetki, nic nie powiedział swoim towarzyszom. Wszyscy wiedzieli. Gra była skończona, przynajmniej ta część gry była skończona. Jakiś samochód śledził ich od chwili, gdy wyszli z domu. Ktoś ich wydał. Kto? Pewnego dnia dowie się tego, a wtedy wszystko mu wygarnie. Przyjaciele

okazują się zdrajcami. Dlaczego? Dlaczego? Dla pieniędzy czy po prostu mieli pietra. Ci, którzy wydali, ci, co zdradzili, zasłużyli na śmierć, powinni umrzeć, powinni zostać wyrzuceni na śmietnisko jak zwierzęta. Świnie.

Przyjemnie pachnie trawa, po trzech miesiącach spędzonych w zamknięciu w jakimś domu w mieście, na nowo dostroił się do zapachu trawy i do zapachu świeżego krowiego łajna, i do cichych szeptów nocy, charakterystycznych tylko dla niej. Dobrze zna swój kraj, McGreevy zna, ale tylko w ciemności. Ciemność jest jego przyjaciółką. Światło dnia - wrogiem. Kto go wrobił? Komu może ufać, a komu nie? Kiedy ten pieprzony pilot śmigłowca zmęczy się już swoją błazenadą na niebie, on wyruszy w drogę, wzdłuż rowów, poprzez pola, w kierunku różowawej mgiełki wiszącej nad miastem. Okrąży je i dalej pójdzie w stronę Południa, słonecznego Południa. Odbędzie tę podróż, choćby nie wiem co. Jest samotnym graczem. To jego sprawa. Nawet jeśli miałaby być ostatnią. Warkot przybliża się i oddala, jak dźwięki słyszane w półśnie. Pieprzone głupki. Tylko marnują paliwo. Jego koledzy z furgonetki są już teraz tylko protoplazmą, dlatego też nie było czasu na czułe pożegnania. Wojna na niebie, wojna na ziemi i wojna w jego sercu.

Powtarza wierszyk, który dobrze zna, aby się uspokoić. To jego magiczna rymowanka, zawsze pomaga mu dotrzeć do celu, tylko że teraz te świnie jak żuk kręcą młynki na niebie, próbując go przestraszyć, aby zboczył z właściwej drogi.

- Tatuś przyjechał... tatuś przyjechał.

W jakim nastroju jest tatuś? Czasami poznają to po trzaśnięciu drzwiami samochodu. Czasami nie. Rory. Wchodzi do korytarza, mija żonę i idzie w stronę salonu, gdzie czeka już taca przygotowana do podwieczorku, z filiżankami, spodkami i plackami z jęczmiennej mąki.

- Czy przywiozłeś opał do rożna? - pyta Sheila.

- Nie przywiozłem.
- Prosiłam cię.
- Nie przywiozłem - powtarza i bierze kawałek placka, po czym odkłada go i pyta, kiedy będzie obiad.
- Nigdy nie zrobisz tego, co ja chcę, nigdy w życiu, tylko pytasz, kiedy będzie obiad.
- Żyjesz w dostatku - mówi Rory i pokazuje nowy dywan, zegar z kukułką, wypchany ozdobnymi przedmiotami kredens, antyki, wszystko to, za co zapłacił swoją przeklętą harówą i swoją sponiewieraną dupą. Kobiety. Towary. Szafy. Babskie ozdoby. Biżuteria. Forsa. Był taki czas, kiedy ta jej pazerność była sama w sobie czarująca, więc z każdej wycieczki, z każdej akcji, przywoził jej jakiś drobiazg. Kiedyś dał jej złotą fokę, którą wzięła za kaczkę, co rozśmieszyło ich oboje do łez, a ona zyskała w ten sposób przydomek Kaczuszka. Znajdowało się tu mnóstwo takich drobiazgów.
- Jak mam to przyrządzić? - pyta Sheila, która właśnie wróciła do salonu, trzymając w ręku zakrwawioną torbę z udźcem sarny, którą on ustrzelił miesiąc temu. Już ich mdliło od jedzenia sarniny. W niedzielne poranki Rory uwielbiał wstawać bardzo wcześnie i iść ze sztucerem do lasu, aby tropić sarny i jelenie i polować na nie. Nigdy nie wiedziała, czy wybierał się tam tylko dla czystego sportu, czy jeszcze z innych powodów, i nigdy go o to nie pytała. Istnieją rzeczy, o które nie pyta się policjantów, nawet jeśli się jednego z nich poślubiło. Toczyła się jakaś wojna, chociaż nikt głośno o niej nie mówił, toczyła się zrywami, młodzi mężczyźni przybywali z Północy, przybywali rabować banki i poczty, urzędniczki z położonych na odludziu placówek pocztowych drżały o życie, zwykli ludzie także bali się tych mężczyzn w kapturach, bez twarzy i z bronią.

Jeden z nich został zastrzelony na drodze, niedaleko stąd. Pisano o tym w gazetach, zamieszczono fotografię miejsca, podano szczegóły dotyczące użytej amunicji, pseudonim ofiary, a także jego towarzysza, który uciekł, porwał ciężarówkę z drewnem i trzymał kierowcę na muszce przez trzy godziny.

Wszyscy o tym wiedzieli, byli świetnie poinformowani i nieustannie o tym dyskutowali - na temat liczby wystrzelonych pocisków, kąta, pod którym strażnik* strzelał, rodzaju rany i czasu, po jakim ten człowiek umarł. * strażnik (ang. guard) - funkcjonariusz Straży Obywatelskiej (ang. Civic Guard), odpowiednik policji w Wolnym Państwie Irlandzkim.
Później strażnikowi przyznano medal za odwagę, jeden z nielicznych. Poznali go na proszonym obiedzie z tańcami i uścisnęli mu dłoń. Mężczyźni tacy jak on i jej mąż żyli ze świadomością, że coś podobnego może się wydarzyć i to sprawiało, że ciągle byli zdenerwowani, że obawiali się tajemniczych gości, a przed wyjazdem zaglądali pod samochód. Kiedyś zapytała Rory'ego, co by zrobił na miejscu tamtego policjanta, a on powiedział, że to samo, dokładnie to samo, bo to wojna na śmierć i życie - albo oni, albo my, on albo ja. Oczywiście na ogół życie toczyło się spokojnie i Rory czuł smak przygody jedynie w niedzielne poranki, kiedy wstawał o piątej rano i wyprawiał się do lasu, by upolować same. To wyrywało go z przygnębienia. Nienawidził swojego szefa i nienawidził drugiego strażnika z patrolu. Nazywano ich trzema mędrcami ze Wschodu. Mędrcy z malutkich koszar przygadujący sobie nawzajem. Sama, którą przyniósł do domu, pozostawiła na ścieżce cieniutką strużkę krwi. Sheila nie mogła o tym zapomnieć. Dzieci przyglądały się uważnie wielkiemu przedstawieniu, które Rory zrobił, kiedy ściągał skórę ze zwierzęcia, dzielił je na porcje i pakował w oddzielne torby, przeznaczone do zamrożenia. Dzieci pisały karteczki, ale nie były pewne, co jest co. Nie mogła się doczekać końca tego wszystkiego.

- Pytałam cię, jak mam ci zrobić to mięso - pyta Sheila, trzymając torbę oblepioną zakrzepłą krwią, co wydawało się jej makabryczne.

- Uduś je - odpowiada. Jest w podłym nastroju. Manus obsmarował go bezlitośnie przed inspektorem i zmarnował jego szanse.

- Nie musisz tak warczeć - zwraca mu uwagę.

- Nie warczę - mówi i patrzy na nią, a w jego spojrzeniu jest coś w rodzaju przeprosin. Dobrze, że chociaż Sheila jest szczupła. On codziennie toczył boje z przeklętą nadwagą, a teraz jeszcze dobijał go ten ząb.

- W tym wrzodzie przy trzonowym zębie znowu zbiera się ropa - stwierdza i stuka w niego palcem z pierścionkiem. Był to pierścień z Claddagh*, który dostał od niej. Kiedy go zakładał na palec, przyrzekał, że nigdy daru nie zdejmie, że zawsze będzie go miał przy sobie, wszędzie, bez względu na wszystko, i miał, przez całą wieczność.

* pierścień z Claddagh - pierścionek w kształcie serca w koronie, jakim narzeczeni obdarowują się nawzajem w dniu zaręczyn, często przekazywany z pokolenia na pokolenie. Sztuka jego wykonania została przywieziona do Irlandii z krajów Maghrebu. Nazwa pochodzi od miejsca produkcji - miasteczka Claddagh w pobliżu Galway (aktualnie dzielnica Galway).

- Co Manus tym razem knuje? - pytał, łagodniejąc nieco. Wszystkie te ich kłótnie były zupełnie bez sensu, mieli przecież ładny dom, nie brakowało im jedzenia, dzieci były zdrowe, a każdy, kto przyszedł do nich w odwiedziny, zachwycał się przepięknym widokiem za oknem. Proponowali gościowi wtedy lornetkę, mówili, żeby popatrzył na jezioro - na kamienne klasztory i kaplice, na wyspy, na przycumowane po drugiej stronie mieszkalne łodzie, przeważnie białe.

- Utknąłem... Utknęliśmy... Przez Manusa.

- Skąd wiesz?

- Bo czytałem protokół.

- I co było w nim napisane?

- Aa, zwykła gadka Manusa, że brakuje mi wyobraźni... Wyobraźnia... Zatrzymuję ludzi bez powodu... Jestem nieokrzesany... Nie lubią mnie.

- Jest nam całkiem dobrze... Uwielbiasz jeździć na wieś, chodzić do lasu i strzelać do saren... - powiedziała, przechodząc teraz na jego stronę i dając się ponieść wyobraźni. Powędrowała wraz z nim wczesnym rankiem w kierunku lesistych ścieżek biegnących u podnóża

sinych gór i zanurzyła się w atmosferę jego samotnych eskapad; wilgoć wisi w powietrzu, z młodych i starych drzew ściekają kropelki rosy, zdziwienie, kiedy pojawiają się te dumne istoty, dwie albo trzy, i stoją bez ruchu, a potem padają strzały, jedna z nich zwala się na ziemię, a pozostałe znikają jak dym. Kiedyś, gdy leżeli w łóżku, opowiedział jej o tym i podobało jej się to, jego głos brzmiał wtedy zupełnie inaczej, delikatniej, głębiej i jakoś prawdziwiej.

- Manus... Obmierzły typ.

Wiedziała, co miał na myśli. Wiedziała, że Manus miał z nim na pieńku od czasu, gdy on aresztował niewłaściwego człowieka za wysyłanie anonimów. Był pewien, że to tamten mężczyzna, tamten Anglik, który przyjechał tutaj wozem z przyczepą i zamieszkał w niej. Był pewien, że to on, z tym swoim końskim ogonem i kolczykami, piwem, które sam robił. Do pewnej kobiety ktoś wysyłał listy pornograficzne, jeden po drugim, odrażające. Rory sądził, że ma tego człowieka, na mur, tylko że okazało się, iż ma nie tego, co trzeba i za to porządnie go zwymyślano.

Nie odzywając się ani do matki, ani do ojca, Caimin przeszedł przez pokój i włączył telewizor. Reklama środka przeciw łupieżowi przedstawiała żonę nieczułą na amory męża, któremu w chwilę później nie mogła się już oprzeć, ponieważ z jego włosów zniknął łupież.

- Cholerna bzdura - mruczy Rory i krzyczy do syna, żeby to wyłączył. Nagle cały jego świat, ten świat z Manusem, ten z lasem o poranku, ten z żoną, kiedy razem kładą się do łóżka, ten świat samotnych rozmyślań, kiedy rano żona już poszła do pracy, ten świat, w którym chodził do spowiedzi, wszystkie światy, które znał, zaczęły nagle wirować mu przed oczami.

- Jezu... Chryste Wszechmogący. - Rory wstaje i rusza przez pokój w stronę telewizora, aby upewnić się, że nie był to jakiś błąd, słuchając jednocześnie spikerki, która oschłym i pełnym obojętnej elegancji głosem mówi, że terroryście udało się zbiec, że wyskoczył z

jadącego samochodu i zniknął, mimo poszukiwań prowadzonych przy pomocy psów i helikoptera.

- Pierdoleni idioci - złości się.
- Rory! - szorstko krzyczy jego żona.

Klęcząc teraz przy samym odbiorniku, Rory prosi spikerkę, która właśnie przekazuje informacje na temat wojny w jakiejś innej części świata, aby powiedziała mu, jak to jest możliwe, że Armia Brytyjska, RUC*, strażnicy i wszyscy inni uczestnicy akcji, mogli pozwolić na to, aby facet, który już kiedyś uciekał, uciekł znowu, facet, o którym wiadomo, że to pimpernel **, aby uciekł w pola i przepadł, jak mogli do tego dopuścić, no chyba, że to on, Rory, jest jakimś pieprzonym awanturnikiem. Mimo całego oburzenia Rory czuje coś w rodzaju szacunku dla tego faceta i mówi: Mój chłopak McGreevy, moja krew.

* RUC (Royal Ulster Constabulary) - Królewska Policja Ulsteru.

** pimpernel - zuchwały, pomysłowy organizator brawurowych, a przy tym niebezpiecznych, ucieczek skazańców politycznych (od tytułu powieści „Scarlet Pimpernel").

- A może on jest kimś z kosmosu - piszczy jego córeczka Aoife.
- Mam nadzieję, że pojawi się w tych stronach - zaperza się Rory, wymachując pięścią w kierunku telewizora.
- Mam nadzieję, że nie - nie zgadza się Sheila, przypominając mu o cudzoziemcu, który zatrudnił mnóstwo ludzi i którego prawie przez trzy miesiące trzymano jako zakładnika, a teraz leczy się w Kolonii, albo i gdzie indziej, w każdym razie tam, skąd pochodzi.
- Nie chcemy tego uciekiniera tutaj - stwierdza, obejmując córeczkę ramieniem, jakby chciała ją przed czymś osłonić.
- Wydawało mi się, że uzgodniliśmy, że nigdy nie będziemy rozmawiać o sprawach zawodowych - mówi.
- To nie jest rozmowa o sprawach zawodowych, tylko samoobrona - protestuje i gwałtownie wybiega z pokoju, dodając, że gdyby chciał zjeść obiad, to może go sam ugotować.

- Cúchulainn* to zrobił, tatusiu... Przebiegł przez całą Irlandię kopiąc piłkę - oznajmia Caimin, przypominając sobie bohatera ze szkolnej czytanki.

* Cúchulainn - legendarny bohater z Ulsteru, który zginaj walcząc samotnie z przytłaczającą liczbą najeźdźców.

- Nie nabijaj sobie głowy takimi pomysłami - karci syna Rory i rozglądając się po pokoju, zauważa symbole swojej młodości, swojej dumnej młodości: puchary i wstęgi, które królowały tutaj od czasów jego sportowej wielkości, i myśli o tym młodym człowieku, który wyskoczył z jadącego samochodu, i o tym dreszczu emocji, o tym dreszczu, który był nieodłączną częścią każdego niebezpieczeństwa.

- Dziecinko - rzuca przez otwarte drzwi. - Nie zawracaj sobie głowy tym cholernym sarnim udźcem. - Dodaje jeszcze, że skoczy do sklepu i przyniesie coś z tych gotowych dań na gorąco i zjedzą pierwszorzędną kolację przy kominku.

- Nie lubię curry - mówi Caimin i pyta, czy będzie mógł zjeść frytki.

- Myślałam, że oszczędzamy na święta - woła Sheila w kierunku pokoju.

- Jak się nazywa to twoje ulubione wino... To bułgarskie? - pyta Rory, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, już jest za drzwiami. Idzie wielkimi krokami i krocząc tak przed siebie, usiłuje naśladować młodego mężczyznę, który w biegu wyskoczył z samochodu. Przypomniał sobie, że i on kiedyś był bohaterem, pamiętał ten gwałtowny dopływ adrenaliny, gdy wychodził na lodowisko, ten krążek do hurleya **, ten ślizg, ten ryczący tłum i ten gol, te gole, własną zręczność graniczącą z magią i huczący w uszach wrzask zachwyconego tłumu.

** hurley - stara irlandzka gra zespołowa, odmiana hokeja.

Worki po nawozach nie przepuszczają wilgoci, i są przynajmniej jakimś okryciem. Trzy plastikowe worki i pełen słomy żłób. Jak Jezus.

Co wcale nie znaczy, że się modli. Inni się za niego modlą, on zbyt wiele widział i zbyt wiele zrobił, i jemu zrobiono zbyt wiele, żeby klękał i wzywał Boga. Niektóre swoje czyny wymazał ze świadomości, musiał, ale w środku, gdzieś w głębi serca, czuje się czysty, odpowiedzialny i rozważny.

Po kilku godzinach snu cała wilgoć wsiąknie w jego ciało. Gdyby go prześwietlono, okazałoby się, że składa się wyłącznie z wody, że cały jest z deszczu. Pewnie teraz grzebią jego dwóch kolegów, z honorami, flagami i hymnem narodowym. I tyle. Już zapomniani. W jego domu też była śmierć, więc dokładnie wie, jak to jest, a jednak nazywają go zwierzęciem. No tak, śpi w żłobie, więc w pewnym sensie nim jest. Trumna dziecka, trumna żony. Tę pierwszą widział, ale drugiej nie. Trumnę dziecka widział, przyprowadzono go, zakutego w kajdany, po obu stronach postawiono policjantów, którzy szperali w białym ubranku dziecka, szukając materiałów wybuchowych. Nie mógł patrzeć na tę malutką twarzyczkę, na ten kłębuszek zastygłej mądrości. W dzień odwiedzin bawiła się z nim w więzieniu, chowała się pod krzesłem, kiedy trzeba było już iść, nie mogli jej znaleźć, mówiła, że jest Myszką Minnie, a jej tatuś Myszką Miki, więc musi z nim zostać przez całą noc. A teraz wśród aniołów.

Końcem łopaty zdrapuje błoto ze znalezionej pod beczką patelni, pije wodę o smaku paproci i metalu, a potem kładzie się spać. Nie czuje już głodu. Jeśli przyjdą i znajdą go tutaj, to koniec. Ale go nie złamią. Dobrze wiedzą, że nie. Doskonale o tym wiedzą. Nerwowe chłopaki, tylko gadają, wydają oświadczenia, jedno oświadczenie po drugim, a potem jeszcze jedno. Nie potrafią znieść napięcia. On zniesie wszystko: napięcie, zimno, a nawet te druty elektryczne, które od wewnątrz spalają mu skronie. Ma absolutną pewność. Musi. Tylko to mu pozostało.

Zapada w półsen, a przez mózg przebiegają mu splątane obrazy - pola, przez które przeszedł, rowy, do których wpadł. Wydaje mu się, że je siano, że żuje jak krowa, a potem znowu przeżuwa. Kto go wydał? Ci, którym można było zaufać i ci, którym nie należało? Tak jakby

nagle ogarnęło ich przerażenie, jakby Stwórca kazał im dokonać bilansu. Donosiciele. Zdrajcy. Pewnego dnia się dowie, a wtedy się z nimi policzy. Teraz trochę cieplej. Nie jest to ciepło łóżka ani ciepło jej ciała, ale przejmująco wilgotne ciepło materii nieorganicznej. Spać, Jezu, spać. Słoma drapie go po twarzy, a myśli wirują w głowie, niczym mięso obracane na rożnie.

- Kurwa, co to!... Są tutaj. - Sięga po leżący tuż obok karabin, a jego palec natychmiast dopasowuje się do spustu. Przez wąską szczelinę w kamiennym murze poddasza nie widzi nic, ani pojazdu, ani człowieka. To krowa, rycząca ze wszystkich sił. Tylko mu tego, do cholery, potrzeba. Gdzie ona jest? Gdzie jesteś?

- Gdzie jesteś, Peg... Peg? - mówi. Nie wie, dlaczego nazywa ją Peg. Dźwięk jest niski, przeciągły i wystarczająco głośny, żeby postawić na nogi chłopa, psy, stada kaczek, cały ten kram. Wyjrzawszy znad drabiny, widzi ją na dole, jak wywraca wybałuszonymi oczami, a jej ciało jest spazmatycznie napięte. Przyszła tu się ocielić.

- O kurwa! - mówi, stojąc przy niej, jej oddech przechodzi teraz w pełne męki głuche stękanie. Kopyta cielęcia wysuwają się na zewnątrz, potem cofają, a potem krowa jęczy znowu, bo on ściska ją i każe jej przeć, na miłość boską, przeć. Stara się trzymać zad krowy, ale ona szarpie się i próbuje wyrwać na zewnątrz tak gwałtownie i niezręcznie, że cielę w jej brzuchu wpada w szał. Słychać, jak miota się w środku, rozpaczliwie próbując się uwolnić, więc trzymając matkę, przemawia do niej, opowiada różne rzeczy, żeby tylko uciszyć jej jęki. Zamieszanie w brzuchu krowy przypomina przewalanie się bagażu w walizce. Cielę szarpie ją. Skurcze, częste i szybkie, i bardzo bolesne, nie przynoszą żadnych rezultatów. Cielę jest za duże - może pomóc tylko lina.

Znajduje kawałek sznura, okręca go wokół wystających kopyt, po czym wpycha go do krowiego brzucha, aby uchwycić i ścisnąć nogi cielęcia, przez cały czas opowiadając krowie jakieś idiotyzmy. Od

strony bramy, której używa jako dźwigni, dobiegają go jęki krowy i jest w nich coś pierwotnego, jakby to były jęki krów i wszelkiego bydła z prehistorycznych czasów, jęki bydła, dla którego walczono o ziemię i o lenno.

Krowa nie może urodzić. On nie może jej pomóc. Zad i biodra cielęcia wbijają jej się w brzuch. Musi być bardziej nieustępliwy. Odciąga wrota o kilka cali dalej, wiedząc, że albo połamie mu nogi, albo wyciągnie cielę z brzucha i kiedy słyszy łoskot ciała uderzającego o kamienie, nie może powstrzymać radości. Wyszło... Wyszło. Szare, galaretowate stworzonko w szarym worku. Kiedy zaczyna ścierać mu z pyska śluz, cielę wstaje, na początku stoi niepewnie, po czym zaczyna chodzić, prostuje się i nabiera sił do tego cudu, jakim jest życie. Brązowe cielę z białą plamką na czole, z plamką w kształcie litery V.

- Ty diable - mówi do cielęcia. Matka tymczasem zaczyna je oblizywać, liże je z jakąś niesamowitą pilnością, zlizuje, a potem wypluwa lepką maź, robi to z taką rozkoszą, taką błogością, a on myśli, że po tym strasznym bólu może być taka miłość, że taka nieprawdopodobna miłość może być zawarta w lizaniu.

To nie są żołnierskie buciory, to buty chłopskie, ubłocone z wierzchu. Do środka wpada rozgorączkowany mężczyzna.

- Ciężko było - mówi. Lepiej będzie, gdy odezwie się pierwszy. Mężczyzna patrzy na niego, i już wie, McGreevy czyta to w jego spojrzeniu, że tamten domyśla się, kim on jest, tylko nic nie mówi.

- Wyszła z obejścia... Pilnowaliśmy jej, ale się wydostała... Któraś z dziewczyn zostawiła otwarte drzwi do obory.

- Namęczyła się.

- Pomogliście jej sznurem.

- Inaczej się nie dało - mówi i idzie na poddasze po swój karabin, wiedząc, że mężczyzna bacznie go obserwuje.

- Już idziecie - zagaduje go mężczyzna, kiedy on, z torbą przezornie pozapinaną i przewieszoną przez ramię, schodzi na dół.

- Łożysko jeszcze się nie urodziło - informuje.

- To potrwa przynajmniej godzinę - odpowiada mężczyzna, a potem dodaje. - Daleko idziecie?

- Ładnych parę kroków - odpowiada i patrząc na krowę, mruga do niej okiem, jakby chciał powiedzieć: Niezły żarłok z tego twojego dzieciaka.

- Może byście weszli do domu coś zjeść? - pyta ostrożnie mężczyzna.

- Na pewno tego chcecie?

- No... byłoby dobrze - i słowa więzną mu w gardle, jakby go ktoś dusił.

Tylko że nie jest dobrze. Kobieta wie.

- To jest Frank... chciałby coś zjeść - mężczyzna mówi do kobiety, która jest uosobieniem szarości, szare włosy, szary fartuch owinięty wokół bioder i czarnoszare oczy, jak muszla morskiego ślimaka.

- Chciałby coś zjeść. - Jej głos jest oschły i cierpki, kiedy bezlitośnie roztrząsa położenie nieznajomego. - Odebrał nam cielę... Wspaniałe malutkie cielątko... Prawda, Frank?

- Duże cielę - mówi Frank, jak go teraz nazywają i myśli, że jest to dobre i niewinne imię, mógłby je zabrać ze sobą w drogę, i w myślach stara się dobrać nazwisko, które by do niego pasowało. Nie wie, czy ma usiąść, czy stać.

- Przed chwilą przejeżdżała obok wojskowa ciężarówka. - Te słowa wraz z gniewnym spojrzeniem utwierdzają go w przekonaniu, że nie będzie jedzenia, nie będzie niczego.

Mąż idzie za kobietą do pomywalni, gdzie ona bierze dłuto i ponownie przystępuje do zeskrobywania farby z półki. Frank widzi ich przez otwarte drzwi. Na początku mąż mówi do niej szeptem, ale wkrótce ma tego dość i każe jej szybko wziąć patelnię i kilka jajek, co też ona czyni, ale bez uległości.

Kobieta obserwuje obcego z panicznym przerażeniem, podczas

gdy jej mąż pyta go, czy nie będzie marudził, że dostanie jajka. Smażenie zostawiła mężowi, sama położyła tylko wszystkie potrzebne do tego rzeczy obok pieca.

- I tak jest wspaniale - mówi Frank.

Cóż innego mógłby powiedzieć, głodny człowiek, morderca, głodny morderca. Gwałtowne, sprzeczne uczucia przepełniają jej serce, a tymczasem mąż podnosi patelnię z ognia i ze wzrokiem utkwionym w żonie trzyma naczynie w górze, jakby chciał oblać jej nogi rozgrzanym tłuszczem. Z bladym uśmiechem na twarzy kobieta mówi obcemu, że mają dzieci, czworo. Dwoje jest w Afryce Południowej, a dwoje w domu i że nie trzeba chyba dodawać, że bardziej się martwi o te w domu, a co z, a co z... Nie kończy zdania. Nie musi. Mąż obsługuje go, napełniając herbatą jego filiżankę, rzuca przy tym uwagę na temat wielkości i żywotności cielęcia.

- One zawsze same sobie radzą... Krowy zawsze sobie radzą - mówi kobieta z wściekłością i prosi obu mężczyzn, aby przez chwilę pomyśleli o tym, że męski instynkt zabijania jest przeciwieństwem kobiecego instynktu dawania życia.

- Ta by sobie nie poradziła... Gdyby Franka tu nie było... Musiał użyć liny - mówi jej mąż i kładzie patelnię bezpośrednio na obrusie, aby Frank mógł pomaczać w tłuszczu ostatni kawałek chleba.

- Krowy zawsze sobie radzą - powtarza kobieta i wraca do pomywalni, bierze dłuto i z przesadną pilnością zabiera się do swojej roboty.

Po odejściu Franka kobieta patrzy na męża tym swoim zimnym, pozbawionym emocji, nieruchomym wzrokiem, ale nie mówi ani słowa.

- Jeśli podniesiesz słuchawkę... - mówi mąż, widząc, że żona wyciera ręce.

- Tylko spróbuj - broni się kobieta, stojąc do niego plecami.

- Zatłukę cię na śmierć - i seria potężnych ciosów męskiego pasa spada na kuchenny kredens, tak że kawałki porcelanowych naczyń, niektóre duże, niektóre nie, bezładnie rozsypują się po podłodze, a nad nimi unosi się ciężki gliniany pył. Mężczyzna tłucze wszystko, co było w kredensie. Kobieta stoi nieporuszona, ciągle tyłem do niego, i dopiero wtedy, gdy zadał już ostatni cios, odwraca się, klęka, patrzy na porozrzucane kawałki i spośród nich wybiera coś, co kochała, dzbanek na śmietankę - z wzorkiem w bławatki - i jak dziecko, które dostało puzzle, zaczyna składać go na nowo. Utrata tego dzbanka wyzwala w niej jedyny przejaw czułości, jaki udało mu się dostrzec przez całe lata.
- To ty i tacy jak ty pozwalają im przetrwać - mówi kobieta.
- Nie skrzywdził nas, prawda?
- Nie... Nie miał ochoty na mięso, bo jest piątek - stopniowo pogruchotane kawałki zaczynają się układać w kształt, jaki kiedyś razem tworzyły, tylko że trud kobiety jest daremny, jak próba złożenia na nowo ciała porąbanego na kawałki.
- Nie popieram ich, Julio... Tak samo jestem przeciwko nim, jak ty - chce powiedzieć mężczyzna, ale nie może, słowa więzną mu w gardle.

- Ktoś będzie na ciebie czekał przy tartaku za Tuam.
- Będziesz musiał mi dać trochę pieniędzy.

Stoją na samym końcu parkingu, z dala od sali tanecznej, gdzie migotliwe, pulsujące światło, szkarłatne i ciemnofioletowe, odbija się od okien, co sprawia, że jego oczy wykonują gwałtowne, męczące ruchy, bo przyzwyczaił się do półmroku i zupełnej ciemności. Niedługo całkiem oślepnie. Jakaś dziewczyna zawodzącym głosem ćwiczy piosenkę „Święta Ziemia". Ciągle powtarza te same cztery linijki, jakby wyrywała je sobie z wnętrzności, jakby je rodziła.

Przez bezkresne, słone morza pożeglujesz,
Lecz na pewno poprzez morskie odmęty
Wrócisz ujrzeć znowu tych, których miłujesz
I raz jeszcze ujrzeć Ziemię swą Świętą.

Nietypowa piosenka, jak na salę taneczną, jest w niej coś żarliwego, coś rozpaczliwego.

- Nie mam.

- Jak to, kurwa... Masz świetny samochód.. Musisz mieć pieniądze.

- Nie jestem odpowiedzialny za fundusze... Nie po to tu przyszedłem, żeby ciebie utrzymywać.

- Kurwa, Iain, co jest?

- Roger...

- Nie dostanę się tam bez pieniędzy... Nie jestem pieprzonym Cúchulainnem.

- Więc, ukradnij... Idź tam zaraz, złap Tańczącą Jennifer przy kasie... Jest tylko ona, ten facet i nasza śpiewaczka.

- Nie mogę zrobić tego teraz... Nie sam... Nie wyobrażam sobie, żebyś ty mnie osłaniał.

- To lepiej zabieraj się stąd i okradnij kogoś gdzie indziej... Samotną wdowę albo samotnego wdowca...

- Nie mogę żyć powietrzem... Jestem głodny... Nie jadłem nic od wczoraj.

Mężczyzna wyjmuje z kieszeni jakieś pojedyncze drobniaki, mówi, że to wszystko, co ma i nie zamierza mieć więcej, więc niech stąd natychmiast spierdala.

- Kiedyś wyniosę się daleko stąd i pieprzne to wszystko na zawsze - mówi z goryczą, ściskając w ręku pieniądze.

- Wszędzie byśmy cię znaleźli.

- Dzięki, Iain... Zawsze wiedziałem, że jesteś przyjacielem - i już przeskakuje przez niski mur, który biegnie za niewielkim domkiem, i już idzie, poprzez bezmiar rozmokłych, ciemnych pól, w stronę majestatycznych górskich szczytów, których granie niczym matryca

formują kształty ciężkich, czarnych chmur. A usłyszana niedawno piosenka natrętnie tłucze mu się po głowie.

- Sprzedałam już wszystkie dania i usiadłam - jak zawsze - w tylnej części furgonetki, żeby wypić filiżankę kawy, i nagle usłyszałam to pukanie w szybę, w boczną szybę. - Kobieta trzyma chusteczkę do nosa, wiąże na niej węzełki, bo obawia się tego, co usłyszy od policjanta. Policjant jest mężczyzną w średnim wieku i wygląda bardzo surowo.

- Proszę mówić dalej - zwraca się do niej policjant, zastanawiając się nad tym, jak głupia naiwność kazała jej czekać z tym doniesieniem aż dwadzieścia cztery godziny. Wszystko w tej kobiecie działa mu na nerwy: idiotyczne okulary, kupa pryszczy na czole i ta wstążka we włosach znacznie bardziej odpowiednia dla dziecka.

- „Jak się nazywasz?", zapytał, a ja odparłam: „Teresa", a on powiedział: „Tereso, jedziemy w kierunku Limerick", a ja myślałam, że żartuje... I wyjaśniłam mu, że: „Skończyłam już wydawanie lunchu", a wtedy on odsunął połę marynarki i pokazał mi karabin.

- A potem?

- Nie krzyczałam, nic z tych rzeczy... Miał bardzo łagodny głos...Tylko odstawiłam filiżankę i wdrapałam się na siedzenie kierowcy, a on usiadł obok mnie i wyruszyliśmy. Potem zapytał, gdzie mieszkam i czy mam męża, czy mam braci i siostry i takie różne rzeczy na temat moich bliskich.

- Powiedziała mu pani?

- Musiałam.

- To niesłychane... To po prostu szczyt wszystkiego.

- Nie dotykał mnie. Mówił, że jest głodny, a ja mu powiedziałam, że na tacy są zimne bułki z parówkami.

- I gorący sos do tych bułek?

- A co miałam zrobić... Chciał coś do picia... Napój pomarańczowy

albo colę... Kazał mi się zatrzymać w najbliższym większym mieście i kupić colę i papierosy... silk cut.

- Dlaczego nie zaalarmowała pani sprzedawczyni?

- Chciałam. Jestem pewna, że było to po mnie widać... Jestem pewna, że byłam biała jak śnieg... Ale się bałam... Nie wiedziałam, co może się stać... Jakaś strzelanina... Wszystko mogło się zdarzyć.

- Za to może pani iść do więzienia... Za współudział.

- Tak właśnie mówiła moja matka... Powiedziała: „ Nie mów nikomu... Nie mów policji"- i kobieta znów zaczyna płakać i błaga, żeby jej nie aresztować, bo ta furgonetka z szybkimi daniami na gorąco to ich jedyne źródło utrzymania, a dzieci w domu siedmioro i ojciec na zasiłku.

- Nie zostanie pani aresztowana, jeśli wszystko nam pani opowie... Wszystko.

- Pił colę, kiedy nagle usłyszeliśmy dźwięk syreny, a wtedy on wyprostował się na siedzeniu, bardzo skupiony i powiedział: „Skręć na najbliższym zakręcie", więc skręciłam na najbliższym zakręcie, zatrzymałam się na bocznej drodze i za chwilę usłyszeliśmy, jak pojazd na sygnale przejechał tamtą drogą, a wtedy on kazał mi przez mniej więcej dwanaście mil jechać bocznymi drogami i kazał mi ćwiczyć, co mam mówić, gdybyśmy zostali zatrzymani.

- Proszę mi to powiedzieć.

- Nazywam się Teresa... To jest mój chłopak, Frank... Mieszka ze mną i moją rodziną... Jedziemy do Limerick na urodziny... Nie do Limerick City, tylko do tego na prowincji. Nie mają tam telefonu.

- Powinna pani być aktorką.

- Powiedział, że powinnam się nauczyć irlandzkiego... To najpiękniejszy język.

- I chodzi pani do szkoły wieczorowej?

Spojrzała na niego zapłakana, zastraszona i zapytała, czy może wyjść do toalety.

- Za chwilę, za chwilę.

- Niedobrze mi.

- Więc niech pani idzie do tej cholernej toalety - mówi i szybko przerzuca zapisane kartki tylko po to, żeby stwierdzić, jak tego jest mało.

- Nie zrobiła pani absolutnie nic, żeby mu pokazać, że sprzeciwia się pani jego działalności? - pyta, kiedy kobieta wraca, z ustami oblepionymi szminką i bez opaski na głowie.

- Zrobiłam - odpowiada z wyzwaniem w głosie. - Zapytałam go, dlaczego wybrał właśnie mnie, a on powiedział, że, po pierwsze, jestem kobietą, a po drugie, rejestracja mojego samochodu odpowiadała jego celom. Zapytałam go jeszcze, co było ważniejsze, czy moja płeć, czy rejestracja samochodu, ale nie odpowiedział... Kopcił jak komin... Zapalał jednego papierosa od drugiego... Powiedział, że nie palił od trzech dni, ani nie jadł, ale rzadko bywa głodny, tylko pić mu się chce i że nigdy nie pije wódki.

- Dlaczego od razu nie zgłosiła tego pani na policję?

- Nie wiem... Pewnie się bałam... Kiedy wsiadał, powiedział: „Wiem, gdzie mieszkasz... Wiem, jak się nazywasz... Wiem wszystko o twojej rodzinie..." Mogłam więc tylko wrócić do domu... Zastanawiałam się, co mam powiedzieć matce... Bałam się, że mi nie uwierzy.

- Dlaczego miałaby pani nie wierzyć?

- Bo ja zawsze się wygłupiam... Wkładam dzieciom do łóżka kamienie i żabi skrzek...

- Pani Tereso, mogła pani być bardzo przydatna, mogła pani być decydującym ogniwem w machinie śledczej. Co pani narobiła? Współpracowała pani z nim.

- Ale przyszłam tutaj.

- I nie ma pani nic konkretnego do powiedzenia. Dziesięć razy nic to dalej nic.

- Przepraszam.

- No cóż, będziemy musieli zatrzymać furgonetkę.

- Jak długo?

- Kilka dni.

- Chciałam pana o coś zapytać.
- Śmiało.
- Czy on przyjdzie po mnie?
- Dlaczego pani tak myśli?
- Nie mam.
- Jak cię znają, to twój los jest przesądzony.... Przetrącą ci kolana albo puszczą z dymem. - W tym momencie zaczyna płakać, wielkie, ciężkie łzy spadają na wszystko, na żałosne notatki policjanta, a on myśli: Puszczą z dymem... Nie ma zielonego pojęcia, co to oznacza, ale wie, co oznacza strach i za każdym razem, kiedy wychodzi z domu, na nowo się tego dowiaduje.
- Ta furgonetka to całe nasze życie... Uczyłam się w Anglii... W Surrey.
- Nasza pracownica zrobi pani filiżankę herbaty.

Cokolwiek, byleby tylko nie musiał na nią patrzeć, byleby tylko nie musiał teraz patrzeć na te potoki łez.

Prawie noc. Półmrok, który sprawia, że przedmioty w pokoju tracą swój kształt, jakby bezgłośnie wślizgiwały się w siebie nawzajem.

- Niech się stanie światłość - mówi z dumą w głosie siostra Morrissey i podnosi do góry dzwonek, żeby jej podopieczna mogła go zobaczyć, blaszany dzwonek z otworkami, a przez te drobniutkie, wycyzelowane dziureczki może się wydobyć cienki, metaliczny dźwięk. Ale siostra nie dzwoni, jeszcze nie.

Siostra pomogła jej przekształcić ten ponury, nękany przeciągami pokój w prowizoryczną kuchnię. Są tu filiżanki i spodki, herbatniki, puszka na herbatę, zagęszczone mleko, czajnik i mały piec.

- Tutaj ma pani znacznie lepsze warunki niż w tym Domu Opieki - mówi pielęgniarka.
- Nie wiem, dlaczego w ogóle tam poszłam.
- Miała pani zapalenie płuc... Dlatego.

- Budzą człowieka o każdej porze, żeby umyć albo zmierzyć temperaturę.

- Wie pani, jak to się mówi: nie ma jak w domu.

- Niech pani jeszcze nie idzie - mówi Josie.

Pielęgniarka odpowiada chrząknięciem, a potem recytuje całą litanię wezwań do innych chorych - młoda kobieta, która oparzyła siebie i dzieci wrzącym kleikiem, co jest gorsze niż oparzenie wrzątkiem; wdowiec z potworną liczbą wrzodów; jego najbliższy sąsiad, obolały z powodu półpaśca. Cała lista potrzebujących pomocy, potrzebujących okładów i opatrunków, i tabletek, każdy czegoś potrzebuje, każdy. Oni też mają kręćka na punkcie rozmów. Siostra rozmyśla, dlaczego tak jest, że im ludzie są starsi, tym bardziej zachłannie pragną rozmowy: o własnej przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, o czymkolwiek, o wszystkim, także o strachu przed śmiercią, tak jakby ona sama jej się nie bała.

- Nigdy nie wiadomo - mówi Josie.

- Dobrze, już dobrze - słyszy i pielęgniarka przypomina jej jeszcze, że może potrząsnąć dzwoneczkiem, potrząsnąć nim mocno, z wigorem.

- Kto by to usłyszał? - pyta Josie, lecz jednak słabiutko dzwoni i dzwonek odzywa się kaskadą przerywanych dźwięków.

- Będzie pani dotrzymywał towarzystwa - śmieje się pielęgniarka - tak przyjemnie dźwięczy.

- Jakiś włóczęga może się włamać - mówi Josie.

- Bez żarcia długo nie posiedzi - odpowiada siostra szorstko, po czym sięga w stronę krzesła po swój nieprzemakalny płaszcz i wciąga go na siebie, pośpiesznie zasuwając zamek błyskawiczny.

- No cóż, proszę pani - zaczyna, starając się, żeby jej głos brzmiał wesoło, jakby dopiero weszła, a nie wychodziła. Pomyśleć tylko, że kiedyś ta kobieta na takich jak ona to nawet by splunąć nie chciała. Ta kobieta ze swoim szykiem i świecidełkami, z błyszczącymi oczami, które pasowały do głębokiego błękitu szklanych paciorków różańca dyndającego w jej dłoniach, gdy modliła się w kaplicy, z tymi

oczami, które stały się przyczyną hańby jej własnej, jej nieboszczyka męża i tego drugiego - jego oczy już dawno przestały być takie, zrobiły się wodniste i bezbarwne jak gotowana tapioka. - Niech pani pozwoli płynąc łzom - dodaje w formie pocieszenia, a potem wychodzi. Josie myśli, że kobieta może jeszcze wróci, bo czegoś zapomniała, albo będzie udawać, że czegoś zapomniała, żeby złagodzić ciężar rozstania, ale nie wraca.

Kiedy Josie już jest sama, bada wzrokiem pokój, zatrzymując spojrzenie na przedmiotach: na czajniku, na jego dzióbku, na paczce herbatników, na niewyraźnych gałązkach na kwiecistej tapecie, przeładowanej kwiatami i pąkami róż, na zniszczonych firankach i drążku do zawieszania firanek, przekrzywionym na jednym z haków. Mówi sobie, że jest bezpieczna, we własnym domu, na górze, we własnym zamku. Ale czy kiedykolwiek jesteśmy bezpieczni?

- Lola... Lola - woła. Jej motyl powrócił i ze złożonymi skrzydłami tkwi w zagłębieniu w ścianie jak delikatna, brązowa fałdka. Lola, jej jedyna towarzyszka, jej przyjaciółka. Uważa ją za samicę, bo kiedy Lola rozpościera skrzydła, malutka kępka ciemnobrązowych włosków na jej ciele błyszczy, kurczy się i lśni. Myślała, że Loli już nie ma, że uciekła przez szczelinę pomiędzy roletami, ale teraz Lola znienacka wyłania się spod różowego klosza, okrąża lampę, a potem uderza w twarz Josie, muskając ją szybkimi uderzeniami skrzydeł. To coś oznacza. Może czyjąś śmierć. Nigdy nie poświęcała zbyt wiele uwagi starym czy chorym ludziom, ale to się zmieniło. Śmierć matki wymazała ze świadomości. Jej matka umierała na szpitalnym korytarzu w stanie wojny o ich pole, o ziemię, do której sąsiad rościł sobie prawo i której żadna z rodzin nie mogła uprawiać z powodu ciągnącej się latami wendetty. W końcu przywłaszczyli ją sobie wędrowni naprawiacze garnków. Stawiali tam swoje wozy, noc po nocy, palili ogniska i pijani kłócili się, nawoływali swoje psy albo żebrali o

mleko. Tak, w szpitalu matka powiedziała ojcu, że nie jest mężczyzną, lecz bezwolnym cherlakiem, i jej ostatnie słowa dotyczyły pola, ich pola, ich praw.

Następnym razem poprosi pielęgniarkę o jakiś środek wzmacniający, żeby szybciej nabrała sił. Nie wiadomo, co jej dolegało, ale jasne było, że marniała w oczach. Ciekawe, jak by ułożyła sobie życie, gdyby mogła je przeżyć jeszcze raz. Ludzie często zadają sobie takie pytanie. Czy wy szłaby za Jamesa i czy gdyby za niego wyszła, to zrobiłaby z tego lepszy użytek i urodziłaby mu dziecko, córkę, która teraz wpadałaby do niej, krzątała się przy niej, opiekowała, przynosiłaby jej szal albo szlafrok i mówiła: Mamo... Mamo.

Przeszłość

Dawno temu przybyła tu jako panna młoda, panna młoda z kołnierzem z lisa luźno zarzuconym na aksamitny płaszcz. Siedziała w dwukółce, a jej beztroski mąż, w żółtej kamizelce i rękawiczkach ze świńskiej skóry, popuścił cugli, pozwalając, aby Brykuś, popędliwy kucyk, pogalopował po wyboistej drodze i dowiózł ich na podwórko za domem. Tam jej mąż krzyknął, ściągnął lejce i okrążając dom, skierował dwukółkę w stronę kolejnej, imponującej, srebrnej bramy prowadzącej przed front budynku, którą przed nimi ceremonialnie otwarto. Niemal natychmiast ogarnęła wzrokiem całe swoje domostwo, górną część budynku w kolorze wyblakłego błękitu i boczne mansardy obłożone niebieskawym kamieniem, stajnie ciągnące się z tyłu, wszelką rozmaitość okien w mieszkalnej części domu, niektóre z nich zwieńczone łukami, i szyby z wielobarwnego szkła na przygarbionej werandzie, mieniące się w promieniach słońca. Dom nad jeziorem położonym na rozległej nizinie. Każda dziewczyna oddałaby wszystko, żeby się wżenić w taki dom.

- Panno O'Grady - powiedział jej mąż, kiedy zrobiła krok naprzód, żeby przedstawił jej służącą, która nie mogła się powstrzymać i parsknęła śmiechem. Futro z lisa w taki ciepły dzień! Dziewczyna nazywała się Brid. Miała okrągłą twarz i ruchliwe, bursztynowe oczy.

Okna i drzwi otwarte na oścież, drzwi podparte starymi żelazkami na duszę, żeby nie trzaskały, i duma z jaką James pokazywał cały dom, oprowadzając ją po głównych pokojach, mniejszych pokojach i przedpokojach, mówiąc, że przydałaby się im kobieca ręka, kobiecy smak. W kuchni zapach pieczenia - ciasta i pierogi i Brid ubijająca widelcem pianę z białek w głębokim talerzu.

Potem przechadzka po ogrodzie wśród szeptów listowia. Cedr wielki jak dom, o korze sypkiej, różowej jak sproszkowana farba, a na niej inicjały jej męża i jego brata wycięte scyzorykiem. A później przez pola, przełazami ponad ogrodzeniem i przez prowizoryczne furtki obok innych pól przypominających morza szkarłatnego końskiego szczawiu falującego na wietrze, aż do mola, prywatnego mola, z którego jej mąż był bardzo dumny.

Wyruszyli na jezioro w jego łodzi wiosłowej, pledem w kratkę owinął jej kolana. Widziała, jak światło słoneczne pojawia się i znika, ślizgając się po powierzchni wody serią migotliwych błysków, i słuchała, jak mąż opowiada jej historie o jeziorze. Sama woda przyprawiała ją o dreszcze, sposób w jaki falowała. To wcale nie przypominało jeziora, raczej morze. Mąż wiosłował spokojnie dumny z tego, że jest jej przewoźnikiem, wymieniał nazwy wysp - Wyspa Księdza, Wyspa Owiec i Wyspa Szalonego Mnicha, raczył ją opowieściami o ludziach, którzy mieli własne aparaty do destylacji i pędzili bimber, o rodzinach, które w czasach jego młodości mieszkały na niektórych z tych wysp i musiały przywozić całe zaopatrzenie na łodziach i wywozić nimi swój inwentarz, kiedy nadszedł czas sprzedaży.

Łódź śmierdziała benzyną i nabierała wody, która moczyła jej kupione specjalnie na miesiąc miodowy buty, odbarwiając zamsz i plamiąc go. Mąż wydał jej się teraz taki wesoły, taki szarmancki, że pomyślała sobie: moja rezerwa, czy może to jest odraza, minie i kiedy dziś wieczorem pójdziemy do łóżka - wszystkie wątpliwości znikną. Zrobiła listę jego dobrych cech: dowcipy, uśmiech, gorliwość, z jaką opowiada jej o na strojach jeziora, bardzo podobnych do nastrojów kobiety. Przypomniała sobie swój długi pobyt w Brooklynie,

gdzie pracowała jako służąca, tęsknotę jaką czuła, gdy pojechała tam po raz pierwszy, wyglądanie przez okno na rzekę East River i świadomość, że ani nie może tam zostać, ani nie może wrócić do domu matki, która wygnała ją z powodu zazdrości i która co tydzień do niej pisała, przypominając, żeby się czegoś dorobiła, bo w przeciwnym razie po powrocie znowu będzie wycinać torf na moczarach. Przypomniał jej się pierwszy ranek w Brooklynie, kiedy wyrzuciła popiół, wypolerowała piec, a potem zrobiła śniadanie, zapukała do drzwi ich sypialni i wtedy poproszono ją, żeby zaczekała, żeby zaczekała przez chwilę.

- Popatrz, popatrz - mówi James, pokazując ptaka wysoko nad nimi, zapewne myszołowa, ze skrzydłami o rozpiętości przewyższającej długość ciała. James znał się na ptakach. Polował na wyspach. Opisywał jej pewną zimę z czasów swojej młodości, kiedy jezioro zamarzło, a on z kumplami pojechał na łyżwach na całonocną zabawę trzy mile stąd, na drugą stronę jeziora, i rano wrócili na łyżwach do domu. Kochał przyrodę i kochał miejsce, w którym żył. Ona też je pokocha, nauczy się jak on rozróżniać przenoszone przez wodę dźwięki, postukiwania wioślarzy, które dochodziły aż z drugiej strony jeziora, ale tylko wtedy, gdy zanosiło się na deszcz.

Kiedy przepływali obok wyspy, na której stała opuszczona szkoła, pokazał jej gniazdo łabędzi, jednej pary łabędzi, i powiedział, że łabędzie łączą się w pary na stałe, raz na całe życie. Jej mąż. Mężczyzna, którego prawie nie znała. Potem zapytał, czy chciałaby już wrócić do domu, a ona odpowiedziała, że tak, bo miała całkiem mokre nogi. W promieniach zachodzącego słońca woda przybrała barwę bursztynu, prawie taką samą, jaką miały wąsy jej męża. Trzciny wyglądały jak nogi flamingów, a dalej, przy brzegu jeziora, była zupełnie ciemna, tam gdzie kontury iglastych drzew tworzyły ostrą, czarną linię, a ich odbicia w wodzie przypominały nierówne pociągnięcia pędzla zamoczonego w smole. Woda była taka spokojna, że wyglądała jak szkło, gdzieniegdzie na powierzchni pojawiały się małe pęcherzyki,

jakby ktoś ją opluł. Przez cały czas widziała własne odbicie, całkiem zniekształcone.

Pomagając jej wysiąść z łódki, mąż wykorzystał okazję i uszczypnął ją mocno w pośladek, a ona pomyślała: „Nie, nie zniosę tego - i zapytała kogoś, jakiejś świętej - chyba to była święta Agnieszka - co powinna zrobić, czy natychmiast uciec, wrócić do domu, zabrać torby i odjechać?"

- Podobało ci się? - zapytał, a ona odpowiedziała, że tak, wspomniała o widokach, o zmieniających się barwach wody, osobliwych nazwach wysp i o szkole, która bez uczniów wyglądała bardzo smutno. On przypomniał sobie dowcip o staruszku, który mieszkał przy skrzyżowaniu i przechwalał się, że choć nigdy nie chodził do szkoły, to często spotyka uczniów i zna trzy słowa po łacinie, wie też kim był Archimedes.

Idąc w stronę domu po rozmokłej ścieżce, nad którą zwieszały się gałęzie leszczyn, czuła na sobie wzrok męża, błądzący po jej pośladkach. Z żalem myślała, że z każdym krokiem zbliża się do kamiennych ścian, kryjących w nieprzeniknionej ciemności jej przyszłość.

Najbardziej podobały mu się biodra żony, szerokie, a jednak delikatne. Jak u dobrej klaczy. Miała brązowe włosy, mnóstwo brązowych włosów, a jej ubrania były uszyte z brązowych materiałów, z różnych materiałów: z gazy, aksamitu, tiulu, wielowarstwowe. Ożenił się w pośpiechu, mimo że znał ją prawie przez rok i umizgiwał się do dziewczyny w pubie jej wujka, gdzie stała za kontuarem, mrugał do niej i zastanawiał się, czy futerko też ma w odcieniu miedzi jak włosy. Nosiła amerykańską biżuterię i takim też posługiwała się akcentem, który to włączał się, to wyłączał jak światło. Klęła po amerykańsku i lodówkę nazywała amerykańskim słowem. Choć wychowała się daleko od amerykańskich lodówek. Pod wpływem chwilowego impulsu poszedł do wujka dziewczyny i poprosił o jej rękę, oświadczył się i wzięli ślub w Limerick City, nie mówiąc nikomu ani słowa, nawet jego bratu. Brat, z którym James mieszkał, bił się, pił i kłócił, nie polubi tego wzbudzającego ogólny zachwyt kociaka. Kiedy się zjawili,

schował się w szopie. Do diabła z bratem. Jej sposób chodzenia i to, jak stawiała kroki pomiędzy bujnie pieniącym się zielskiem, wzbudzały w nim rozmaite domysły. Brat będzie musiał wszystko przełknąć i tak jak dotąd rozniecać ogień, pompować wodę, wieczorami zapalać gliniane lampki, żeby przepędzić chłód z pokoi i korytarzy, rano wynosić pułapki na myszy i rozstawiać je znowu, ze skórką żółtego sera w środku, robić to, co zawsze robił. Oczywiście, że nie będzie zadowolony, kiedy zobaczy, że jego drobne, codzienne zajęcia przejmuje kobieta, która wprowadziła się do tego domu na dobre, nie będzie mu też miło patrzeć, jak ta kobieta idzie na górę do sypialni, i wyobrażać sobie, jak się rozbiera, siedzi w wannie, wylewa sobie na brzuch całą bańkę wody i szoruje się gąbką, przygotowując do nocy poślubnej.

Kiedy powiedziała mężowi, że ma ładne wąsy, pieszczotliwie musnął nimi jej twarz. Była jego pierwszą kobietą i jako żona także ostatnią.

Kiedy wrócili do domu znad jeziora, mąż zniknął. Pomyślała, że może powinna iść za nim, ale potem się rozmyśliła. Poczuła się niezręcznie, niepewnie i w tej niepewności znalazła się nagle w jadalni i zaczęła oglądać sprzęty, dotykać zwiewnych zasłon koloru spiżu. Powoli zaciągnęła jedną z nich i pomyślała: „Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał tu zajrzeć". W szafce stojącej w rogu dostrzegła różnokolorowe kieliszki: zielone i czerwone, a niektóre miały smugę odpowiedniego koloru w nóżce. Wszystko było zakurzone, potrzebowało kobiecej ręki. Stanęła na palcach, obróciła się dokoła i pomyślała: „To moje, moje".

Żadnej pani, żadnej obcej kobiety, która by jej mówiła: zrób to, zrób tamto i nie rób tego, a tamto zrób jeszcze raz; nikt jej nie zapyta, dlaczego stół jeszcze nie jest nakryty. Polecenia. Polecenia.

Jej pani, kobieta o ziemistej cerze, była jak sułtanka w swoim wielkim łożu, kiedy trzymała tacę ze śniadaniem. Pochodziła z Ukrainy, miała ciemne oczy, wilgotne jak dwie kałuże, rządziła całym domem, i wiedziała, jak przypochlebić się mężowi. Ona zaś pracowała jako pokojówka i codziennie rano o ósmej wchodziła na górę, niosąc im śniadanie. Pokonywała schody dwa razy. Zostawiała pierwszą tacę przed drzwiami, pukała w nie lekko, żeby się przygotowali na jej wejście, po czym wracała po drugą tacę. Następnie zjawiała się ze spuszczoną głową, aby na nich nie patrzeć, żeby nie słyszeć ich pocałunków i czułych słówek, kiedy zastanawiali się głośno, jakie ciasteczka przygotowała tym razem kucharka. Lubiła wczesne poranki w Brooklynie, gdy wszyscy jeszcze spali, oprócz służących, takich jak ona, które wymiatały popiół z kominków, chodząc na paluszkach, żeby przypadkiem nie obudzić swoich kochliwych lordowskich mości. Przez jedno z okien widać było wodę, a za nią Manhattan, wysokie budynki, różowe i zwiewne w porannej mgle, jak kromlech * zrobiony z kolorowej plasteliny.

* kromlech - krąg monolitów, otaczających grobowiec megalityczny z okresu neolitu.

Kiedy miała wolny dzień, spacerowała po ulicach i oglądała wystawy sklepowe, materiały na sukienki, lampy i żyrandole, dziecięce ubranka i buciki. Na jednej z wystaw zobaczyła szkielet malutkiej stopki, malutką martwą stopkę, która jaśniała jak białe klawisze pianina. Na ten widok rozpłakała się. Pomyślała wtedy o domu, o bagnistej drodze, o kopaniu torfu i o swojej rodzinie, która wierzyła, że ona żyje tutaj beztrosko i dostatnio. Tak naprawdę stała się tylko popychadłem pulchnej kobiety pochodzącej gdzieś z Ukrainy, która w obecności męża potrafiła być delikatna, ale za to gdy tylko wyszedł z domu, w tym swoim obszernym, czarnym płaszczu i czarnym jak smoła kapeluszu, wybuchała niepohamowanym gniewem. Teraz, kiedy stała we własnym pokoju i patrzyła przez okno na mokre rabatki, na krzewy obsypane kwiatami o barwie moreli, na jeżyny pełne owoców, tamte lata wydały jej się tylko złym snem. Tak, była panią

domu, miała służącą, którą mogła wezwać, żeby jej usługiwała, prasowała jej ubrania, żeby ją zabawiała w razie potrzeby.

Kiedy wrócili do domu, zaczął padać deszcz. Trawa nasiąkała wodą, a teraz, w promieniach słońca, wędrowały po niej cienie, harcowały po jej powierzchni jak kopyta tajemniczych koni widm. Cienie, ani zielone, ani czarne, tylko w kolorze szałwii.

- Te przeklęte cienie - powiedziała, kiedy wieczór stopniowo zaczął ustępować miejsca nocy. Wszystko stawało się ciemniejsze, bardziej ponure, bardziej przytłaczające. Musi coś zrobić, musi koniecznie coś zrobić, musi wybiec stąd.

- Brid... Brid... Chodź tutaj na górę - zawołała z sypialni, gdzie od pewnego czasu rozpakowywała swoje rzeczy. Zawołała głośno, gotowa zrobić wszystko, byle tylko uwolnić się od tego podłego nastroju. Poprosiła dziewczynę, żeby jej coś zaśpiewała albo zatańczyła.

- Nie pamiętam żadnej melodii - powiedziała dziewczyna, a potem zerwała się do jakiegoś skocznego, żywego tańca z obrotami. Jej grube nogi w czarnych butach z niewyprawionej skóry dreptały to po dywanie, to po gołych deskach i z powrotem, tańczyła i mruczała coś do siebie.

- O czym ona myśli - zastanawiała się Josie, patrząc na różowe policzki dziewczyny i na warkocze odbijające się od jej pleców.

- O czym myślisz? - zapytała głośno, rozkazująco.

- Nic ważnego. - I dziewczyna mimo woli wystawiła język. Kiedy tańczy, myśli o chłopcu. Chłopiec ten nazywa się Percy. Powiedział jej, że ma ładne oczy. I jeszcze, że jego matka ma raka i niedługo umrze. Te ładne oczy i ten rak całkiem jej się poplątały. Spotkała się z nim dwa razy i, jak Bóg da, niedługo zobaczą się znowu. Ale tutaj spotyka się kogoś tylko na tańcach, albo podczas czuwania przy zwłokach, a potem się go nie widuje. Całkowity bezruch, dopóki znowu się coś nie przydarzy. Po raz pierwszy dostrzegła go podczas czuwania, całonocna impreza, bogaty dom, nikt nie przejmował się

zmarłym, licytator, mnóstwo żarcia, whisky, Percy obok niej, ściskał jej udo i mówił, że jego matka ma raka, że tam, gdzie kiedyś miała pierś, teraz ma protezę z gąbki. Opowiadał Brid o tym, a ona wiedziała, że po omacku szuka jej piersi.

Uwielbiała to i chciała, żeby raczej obmacywał je rękami niż oczami, żeby pociągał za nie tak, jakby ważył mąkę albo kiełbaski w swoim sklepie, żeby ściskał jej sutki, pieścił tak długo, aż wypłyną z nich miłosne soki, a potem chciała z nim leżeć w jakimś rowie, oddawać się mu i przyjmować go w sobie, tyle razy i w taki sposób, jak tylko miała ochotę. Z każdą myślą podniecała się bardziej i czuła, że jej intymne miejsca są coraz wilgotniejsze. Wirowała. Tańcząc okrążyła wielkie łoże z baldachimem, przeszła przez pokój, schowała się za zasłoną i wyjrzawszy stamtąd, zapytała swoją panią, czy ma ochotę potańczyć, po czym razem, jak dwaj derwisze, przemierzyły pokój dookoła, a Brid myślała, że tańczy z Percym, i że Percy ugniata jej piersi, a to tylko była jej pani. Cztery piersi obijały się w tańcu, w apartamencie panny młodej, dzbanek na wodę klekotał w miednicy, a przysadzista Matka Boska z Limerick, ze złotego medalionu, patrzyła na nie z góry.

Na koniec pani, zziajana, poszperała w portfelu i dała Brid trzypensówkę. Brid nie kupi za nią cukierków, odłoży ją sobie na talk, który wchłania pot, żeby ładnie pachnieć dla Percy'ego.

- Jak się nazywa miejscowy lekarz? - zapytała potem pani, ale jakoś niezdecydowanie, jakby po namyśle.

- Jest tylko jeden - powiedziała dziewczyna. - Stack, doktor Stack. - Pomyślała, że to dziwne, aby kobieta pytała o lekarza w dniu swojego ślubu. Złożyła to na karb zdenerwowania i podziękowała Stwórcy za to, że jest młoda i że kiedy będzie spała z Percym, to na pewno nie w brązowym pokoju z brązowymi, skrzypiącymi meblami, ale na świeżym powietrzu, na miękkim, naturalnym posłaniu z bagiennych roślin, na moczarach, gdzie wszystko będzie się przesączało do jej ciała, a jego interes pozostanie w wyśmienitej formie.

Jej mąż i jego brat, Mick, konkurując ze sobą nawzajem, opowiadali historię o jętkach. Wszyscy troje siedzieli przy kominku, mężczyźni pili. Była przekonana, że właśnie tej nocy nabawiła się wstrętu do whisky. Dostała mdłości, które później zaczęto mylić z porannymi nudnościami. Taniec jętek. Jej ślubna bajka. Biała nocna koszula z atłasowymi wstążeczkami leżała na kołdrze, przygotowana przez tę dziewuchę. Ani śladu piżamy, czy choćby spodni od piżamy. Jej gadatliwy małżonek będzie goły, chudy i goły. Za każdym razem, gdy spoglądał w jej stronę, Mick uśmiechał się szyderczo, co sprawiło, że stała się podejrzliwa, zwłaszcza że przy kolacji nie zamienił z nią ani słowa.

- Dolewamy... James - powiedział brat do jej męża, a potem polał szczodrze, znowu uśmiechając się szyderczo. Pili z kieliszków z ciętego szkła, ona sączyła białe hiszpańskie wino o barwie bursztynu, ale w głowie też się po nim kręciło, mimo wszystko. Sypialnia, nocna koszula, rozbieranie się, osaczały ją nieustannie, jednak słuchała, udawała, że to ją ciekawi, a w przerwach mówiła: „Zmyślasz, James". – To było tak pełne podtekstów. Nazywał „Majowym Szaleństwem" taniec, zaloty i śmierć jętek. Czuła niestrawność po obiedzie: gulaszu z baraniny i polanym lukrem śliwkowym cieście, na którym masą w jaskrawoczerwonym kolorze wypisano ich imiona.

Whisky krąży mu w żyłach, oczy wyglądają jak wirujące kamienne kulki, a on, w gorączkowym podnieceniu, opowiada, jak z głębin jeziora wylatuje samiec jętki, który opuszcza larwalną powłokę, młodzieniec o długości jednego cala, i wtedy wraz ze swą damą zabierają się do rzeczy. Dama jest większa, mocniejsza, ona rozpoczyna tę grę z dala od wody, wysoko, wśród drzew i krzewów. Najpierw tańczą, a zaraz potem łączą się w miłosnym uścisku.

- Niewiarygodne - powiedziała spokojnie, w nadziei, że uda jej się go powstrzymać.

- Aż czarno się od nich robi - dodał, a jego brat zgodził się z tym,

przypominając mu jednocześnie, że samice są raczej żółtawe niż czarne, tylko czernieją od tej rozpusty.

- Racja - potwierdził, a potem ożywił się znowu i zaczął opisywać samicę, znacznie bardziej lubieżną, bardziej pożądliwą, która ciągnie swojego partnera do góry, wysoko, ponad drzewa, żeby się z nim połączyć, potem tańczyć i znowu się łączyć i kto wie, co jeszcze tam robić przez dwa dni, a trzeciego dnia, wypełniona mnóstwem jaj, wraca nad jezioro, opada na dół, uderza o powierzchnię wody i za każdym razem, kiedy o nią uderza, składa jaja, coraz więcej jaj, coraz liczniejsze potomstwo.

- Jezu, coraz więcej jaj - wtrącił brat, dotykając beżowej pończochy panny młodej, udając jednocześnie, że tego nie robi.

- Aż sama padnie, kompletnie wyczerpana - powiedział James i popatrzył na żonę, która coraz bardziej się czerwieniła, i pomyślał, że jego brat, ten silny, milczący mężczyzna, jego dziewiczy brat, będzie tym, który zdejmie te pończochy, który ściągnie je na dół, i zrobi to z taką samą zręcznością, z jaką zbiera śmietanę z mleka stojącego w garnkach.

- Czy samce też giną? - zapytała oschle. Obaj z bratem naradzili się bez słów, po czym wybuchnęli śmiechem.

- Czy samce też giną? - powtórzył brat. Nigdy się nad tym nie zastanawiali, ale przypuszczali, że samce też giną, nieszczęsne zboczeńce.

- Ale to samice kierują tym wszystkim, one osiągają swój cel - nalegał James.

- Dopóki całkiem nie opadną z sił - powiedział Mick i popatrzył na swoją bratową, i zastanawiał się, jaka będzie później, może mniej sztywna, może pokorniejsza.

- Cudownie - zachłysnął się James i opisał je jeszcze raz, jak zbierają się na drzewach i tańczą, i łączą się w pary, łączą się w pary i tańczą, jak chmara szarańczy.

- Kiedy opadają nad jezioro, jest około szóstej czy siódmej - dodał brat.

- Zmierzają do ostatecznego upadku - wyjaśnił Jamie.

- Samica uderza w powierzchnię wody i składa jaja - dorzucił brat.

- A potem znów w górę - kontynuuje Jamie.

- I znów dół - mówi brat - i składa jaja.

- A potem w górę - wykrzykuje Jamie i wykonuje gwałtowne ruchy rękami, żeby wyrazić to składanie jaj, opadanie, ponowne składanie jaj i w końcu ostateczny upadek.

- Nazywają je nimfami - powiedział brat.

- Co one jedzą, te stworzenia? - zapytała, przesuwając nogi, założone jedna na drugą, na sam koniec kanapy.

- One nie jedzą - odparł James, dodając, że żyją tak krótko, że nie muszą jeść.

- Ryby jedzą... Wciągają wyczerpaną, martwą samicę do pyszczka... Uwielbiają je - powiedział brat i tym razem popatrzył na nią bez szyderczego uśmiechu.

- Ale dają życie - odparł James i pomyślał, czy przypadkiem żona nie wolałaby bardziej romantycznej historii związanej z jeziorem Shannon - tej o Colleen Bawn, uwiedzionej kobiecie, którą utopiono. Później znaleziono w wodzie gorset, co pozwoliło wyjaśnić okoliczności jej śmierci.

Bez ostrzeżenia podniósł się, porwał ją z kanapy, i oddaleni od siebie na odległość wyciągniętego ramienia, szarpali się i mocowali, kiedy szli, przeskakując cienie w ponurym, oświetlonym lampą pokoju.

- Czyż to nie pani jest tą wspaniałą kobietą... tą piękną kobietą... szczęściarz z tego Jamesa... jasne, że wujostwo maczali w tym palce... pani mąż albo pani przyszły mąż, teraz tam na górze gra sobie w karty i dzięki pani staje się w pełni mężczyzną.

- Może przypadkiem widział pan mojego męża? - zapytała.

- Co! Czy widziałem! Przecież był z panią w łóżku przez całą noc, specjalność domu nad jeziorem... Tak będą to nazywać.

- Wyszedł wcześnie rano - powiedziała półgłosem.

- Żeby ochłonąć... Oni tacy są, on i jego brat... dzicy, namiętni

- Więc nie widział ich pan - powiedziała.

- Zdaje się, że słyszałem, jak tędy przemknęli - odparł i raz jeszcze pochwalił Brykusia, tego szaleńca z domieszką krwi arabskiej.

- Panie Doyle... - zwróciła się do niego.

- Panie! Dobry Boże! Jacko... tak mam na imię, pani uniżony sługa... pani mąż i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi... pijemy razem... włóczymy się razem... wżeniła się pani do najlepszej rodziny w całym hrabstwie... - Teraz jego włosy muskały czoło Josie, a udo mężczyzny w zatłuszczonych, czarnych spodniach przyciskało się do jej uda. Czuła jego zapach. Nigdy się nie mył. A przecież mieszkał tak blisko jeziora, że wydawało się, iż prosto z domu mógłby do niego wskoczyć. Na stole stały brudne naczynia. Drewno przygotowane do rozpalenia miało jaskrawozłoty kolor, taki, jak pewien gatunek grzybów, a obok kominka stała puszka z olejem parafinowym. Mężczyzna chcąc wytłumaczyć Josie, o co mu chodzi, coraz bardziej nachylał się w jej stronę, dotykając kolan kobiety. Teraz mówił o mieszanym pochodzeniu Brykusia, o tym jaki demon go spłodził. Brykuś dał się obłaskawić tylko trzem osobom: jej mężowi, szwagrowi i jemu. Za każdym razem, kiedy wstawała, żeby wyjść, przyciskał ją do krzesła. Miał wielkie ręce, ręce robotnika. Robił łodzie. Mełł jęzorem bez ustanku. Nie był zrzędny ani drażliwy, ale wygłodniały. Pomyślała o Brooklynie i o tym, jaki błąd popełniła, że wróciła do domu. Te przyjęcia z kartami, karciane sztuczki, porozumiewawcze mrugnięcia jej męża upokarzały ją teraz. Ciotka i wujek, którym obiecano wypas bydła za darmo, nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że po jednym dniu została wyrzucona jak śmieć.

- Wielki dom - mówił Doyle, pytając jednocześnie, czy nie uważa, że wziąwszy wszystko pod uwagę, jest za duży, za duży i za wiele w nim przeciągów. Scharakteryzował różnych właścicieli tego domu, a wśród nich inżyniera, który zbudował go według projektu z jakiejś

książki. Opisał też późniejszego lokatora, który w ogrodach botanicznych z całego świata zamówił krzewy i kwiaty.

- Co? - powiedział szorstko, jakby reagował na jej pytanie, ale ona nic nie mówiła, po czym wrócił do swojej czczej gadaniny, do domu, w który się wżeniła. Przeniósł się z tym bajdurzeniem na górę, do paradnych pokojów, jak je nazywał; do pokojów, gdzie przed nią spali już inni mężowie i żony, Anglicy i pół-Anglicy, a nawet jeden szczególny Anglik, który sprowadził sobie austriacką konkubinę, ale mu obrzydła.

- Czy jest coś takiego jak austriacka konkubina? - zapytał. Był teraz tak blisko niej, że miała wrażenie, iż się udusi.

- Pewnie tak - odparła, nie próbując utrzymywać zbyt wielkiego dystansu.

- No cóż, Austriaczka mu zbrzydła i zakochał się w Irlandce... wspaniałej, wysokiej Irlandce. Odesłał więc Austriaczkę do domu, i przyprowadził swoją Catherine, przez pierwsze kilka tygodni mnóstwo czasu spędzali tylko w łóżku, popijając gorący poncz... seanse popołudniowe i wieczorne, a potem ona dostała tych napadów samotności, i zachciało jej się wyjazdów do miasta, do pubu jej ojca. Przez pewien czas wszystko było w porządku. On pił, i ona piła z nim, a potem przywożono ich do domu zalanych w pestkę.

Mrugnął i zapytał, ile dni jest już po ślubie, potem szturchnął ją łokciem i powtórzył, że gromadka dzieci dałaby Jamesowi szczęście i przywiązałaby go do domu.

- Tak pan uważa? - zapytała.

- On kocha dzieci - odparł i dodał, że w całym hrabstwie nie ma lepszego mężczyzny i dżentelmena. Przyszła tu z nadzieją, że Doyle mógłby pójść z nią do jednego z tych miejsc, gdzie się pije i zwabić Jamie'ego do domu, ale teraz nie była w stanie go o to poprosić. W każdym razie Doyle raczył swego gościa opowieściami z życia tego domu, znowu trącał ją łokciem i trzymał kolanem niczym imadłem.

Najpierw musiał dokończyć o tym Angliku, który szalał za swoją Catherine, co to wróciła do domu ojca pod pretekstem pilnej wizyty u lekarza i trzy dni później przepadła, popędziła do Francji, awanturnica. Anglik był wściekły. Kupił buldożer i chciał rozwalić dom. Zniszczyłby go, gdyby nie to, że horda Austriaków zjawiła się, żeby go stłuc na kwaśne jabłko, więc musiał zniknąć. Niedługo potem przybył jego adwokat i wkrótce dom został sprzedany kolejnemu mężczyźnie, odmieńcowi, który zastrzelił się w kuchni. Tak, w kuchni. Karabin położył na krześle, spust przywiązał do dużego palca u nogi sznurkiem, a lufę włożył w usta.

- Jednak dzieci nie było - dodał ze smutkiem, bo chociaż James i jego brat mieszkali tu, ale rodzice osierocili chłopców we wczesnym dzieciństwie i kuzyni wzięli ich na wychowanie, więc ten dom nie zaznał dotąd dziecięcej wesołości. Taki był dom, w który się wżeniła, a zatem wiedziała już teraz, jak bardzo fałszywy obraz wytworzyła sobie, przyglądając się narzeczonemu, gdy grał w karty, sączył whisky i łypał na nią oczami. Często zabierał Josie na dwór i mówił miłe rzeczy. Mówił, że jej oczy są niebieskie jak zimorodki, niebieskie i wierne. Wierne! Coś podobnego.

- Gromadka dzieci, to zdejmie tę klątwę - powiedział Doyle. A kiedy usiłowała wstać, zaproponował herbatę i whisky - wszystko to nie ruszając się z miejsca. Odparła, że jest potrzebna.

- Gdzie? - zapytał.

W końcu zdołała wstać, a on, idąc za nią do drzwi, dotykał ramienia sąsiadki, a potem, stojąc w drzwiach, uniósł czapkę i podziękował jej tysiąckrotnie za to, że przyszła i zapewnił, że jest tu mile widziana o każdej porze, po czym odprowadził ją do połamanej bramy. Idąc w stronę pylistej drogi ciągle powtarzał, jaka przystojna z niej kobieta.

- Tysiąckrotne dzięki - jeszcze raz wykrzyknął swoje podziękowanie.

- Ma pan stąd przepiękny widok - odparła.

która miała złagodzić jej gniew, być formą podziękowania za przepowiednię.

- Musisz wrócić ze mną.

Dziewczyna szła kilka kroków za nią, kopiąc po drodze kamienie, tak że obracały się wokół własnej osi.

- Wiesz, nie powinnaś nosić fioletu - powiedziała, stojąc na frontowych schodach i wyciągając szyję, żeby zobaczyć wyposażenie korytarza.

- Dlaczego nie?

- Pewne kolory przynoszą nieszczęście.

- Wy, Cyganie, opowiadacie straszne bzdury - zirytowała się Josie, oddalając się, a potem wracając pospiesznie z jednym pensem i kawałkiem zimnego placka.

- Mężczyzna przyjdzie, a dziecko wyjdzie - powtórzyła dziewczyna i odeszła truchcikiem, spoglądając z niezadowoleniem na swoje łupy.

To była boczna ściana cieplarni, w której, jak mówił jej mąż, jedna szyba roztrzaskiwała się rok po roku, i nie robiła tego ludzka ręka, ale jakaś niewidzialna. Przyznał, że było to trochę niesamowite. Tak samo uważał szklarz, który zastanawiał się, dlaczego w tym miejscu nie utrzyma się żadne szkło.

Wilczarze w kolorze dymu były prawie niewidoczne, ich kształty wtapiały się w powierzchnię wzgórz i dolin, po których biegły. Szybkie, dziwaczne zygzaki, a potem pisk, taki sam za każdym razem, kiedy zagryzały królika. Mąż i szwagier, kiedy wrócili z hulanki, postanowili zorganizować dla niej widowisko, małe polowanie na króliki. Każdy z nich zaopatrzył się w butlę whisky, które ona musiała trzymać, kiedy ruszali po swoją zdobycz: zająca albo królika. Nieśli zwierzęta jak trofeum i kładli u stóp Josie. Kiedy po raz dziewiąty usłyszała pisk, który oznaczał zdobycz, miała ochotę iść do domu, ale Jamie nie chciał o tym słyszeć. Postanowił przystroić żonę w ten sposób, że położył dwa zające na jej ramionach niczym futrzany kołnierz,

były jeszcze ciepłe, a ich krew lekko bulgotała. Mężczyźni roześmiali się, dzikim, bełkotliwym śmiechem na wpół pijanych ludzi, a Jamie ucieszył się, że nie będzie musiała zamawiać katalogów kuśnierskich, bo mogą zrobić jej futro w domu, szarobrązowe cudeńko, które na pewno przewyższy każdy towar fabrycznego producenta.

- Powiedz Mike'owi za kogo cię wzięto na statku, kiedy wracałaś z Ameryki - zaproponował Jamie, szczypiąc w brodę Josie, a potem jeszcze ciepłe pyszczki królików. Nie chciała o tym mówić, a jej odmowa była dla nich próbą sił. Stali sprawdzając się nawzajem i zastanawiali się, kto pierwszy z nich trojga ustąpi. Martwe zwierzęta, drzewa, pola i góry, wszystko zawisło w niesamowitym, nieporuszonym odrętwieniu. Ani podmuchu wiatru. Ani kropli deszczu. Nie, nie powie. Pochyliła ramię, żeby się uwolnić od jednego ze zwierząt, żeby pokazać swoją wolę.

- Na statku myśleli, że jest Glorią Swanson - wyjaśnił James.

- Och, przestań - powiedział jej brat, chociaż nie miał zielonego pojęcia, kto to jest Gloria Swanson.

- Zabierzesz to w końcu? - zapytała, potrząsając prawym nadgarstkiem. Brat Jamiego będzie musiał odejść. Dwóch pijaków to o wiele za dużo.

Nie dawała mu z tym spokoju. Nie wyszła za mąż za szwagra, karciarza i nicponia. W końcu James ustąpił i wywołał brata ze stodoły, żeby mu oznajmić, że coś musi się zmienić, tylko że nie był w stanie wykrztusić, na czym te zmiany mają polegać. Ciągle częstował go papierosami, jednym za drugim i pytał, czy jutro powinni zaorać pole blisko domu, czy to drugie, oddalone. Nie potrafił się zmusić do tego, żeby powiedzieć bez ogródek: Mick, musisz się spakować i zabierać się stąd. Nienawidził jej za to, że go do tego skłoniła. Nienawidził jej za to, że leżała w łóżku, w koszuli nocnej, sztywna jak mumia.

Nienawidził też gorsetów Josie - różowych, zawiązywanych z tyłu na tasiemki, z metalowymi fiszbinami jak zbroja.

- Kobiety... Nigdy nie są zadowolone... Ustępujesz im i twoje życie zamienia się w piekło... Nie ustępujesz i także jest piekłem. - Powiedział to, stojąc tyłem do brata.

- I tak miałem odejść - odparł Mick.

- To nie powinno się stać... Nie powinno przydarzyć się nam, którzy byliśmy sierotami... Co by na to powiedziała matka? Co by powiedział ... ojciec?

- I tak miałem odejść.

- Och, Mick - westchnął, ale się nie odwrócił, z tego prostego powodu, że za bardzo się wstydził.

Mokre pola, glina pomiędzy źdźbłami traw, pola jak cmentarze, niezaorane. Minęło już dziewięć miesięcy od ślubu i nic się nie działo. Ludzie zaczęli gadać. Pił teraz znacznie więcej. Nie tak, jak na początku, kiedy nalewał whisky do kieliszków z rżniętego szkła i podnosił płyn pod światło, żeby wygłosić jego pochwałę. Nie było to nawet posępne picie, tak jak po odejściu brata, kiedy brał jeden z porządnych kieliszków i butelkę na pole i tam pił w samotności. Teraz to było inne picie - zawzięte. Chodził na popijawy. Mógł tam siedzieć cały dzień, całą noc, następny dzień, a nawet trzeci, aż w końcu przyprowadzali go do domu. Trzeba go było wnosić do środka. Czasami na nią krzyczał, a czasami wydawał się słodki jak miód. Chwalił ją za to czy tamto: raz podobał mu się koronkowy kołnierz Josie, innym razem jej gotowanie, czy ukryte talenty, a we wszystkim tym kryły się jakieś dwuznaczniki przeznaczone dla sąsiada, kierowcy, czy kogokolwiek kto przyprowadził go do domu.

Nigdy nie próbował wejść na nią nocą, kiedy był pijany, po prostu spał i ryczał, a jego kolana trzeszczały, kiedy wyginał podudzia w górę i w dół, naśladując jazdę na swojej ulubionej klaczy, wydawało się, że czuje kasztanowe boki klaczy i wtula się w nie. Rano natomiast wchodził na nią bez słowa, bo miała cholerny zwyczaj mówienia

„nie", „przestań" i „nie". Zamykał wtedy usta Josie dłonią, ściskając je w ten sposób, jak trzyma się zwierzę. Polubił władzę, jaką zyskał nad nią, każąc jej bezgłośnie śpiewać. Nazywał ją błotusią, to taki skrót od błota i mamusi, i opowiadał sprośności, kiedy podnosił się w niej i ożywał. Jej pan, okręt wojenny, kiedy usiłował rozewrzeć ją, wedrzeć się prosto do środka, przejść na wylot, do góry, a potem do ust i wyjść jako co...? Może dziecko. Dopiero wydając ostatnie sapnięcia z zaślinionych ust, uwalniał jej wargi, żeby usłyszeć to jej „nie", „przestań" i „nie".

- Teraz już nie może mnie pani zatrzymać, proszę pani - mówił, nazywając ją wszelkimi możliwymi imionami pod słońcem, także imionami wędrownych naprawiaczy garnków. Za każdym razem myślała, że będzie miała dziecko, potomka, syna. Żeby ją rozdrażnić, pytał, czy to jej sprawia przyjemność, a kiedy przeczyła, albo nic nie mówiła, chwytał łyżkę do butów, tę kościaną i wpychał ją do ust Josie. Wtedy ona zaczynała jęczeć i stękać i wydawać jakiś taki nieustępliwy dźwięk, który nie oznaczał wcale rozkoszy. Potem rechotał, bo ją posiadł, bo postawił na swoim. Przy śniadaniu żartował, mówiąc, żeby dupę nazywać dupą, a nie tyłkiem i zachwycał się, jaka z niej smakowita babka.

Następnie nie pił przez tydzień, albo przez dziesięć dni, dopóki nie był gotowy, żeby ją posiąść i dzień lub dwa wcześniej wszystko zaczynało go irytować: mleko, herbata, chleb, to że zegar się spieszy, albo późni. Odmawiał pójścia do sklepu po zakupy, to znów nalegał, że pójdzie, kiedy Josie zaczynała pompować koła roweru, by nagle z krzykiem cisnąć pojazd na trawę.

W wiosce zachowywał się jak dżentelmen: rozmawiał z ludźmi, kupował dziewczynom słodkie bułeczki i śpiewał piosenki, gdy go ktoś poprosił. Kiedy nie kupował bułeczek i nie dowcipkował, w jego oczach czaiła się jakaś pustka, jakby był zagubionym, oszołomionym zwierzęciem. Robił zakupy i albo wracał skruszony, albo ciskał je na

podłogę, i tej nocy, albo następnej już go nie było. Kilka dni później przyprowadzali go z powrotem, a rano właził na nią, rozgadany rekwirował nie tylko jej wnętrze, ale ją całą, a ona ciągle, kurwa, ona nie zachodziła w ciążę.

- No, dobra, dobra dziewczyna... Dobra dziewczyna - Brid złapała za ogon czerwoną kurę, przytrzymała ją za szyję, żeby przestała gdakać, a potem z wysiłkiem wyciągnęła jajko. Jajko jest miękkie, takie samo co drugi dzień, bo Moirze, tej kurze, czegoś brak. Brak jej wapnia, stąd to miękkie jajko, potrzebne, jajko, którego nie można przegapić. Brid używa żółtka do rozjaśniania włosów, a białka jako maseczki do twarzy. Przeczytała o tym. Trzepie jajko widelcem na głębokim talerzu, kiedy nie ma nikogo w pobliżu. Nie za mocno, żeby było sztywne jak należy. Jest trochę podobne do czegoś zupełnie innego, do tego, co ma Percy, kiedy zaczyna gotować się w niej. Zawsze chce to z niej wyciągnąć. Ale ona z nim walczy, nie chce, żeby wylało się na trawę, zmarnowane. Chce to mieć w sobie, żeby wypełniło ją żarem.

- Będziesz mieć dziecko - uprzedza ją zwykle Percy.

- Chcę mieć dziecko - przywiera wtedy do niego. Na wpół w niej, na wpół na zewnątrz, Percy ze zdumieniem patrzy na tę żądzę i śmiałość, kiedy Brid pochyla się i pije to do ostatniej kropelki, mówiąc, że i tak będzie miała to w sobie, że wypełni się nim. Tłumaczy mu, jak to smakuje. Czy tak jak seler, czy pasternak, czy ulepek. Za każdym razem smakuje inaczej. Potem Percy się obraża. On nie chce dziecka. Nie chce odpowiedzialności. Mówi, że Brid też nie chce dziecka. Skąd on to wie. Maleńka kruszynka, którą można trzymać w ramionach, jak lalkę, tylko rumieńce na policzkach ma coraz to innego koloru, raz robią się czerwone, raz celgastobrązowe, malutkie stworzonko, które płacze, kiedy chce jeść, a potem nie płacze, tak bardzo jej własne. Dałaby mu ładne imię. Deirdre, albo coś podobnego. Pani też nie chciała dziecka. Nosiła za ciasne gorsety. Potrzebowała

pomocy przy sznurowaniu, bo trzeba było tak długo ciągnąć tasiemki, aż miała talię jak osa i z trudem mogła oddychać.

- Specjalista powiedział mi, że mogę w ogóle nie mieć dzieci - wyjaśniła pani.

Nie do wiary - pomyślała Brid i, ociągając się z odejściem, czekała na sześciopensówkę lub jakiś ciuch, który mogłaby dostać za przysługę.

Dziecko. Płakało w niej. Słyszała je o każdej porze. Nie kopało, tylko płakało. To nie było normalne dziecko. Modliła się, żeby zniknęło. Każdego ranka przeszukiwała muszlę klozetową, żeby znaleźć jakiś ślad i raz aż wrzasnęła z radości, ale okazało się to tylko złudzeniem. To, co wzięła za krew, było tylko brązową plamą na zniszczonej porcelanie. Dziecko płakało w jej łonie. Wydawało się jej bardziej zwiastunem śmierci niż dzieckiem. Modliła się, żeby je stracić, żeby jego płacz oznaczał, iż nie chce żyć. Mąż wysłał Josie do lekarza, aby ten dał jej coś, nieważne co, jakieś naboje do jałowego łona.

- Pani mąż zaczyna się wściekać - powiedział doktor Stack.
- Nie wiem, dlaczego - odparła.
- Nie daje mi spokoju! - kontynuował.
- Nie daje panu spokoju? - powtórzyła figlarnie, udając, że jest zaskoczona.
- Właśnie dlatego jest pani tutaj... Rozkazy męża, a kłopot lekarza - stwierdził, obrzucając ją wzrokiem od stóp do głów, taksując jej wdzięki. Była jędrna, wyprężona i odchylała się nieco, kobieta, która sama prosi, żeby się do niej wedrzeć.
- Wysłuchuje pan bolączek wszystkich ludzi? - zapytała.
- Jasne, że tak - odparł. Podobały mu się błyski w jej oczach, jak błyski mieczy.
- A jakie są pani bolączki?
- Czuję się samotna - powiedziała i udała, że ziewa.

- Jak to możliwe?

- Och... Ciemne wieczory... Zwierzęta... Ryczące w swoich przegrodach w stajni... Monotonia codziennych zajęć.

- Ergo... Przyszła pani do doktora Stacka.

- Pierwszej niedzieli na mszy zastanawiałam się, kim jest ten dziarski mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny. - Jeśli ktoś w ogóle mógłby jej pomóc, to tylko on. Był ludzki, trochę pił, pacjenci go lubili i miał liczną rodzinę.

- Wspaniale - powiedział i pochylił się nad nią, żeby sprawdzić, czy nie ma anemii. Kiedy odciągał jej dolne powieki, poczuł pod palcami coś nienaturalnego, jakąś miękkość, jakby zsuwał gąsienice z kapusty.

- Potrzebuje pani żelaza - zawyrokował.

Potem opukał jej klatkę piersiową, szybkimi, mocnymi ruchami, aż skrzywiła się z bólu.

- Muszę jeszcze rzucić okiem na drogi rodne - dodał.

- Nie dzisiaj... Nie dzisiaj - wyszeptała błagalnie.

- Czy to dzisiaj babski dzień? - zapytał i chociaż nie była pewna, co miał na myśli, skinęła głową, po czym odwróciła ją, nieco przesadnie demonstrując zakłopotanie.

- Człowiek potrzebuje tego delikatnego podejścia... Tego aksamitnego dotyku - stwierdził i zaczął przesuwać rękami po jej ciele, przeszukując je cal po calu. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy wymacał podpaskę higieniczną.

- Przyjdę innym razem... innym razem - powiedziała, błagając go wzrokiem o zrozumienie, o wczucie się w jej obawy, w jej lęki. Dostrzegł łzy w oczach kobiety i cicho zapytał, co się stało.

- Myślę, że po prostu jestem wyczerpana - oznajmiła i zrobiła aluzję do tego środka wzmacniającego z żelazem.

- Wydaje mi się, że to sprawa libido... Nie ma rzeczy, której bym nie wiedział na temat kobiecego libido - odparł i palcem złożył na jej brwi symboliczny pocałunek.

Kiedy zatrzymali się, żeby siedząc w jego samochodzie, podziwiać panoramiczny widok na jezioro, postanowiła, że zaryzykuje. Będzie

rozmawiać szyfrem i on odpowie jej szyfrem. Kiedy mówiła, jak to podnosi na duchu, gdy się znajdzie przyjaciela, dotknęła jego ręki leżącej na kierownicy.

- Przyjaciela... Kochanka... I lekarza - powiedział z dumą.

- Tak - wyszeptała drżącym głosem. A potem dodała, że coś w niej jest, coś niepodobnego do prawdziwego dziecka, i błagała go, żeby jej pomógł.

- W jaki sposób?

- Mógłby mi pan coś dać, jakieś lekarstwo.

- Chodzi pani o usunięcie - domyślił się i spojrzał na nią z nienawiścią. Czy prosiła go o wejście w zmowę, widząc, że poruszyła go, kiedy otworzyła się przed nim, czy chciała, by złamał prawo natury i przysięgę Hipokratesa, popełnił morderstwo.

- Nie proszę pana o to... Wcale nie o to - powiedziała i odwróciła głowę.

- Napytała sobie pani biedy czy nie? - zapytał.

- Nie - odparła i zaczęła płakać.

- Powinna pani grać na scenie - stwierdził i odtrącił jej rękę.

Inaczej prowadził teraz samochód, tak, że ten dygotał i szarpał, mokra wstążka drogi nadbiegała w ich kierunku, połykali ją, a siedzenie, które wymagało zmiany tapicerki, podskakiwało pod jej ciężarem. Ciągle manipulował pokrętłem od radia, usiłując usłyszeć godzinę i wiadomości. Josie bez przerwy trajkotała. Mówiła, że jej mąż zastanawia się, czy nie zacząć uprawiać nowej pastewnej odmiany buraków, która, jak piszą w broszurze, wolała glebę wapienną.

- Jamie ma dyplom z rolnictwa - dodała.

- Będzie go potrzebował - odparł doktor i z piskiem opon zatrzymał samochód na skrzyżowaniu, pół mili od jej domu.

- Proszę mi wybaczyć, ale wzywają mnie obowiązki, przychodnia na pewno będzie pełna - usprawiedliwił się.

- Przyjdę do pana jeszcze - zapewniła, ale on nie odpowiedział.

- Co ja mam zrobić - powtarzała, idąc w kierunku bramy i z powrotem do skrzyżowania, a potem znowu do bramy. Usilnie starała się znaleźć jakieś wyjście. Nikomu nie mogła o tym powiedzieć. Na pewno nie swojej matce. Matka zawsze jej nienawidziła, bo ojciec rozpieszczał córkę. Kładł poduszkę na kierownicy roweru i zabierał Josie na przejażdżki. Matka miała zwyczaj opowiadać o porodach, szczególnie o tym, kiedy ją rodziła. Trwało to dzień i noc. Josie zamiast wychodzić, tłukła się po jej brzuchu, a główka dziewczynki jak żelazna piłka wychodziła, cofała się znowu, uparta, zakrwawiona główka. To dziecko, które miało się narodzić i jej matka stanowiły jedno, zawarły przymierze przeciwko niej. Nie, nie mogła mieć dziecka i nie mogła go nie mieć. Nie miała komu o tym powiedzieć.

Nad jeziorem słychać było porykiwania jej męża. Jego wyrafinowany gust odnośnie wyrobów szklanych dawno już przepadł. Wystarczała mu teraz sama butelka. Czasami brał łódkę i pozwalał jej unosić się na wodzie. Jego krzyki słychać było po przeciwnej stronie jeziora. Na brzegu chodził wielkimi krokami. Bóg jeden wie, ile mil zrobił, krążąc po polach i po brzegu jeziora, a potem w stronę domu i z powrotem. Niechętnie wchodził do środka.

Czegoś szukał. Swojego dzieciństwa. Dziecka, którego nie miał. Rankiem, z powodu szczurów, w łóżku wypijał dzbanek herbaty i sok wyciśnięty z pomarańczy. Zmiażdżone połówki pomarańczy przypominały jej własne, zmaltretowane piersi. Wiedział, że ubliża mu sposobem, w jaki mu usługuje, tą błagalną uległością, która była czymś nowym. Domyślał się, ale nie miał pewności.

Kiedy dopadło go ***delirium tremens,*** tak że każdy sprzęt w pokoju zdawał się pełzać, a z tapety wyłaziły czarne robaki, wysłała go do klasztoru, czterdzieści mil stąd. Tam, przez te wszystkie tygodnie, siedząc w kuchennym ogrodzie, opowiadał swoją historię mnichowi, który złożył śluby milczenia i mógł tylko patrzeć, z nieskończoną

powagą i zakłopotaniem na mężczyznę mówiącego, że kobiety są zimnymi i niedostępnymi archipelagami, że kobieta potrafi wmówić mężczyźnie, że białe jest czarne i odwrotnie. Paciorki w różańcu mnicha stukały lekko, kiedy pracował. Dni mijały powoli, a w nocy mężczyzna ten jęczał i wykrzykiwał coś w swojej samotności.

Paud nie był w stanie patrzeć na panią, wolał raczej skupić uwagę na jej szarej spódnicy z kilkoma zakładkami na pośladkach. Wpatrywał się w serduszka wyszyte szarą nitką na szczycie każdej zakładki. Nie mógł uwierzyć, że jest z nią w kuchni sam na sam. Powiedziała, że mąż wyjechał w interesach. Dopadła go w polu przed domem, krzyknęła: „Hej, ty tam" - a on uciekł, myśląc, że obwini go o kłusowanie. Wrzeszczała dalej, a on zastanawiał się, że jeśli się nie zatrzyma, to pani pójdzie do jego domu, zawoła ojca i zrobi awanturę, więc się poddał.

W kuchni wypytywała go, czy potrafi pomagać w gospodarstwie: zaprząc konia, doić krowy, zawieźć mleko do mleczarni.

- Może - powiedział, głowę miał spuszczoną, jego pomarańczowe włosy ociekały wodą, a okulary były zaparowane. Nie mógł patrzeć na panią. Miał ochotę uklęknąć u jej stóp i uwielbiać ją, dotknąć szarej tkaniny z ruchliwym szeregiem zakładek. Często ją widywał, jak jechała na rowerze, a raz w drodze na mszę nawet zemdlała* przed jego chatą i trzeba jej było pomóc wrócić do domu. Matka przyniosła jej wody, której pani jednak nie wypiła, bo szklanka była brudna. Nie powiedziała tego, ale dostrzegł obrzydzenie na jej twarzy, kiedy oddawała szklankę z powrotem. Następnego dnia, w podziękowaniu za pomoc, przysłała bańkę czerwonych i czarnych porzeczek, żeby upiekli sobie ciasto.

Teraz zasypywała go gradem pytań: Czy umie dodawać i odejmować? Co wie na temat nieszczęsnej historii swojego kraju? Natychmiast zaczął recytować wszystko, co jego nauczycielka, panna McCloud, wbijała do głowy jemu i innym, dzień po dniu, jak ich ojczyzna,

ich ukochana ojczyzna była łupiona, plądrowana i gwałcona przez siostrzany kraj. Panna McCloud mówiła o bitwach i powstaniach, o wielkich bitwach i tych mniejszych, o kuźni, która kuła piki i karabiny, a potem o tragicznej ucieczce lordów*, którzy musieli walczyć na kontynencie, a potem o czarnym roku 1847 i 1848 **, o pełzającej śmierci, o kobietach zbierających chwasty, żeby utrzymać przy życiu swoje dzieci, o zdziesiątkowanych mężczyznach, którzy podkradali się do gospodarstw hodowlanych w nadziei, że będą w stanie zdobyć choć trochę bydlęcej krwi dla swojej rodziny. Potrafił jedynie powiedzieć, że zna piosenki buntowników, a jego ulubioną jest „Roddy McCauley idzie dziś umrzeć na moście na Toome".

* Ucieczka lordów (ang. Flight of the Earls) - dobrowolne udanie się na wygnanie na kontynent Hugha 0'Neilla i 19 innych przywódców Ulsteru i oddanie w ten sposób w rece Anglików ostatniego bastionu irlandzkiej niezależności, po przegranej wojnie dziewięcioletniej (1607 r.).

** 1847, 1848 - lata klęski głodu w Irlandii (ang. patato famine), kiedy to około pół miliona ludzi zmarło z głodu, a około miliona wyemigrowało, głównie do USA.

- W tym tygodniu trzeba zabić świnię - przerwała mu szorstko.

- Mój ociec może ją zarżnąć - zaproponował. Mrugnął oczami, w nadziei, że w ten sposób wytrze wodę ze swoich okularów. Bał się, że zemdleje.

- Ojciec, nie ociec - poprawiła go i kazała mu powtórzyć to słowo. Wyszywane serduszka na szczycie każdej fałdki nakładały się na siebie.

- Ojciec - powiedział niepewnie i modlił się, żeby go wypuszczono, żeby pozwolono mu zanurzyć się w wilgotną anonimowość pól.

Miał rozpocząć pracę natychmiast, będzie czyścił zabudowania gospodarskie, karmił jedynego pozostałego konia i przyprowadzał bydło z pastwisk przed zapadnięciem nocy.

Pół drogi biegł alejką, a potem popędził na skróty przez pola i przełaz nad ogrodzeniem, żeby opowiedzieć matce tę nowinę.

Zaledwie poprzedniego wieczoru sprawiła mu lanie, wymyślając od nierobów, obrzucając go najróżniejszymi wyzwiskami, bo zostawiła go z dwójką dzieci, a kiedy wróciła do domu zastała ogień wygaszony, dzieci popłakujące, a chleb tylko na wpół upieczony.

- Dostałem robotę w wielkim domu - powiedział i skłamał, że będą mu płacić. Pani nawet nie wspomniała o pieniądzach. Matka machnęła ręką mówiąc, że to nie potrwa długo. Znała dobrze tę kobietę, słyszała od Brid o jej humorach. Kobieta z wielkiego domu nie była w stanie zbyt długo zatrudniać dziewczyny lub chłopaka, jej gorycz i humory były silniejsze niż ona. Matka przytoczyła słowa Brid, która przez dwa dni siedziała zamknięta w sypialni i dostawała tylko suchy chleb i wodę, zamknięta za kradzież, której nie popełniła. Pani sama ukradła ten szal, sprzedawczyni wszystko widziała, ale czym innym była sprawiedliwość dla ludzi z wielkiego domu, a czym innym dla dzierżawców i ich przyjaciół. Przypomniała mu też o szklance wody, o geście, który tamta kobieta odtrąciła, a potem o tych kilku porzeczkach - ledwie ich wystarczyło na placek. Wspominała też o mężczyźnie nad jeziorem, ryczącym coś do siebie, który przechodzącym nieznajomym opowiadał obrzydliwe sekrety na temat swojej żony.

Paud nie słuchał tego, przypomniał sobie, że w pewnym momencie w tamtej kuchni, widząc że pani ma rozwiązane sznurowadło, poczuł takie nieodparte pragnienie, żeby uklęknąć i zawiązać je. To były brązowe buty z niewielkimi wycięciami na palce, a sznurówki miały w ciemniejszym kolorze. Przypomniał też sobie, że pani pytała go, czy w jego rodzinie mają krzywicę, odparł, że nie, ale jego siostra kiedyś, dawno temu, przechodziła szkarlatynę.

- Daję ci w najlepszym razie tydzień - mówiła matka.

- Wczoraj mówiłaś, że pójdę do poprawczaka dla chłopców - powiedział.

- I właśnie tam skończysz - odparła i z rozmachem walnęła go w twarz, strącając mu okulary.

Nie dbał o to. Będzie obok pani, na jej orbicie, będzie, przynosił jej świeże jajka i warzywa. Zrobi wszystko, czego ona zapragnie. Kochał ją wtedy. Wyrzeźbi jej imię na korze drzewa, obok imienia jej męża. Dobrze znał ich posiadłość - każde drzewo i kępę drzew, każdy pagórek i pola, ciągnące się aż do jeziora, i łódkę z wiosłami, które poruszały się z głuchym stukotem. Zielone pola i zielone prowincje, tylko że jedna prowincja właśnie się odrywała. Kiedy był bardzo mały, myślał, że zostanie księdzem, ale później złożył przysięgę, że uratuje swój kraj. Zrobił to dzięki pannie McCloud i był bardzo dumny, kiedy kazała mu wstać i powiedzieć całej klasie, gdzie leży ich przyszłość.

- Przyszłość leży w zjednoczonej Irlandii - tak odpowiedział i w to właśnie wierzył. Teraz miał dwie miłości, Irlandię i panią. Będzie przynosił drewno i torf do salonu, zobaczy pudełko z ciastkami, a jeśli ona zaproponuje, żeby sobie jedno wziął, to poczęstuje się różowym wafelkiem wypełnionym czymś podobnym do kitu. Widział takie pudełko w sklepie, na wieczku widniał obrazek każdego ciasteczka jakie znajduje się w środku, ale nigdy ich nie jadł. Zobaczy ozdobny stół zrobiony z poziomkowego drzewa. Kiedy pani się złościła, na szyi występowały jej różowe plamy. Boże broń, żeby kiedykolwiek ją rozgniewał, lub zawiódł. Miał dwie miłości, dwie kobiety, dla których gotów był umrzeć - Irlandię i swoją panią.

Przyczyną ich zguby stał się krótkowidz z zielonym nalotem na zębach. Nie umiał się podpisać, a jednak wniósł w ich życie tylko nieszczęście. Najpierw była wpadka z gorsetem, a potem ten pożal się Boże republikanin i jej mąż. Poszli w nocy na pole, żeby go stamtąd zabrać. Wszystko byłoby w porządku, gdyby tamten chłopak stracił życie, ale to jej męża trzeba było poświęcić. „Przypadkowa śmierć", jak to zostało nazwane - schowek z bronią, prostak, policja, ciemność, bałagan, i nikt dokładnie nie wiedział, co się stało. W

śledztwie opinie były różne. Mówiono, że pierwszy strzał to tylko omyłka.... Z czarnym rombem na rękawie płaszcza musiała siedzieć tam i słuchać, jak Paud mówi: „Nic nie zrobiłem... Było tam kilka starych karabinów, których pilnowałem... Nie wiem, skąd się tam wzięły".

Historia nałożyła na nich okup, choć powinna pozostać w kronikach na wieczne czasy. Jakże często obraz męża powracał do Josie, żeby ją straszyć: Jamie stojąc w drzwiach, lekko pijany, mówił z czkawką, że mają małą sprawę do omówienia, że muszą ukryć Pauda, dać mu schronienie na tydzień, a potem wyprawić go do Anglii, do kuzyna w Dagenham.

- Co zrobił tym razem? - zapytała. Unikał bezpośredniej odpowiedzi, tłumaczył, że nie jest pewien, chodziło o jakieś ulotki, a potem wyszło na jaw, że Paud pilnował karabinów na polu, za jakiegoś faceta, poszukiwanego przez policję.
- Składu broni? - zdumiała się.
- Kilku cholernych karabinów - odparł.
- Nie w moim domu, nie w moim domu - zaprotestowała - i dodała, że Paud nie ma dość oleju w głowie, żeby pilnować owiec.
- Najwyżej tydzień - powiedział.
- Ci, którzy postawili chłopaka na tym polu, mogą go ukryć - odparła i powtórzyła, że jej dom to jej dom. Walczyli o to zażarcie. On wskrzeszał każdy, najdrobniejszy nawet odruch sympatii, jaki kiedykolwiek miał dla Fenian *, ona zaś mówiła, że to absolutnie wykluczone.

* Fenianie - tajna organizacja irlandzka, założona około 1858 r., dążąca do odzyskania przez Irlandię niepodległości na drodze walki zbrojnej. Swoją nazwę wzięli od legendarnych wojowników starożytnej Irlandii.

Jamie bił ją i nienawidził nie tylko przez wzgląd na Pauda, ale także dlatego, że zawsze potrafiła postawić na swoim: nigdy więcej koni czystej krwi, żadnych kucyków - nudna haröwa w gnoju. Wyłudziła też tytuł własności domu na swoje nazwisko. Upokarzała go, dając mu co sobota kilka szylingów jak służącemu. Kiedy okładał ją

pięściami, wezbrał w nim stary gniew, a czkawka targała nim wściekle. Obiecał, że ukryje Pauda, zrobi to i koniec. Strach kazał Josie działać. Dawno temu, kiedy dzielni mężczyźni ginęli od strzału za swe przekonania, albo dzielne kobiety ukrywały ochotników w schowkach pod ławami do spania czy w bańkach na mleko, polityka była czymś innym. Teraz posługuje się szantażem, rozbojem i mordowaniem z zimną krwią. Następnego dnia, wcześnie rano, zanim ktokolwiek wstał, wsunęła anonimowy list pod drzwi sierżanta. Skąd mogła wiedzieć, jak to się skończy. Skąd mogła wiedzieć, że jej mąż wyjdzie do wsi pod osłoną ciemności, albo że policjanci będą czekać, albo że jej mąż się upije, albo że podczas awantury dojdzie do wymiany ognia, i że jej mąż zostanie śmiertelnie ranny. Tak, mroczne nici historii zakreślają pętle do tyłu i do przodu i chwytają w swój uścisk ludzi podobnych do niej jak w sidła.

Zaczęła tracić rozum, myliła kwiaty z ptakami, nieruchome przedmioty z ruchomymi, wysysała sok z łodyg dzikich irysów i mówiła do siebie. Bała się, że jej mąż wraca, żeby ją oskarżyć. Czy wiedział, że to ona go wydała? Nikt nie wiedział. Jednak nie mogła wejść do jego sypialni. Spała w kuchni przy piecu i opuszczała dom o świcie, wałęsała się i mówiła do siebie. Na pewien czas trzeba ją było oddać do szpitala. Dostała mały pokój w domu opieki, nazwany imieniem świętego Tadeusza Judy, patrona od spraw beznadziejnych. Zakonnice i księża mówili jej, żeby wymazała wszystko z pamięci, że to była wola Boża. Sporadycznie pojawiał się jakiś gość. Zakonnice powtarzały stale, że powinna więcej obcować z ludźmi, że za bardzo zamyka się w sobie. W końcu musiała wrócić do domu i stawić temu czoło, prowadzić gospodarstwo i zdać się na robotników i pośredników, którzy radzili jej, co kupić czy sprzedać. Nadeszły lata zobojętnienia i rozgrzeszenia.

Niewola

Znowu noc. Dni po odejściu siostry Morrissey ciągną się jak wieczność. Żadnych listów w skrzynce przy bramie cmentarnej, gdzie listonosz ma je zostawiać. Zbyt zajęty, by wejść do domu. Wszyscy są zbyt zajęci, nie tak jak w dawnych czasach, kiedy ludzie gawędzili ze sobą i długo nie mogli się rozstać. Coraz więcej myśli o dawnych czasach, o całonocnej grze w karty na Boże Narodzenie, o wytwornych mężczyznach, którzy wynajmowali u nich pokoje w maju, a rano wyruszali nad jezioro z koszami pełnymi jedzenia i sprzętem wędkarskim. Wracali wieczorem, żeby wziąć kąpiel i zjeść obfity obiad. Oboje z Jamie'em nadskakiwali im, przynajmniej raz ze sobą zjednoczeni. Jedna z żon, miała na imię Hilda, wiecznie otoczona wianuszkiem mężczyzn, była nieco złośliwa, ale obiad chwaliła. Podali wtedy pstrąga w ciemnym sosie z masła, smażony drób i Queen of Puddings *. Na koniec dnia wszyscy sadowili się do wspólnego śpiewania. Anglicy. Angielskie piosenki. „Greensleeves" i „Burlington Bertie, I Rise at Ten Thirty".

* Queen of Puddings - pudding z okruchów chleba i mleka, posmarowany z wierzchu dżemem i ciastem beżowym.

Jamie śpiewał o Kevinie Barrym * i nikt się temu nie sprzeciwiał. Dawne czasy pogrzebane, uwięzione w nierzeczywistości jak bajka.

* Kevin Barry - osiemnastoletni uczeń, którego stracono za udział w morderstwie trzech żołnierzy na ulicy w Dublinie, jesienią 1920 r. - stał się chłopcem-męczennikiem w Irlandii, bohaterem wierszy i piosenek.

Przez na wpół otwarte okno ubikacji Josie widzi księżyc, fragment oszronionego trawnika i żwir na ścieżce, nienaturalnie zesztywniały. Jest w tym coś pięknego, nieskrępowanego: szron jak mgiełka pokrywa wszystko, a na posrebrzonej trawie opadłe liście i zgniłe jabłka sterczą niczym dekoracyjny motyw. Josie myśli jak spokojna i niezmienna może być przyroda. Ale stajnie wydają się opuszczone w świetle księżyca. Widząc je z oberwanymi drzwiami, przypomina sobie, jak chodziła tam płakać po śmierci męża. Siadała na przegrodzie albo na balu drewna i piła herbatę. Tak jakby nie mogła pojawiać się w domu, jakby na ten dom nie zasługiwała, mimo że stał się jej własnością wiele lat temu. Tylko w ogrodzie czuła się jak u siebie. Lubiła chwasty i kwiaty: niebieskie i żółte kwiaty, które przedzierały się przez dzikie zarośla; lubiła też trawnik zamieniony w trzęsawisko przez zwierzęta przekradające się tu przełazem. Raz czy dwa pomyślała: „Upiekę placek z jabłkami", a potem zastanawiała się, kto go będzie jadł. Biedny Jamie. Starała się myśleć o rzeczach miłych, które wzbudzały w niej czułość i łagodność, o czasie, kiedy się załamał. Źródłem wszystkiego były konie. Karkami niedbale opierały się o drzwiczki boksów, miały wypukłe oczy pokryte niebieską błonką, kępki siana wypadały im spomiędzy warg, długie półwyspy ich pysków wydawały się samotne, dopóki tam nie przyszedł, i nie zawołał pieszczotliwie po imieniu. Traktował je niczym konkubiny. Być może przemawiała przez nią zazdrość, ale był też w niej strach, strach przed konsekwencjami. Nienawidziła tych koni czystej krwi równie mocno, jak on je kochał. Widziała w nich tylko dzikie, wyrywające się zwierzęta, z pianą na pysku, próbujące połamać swoje przegrody w

stajni albo uciec z nich. Za każdym razem, kiedy wychodził z domu z lonżą, wiedziała, że spędzi w polu całe godziny. Człowiek i zwierzę będą wirować, dookoła, dookoła, w jakimś ekstatycznym szaleństwie, wrogowie, ale też przyjaciele. Nigdy nie miała pojęcia, ile ich jest. Kilka klaczy było na polach - tam nigdy nie chodziła. Dowiadywała się od innych, albo z jego rozmów telefonicznych, że następna ma zostać wysłana. Padały wielkie słowa o matce i babce i o tym, jak ocenia ją ten trener albo kupiec. To musiało się stać. Konie czystej krwi trzeba karmić najlepszym ziarnem, trzeba im dostarczać środki wzmacniające i wysyłać do dużych stadnin do pokrycia. Wiedziała, że staną się ich zgubą. A kiedy to nadeszło, wyglądało inaczej, niż się spodziewała. Był załamany jak dziecko. Tego ranka, gdy przeczytał w „Gazecie" swoje nazwisko i wysokość swoich długów.

- Jestem zrujnowany... Zrujnowałem cię - powiedział, a ponieważ płakał, nie była w stanie go zwymyślać.

- Razem w tym tkwimy - odparła, a on wyciągnął do niej rękę, otworzył się przed nią, i prosił, żeby mu wybaczyła... Matka nie powinna go osierocić. Ojciec tak samo. Nigdy nie dali mu szansy. Rodzice zatrudnili niańkę do dzieci, a sami każdego dnia jak papużki nierozłączki przesiadywali w tym dużym pokoju, pili i prawili sobie czułości jak nowożeńcy. Widział, jak ojciec czesał matkę, a potem szczotkował jej włosy, używał szczotki i grzebienia naprzemiennie. Kiedy czesał jej długie, gęste, brązowe włosy spoglądała w ręczne lusterko, żeby widzieć, jak mąż patrzy na nią z miłością, i odwzajemnić mu tę miłość w lusterku. Nienawidził tego. Krzyczał: „Mamo", a oni śmiali się z tego dziecinnego błagania.

Matka zachorowała. Przynoszono jej na górę alkohol z utartymi jajkami. Jego i brata wpuszczano do pokoju matki tylko sporadycznie, na ogół wieczorem, kiedy nie mogli nic zobaczyć. Miała bardzo słaby głos. Mąż obejmował ją delikatnie, jakby była nitką babiego lata. Tej nocy, gdy umarła, on i jego brat wiedzieli o tym, chociaż w ogóle im nie powiedziano. Ludzie przybywali dwukółkami albo konno,

korytarze pełne były bieganiny i nawoływania się, migotania lamp i zgiełku. A potem przyjechał samochód. To pewnie był lekarz. Dzieci dostały ciasto z kminkiem w swoim pokoju. Jamie siedział na podłodze, złościł się i wydłubywał z ciasta wszystkie, bez wyjątku, ziarenka kminku.

- Moja mama umarła, moja mama nie umarła - powtarzał.

Miał wtedy zaledwie trzy lata. Wtedy usłyszał ciszę, która kontrastowała z wcześniejszym zgiełkiem, bezmierną ciszę, a potem ten straszliwy ryk - wycie męża po stracie ukochanej, która zgasła, umarła, opuściła go. Całował martwe ciało, któremu ksiądz udzielił ostatniego namaszczenia, i długi warkocz, żeby się z nią połączyć. A dzieci? Na własne oczy oglądały to gorączkowe pożegnanie i czuły się zagubione, ale nienawidziły tego mężczyzny, który nawet nie pomyślał o swoich dzieciach, i nienawidziły tej kobiety, która była na tyle okrutna, żeby umrzeć. Niedługo potem, tak jakby zachłannymi pocałunkami wyssał z niej śmierć - poszedł za nią do grobu, połączył się ze swą „Jenny o jasnobrązowych włosach", zostawiając sieroty, którym wolno było zaglądać do pokoju chorego, zaglądać do umarłego, ale nigdy nie wprowadzono ich do środka, nie dano im we wszystkim uczestniczyć. Właśnie wtedy wykiełkowała w nim jakaś nieudolność.

- Czy to dlatego ożeniłeś się ze mną, Jamesie? - zapytała dwa razy. Rozpłakał się i powiedział:

- Mogło tak być... To mogło być to - i popatrzył na nią przeraźliwie żałośnie, a łzy w jego oczach, łzy koloru mleka, wyglądały jak bąble. Zrobili krok i zrobili go razem. Po tym wszystkim, kiedy widziała go, jak siedział z pledem na ramionach, przypominał jej chorego konia, w którym wygasła wszelka żywotność. Branie jej siłą, maltretowanie, smarowanie wazeliną, to wszystko było już przeszłością. Wieczorami siadywali obok siebie, w cieplarni, skostniali z zimna, dopóki nie pojawiły się gwiazdy, a on opowiadał jej historyjki, te same, które uwielbiał opowiadać na okrągło: o sobie, o dniach,

kiedy lubił się wyszumieć, opowiadał jej to wszystko nie jak żonie, ale jak miłej, starej pielęgniarce, która smarowała mu piersi olejkiem eukaliptusowym i dawała na łyżce syrop od kaszlu.

- Niech Bóg da im obojgu wieczne odpoczywanie - powiedziała wtedy, dziwiąc się, dlaczego właśnie tak.

Zamyka okno, a potem odruchowo otwiera je znowu, aby wpuścić orzeźwiające, mroźne powietrze, żeby krążyło po chylącym się ku upadkowi domu.

Usłyszała coś, ale nie był to ludzki głos, lecz jakiś głuchy dźwięk, jakby ktoś zamknął, a potem otworzył drzwi od domu czy od samochodu. Właściwie to nawet nie dźwięk, a jakby czyjaś obecność.

- Kto to? - pyta. Nadsłuchuje uważnie, a serce wali jej jak młotem. Jest trzy, nie, trzy i pół piętra nad ziemią i każdy mógłby się włamać, chociaż drzwi są zamknięte na zamek i zasuwę. Do drzwi wejściowych przymocowana jest kartka z napisem: „Proszę pukać głośno i zaczekać. Proszę czekać dość długo". Mogłaby powoli zejść na dół, podpierając się laską, i zamierza to zrobić, tylko wydaje się jej, że teraz to skradanie się jest wewnątrz. Wyczuwa czyjeś kroki, ma wrażenie, że ktoś wszedł już do środka. Zaczyna sama siebie uspokajać. To pewnie ptaki, wrony w kominie, albo wiatr. Nadsłuchuje wiatru i słyszy, jak urywanymi podmuchami wpada do domu i wylatuje zimny wiatr wiejący znad jeziora, ponad polami i panoszący się po domu. Wiatr, który każe jej mruczeć pod nosem dziecinną piosenkę: „O, deszcze i wiatry skrzydlate, przyprowadźcie do domu mego tatę". Oddałaby wszystko, żeby ktoś teraz przyszedł jej z pomocą: nie matka, nie siostra, lecz przyjaciółka z czasów służby w Brooklynie, najlepsza przyjaciółka, albo nieszczęsny Paud, który łatał dziury w dętkach, czyścił jej buty i nazywał ją panią. Wmawia sobie, że ten hałas to nic takiego, że to tylko halucynacje. Jest przecież w swoim domu, zabarykadowana w środku. Teraz wyciągnie

rękę, wciśnie guzik elektrycznego czajnika i zrobi sobie herbaty. Będzie moczyć w niej ciasteczka. A kiedy ta noc się skończy, ruszy się stąd i pójdzie na poszukiwanie młodego człowieka, który chciałby z nią zamieszkać.

Teraz zupełna cisza, ale lęk w niej wzbiera, narasta, jakby coś przygotowywało się do ataku. Drewniana klamka przekręca się, dwa, trzy obroty, a potem nagłe szarpnięcie, bo gwint jest zbyt luźny, drzwi kołyszą się same tam i z powrotem, cicho, ale z jakąś żywą radością, a potem zamaskowana twarz, duże oczy jak bryłki piaskowca i rozsądny, racjonalny głos nakazuje jej, żeby się nie ruszała i nie krzyczała, powtarza to kilka razy. Mężczyzna opuszcza karabin, kiedy widzi, że ma przed sobą jedynie staruszkę w łożu z baldachimem, kurczowo ściskającą w dłoniach tasiemki przy krótkim szlafroczku.

- Kim jesteś...? Jak się nazywasz...?

- Kim jesteś? - słyszy siebie zadającą to pytanie, zdumiona, że głos nie odmówił jej posłuszeństwa, bo we wszystkich nocnych koszmarach zawsze się tak dzieje. Tylko że to nie jest nocny koszmar, a raczej koszmar urzeczywistniony. Przestępca, o którym czytała i myślała, że trzyma się głównie miast, stoi przed jej łóżkiem, a buty i spodnie ma uwalane wiejskim błotem. Przykleił się do nich pył z trzech prowincji, a jego oddech jest krótki. Ten spokój, który wyczuwa w nim, przypomina coś zwierzęcego, jakby ciało mężczyzny było pokryte brązowym futerkiem, niedostrzegalnym i niewyczuwalnym przez zwykłe, ziemskie zmysły. Głosem absolutnie pewnym podaje Josie nazwę organizacji, do której należy, i swoją rangę, po czym mówi, że nie wyrządzi jej krzywdy, jeśli zrobi to, co on jej każe.

- Kim pani jest? Kto jeszcze tu mieszka? Czy ktoś panią odwiedza? Czy dostaje pani emeryturę? Czy ma pani jakieś zwierzęta? Czy listonosz wchodzi do domu? Kiedy był ostatni spis ludności? Kiedy po raz ostatni widziano panią we wsi? - Pytania padają z drobiazgową dokładnością, automatycznie, jakby to były kule z karabinu.

- Jestem tu tylko ja i mój Stwórca - odpowiada kobieta cicho.

Więc to dzieje się właśnie tak, właśnie tak, pod groźbą utraty życia namawia się ludzi do popełnienia przestępstwa, rozmiękcza się ich od środka, otwierające się drzwi, zamaskowany mężczyzna, w jego ciele nie ma ani jednego rozluźnionego mięśnia, naładowana broń, a na zewnątrz kraczą wrony, w swoim zwykłym wieczornym podnieceniu, i nikt nie ma pojęcia, że jej czas właśnie dobiegł końca.

- Wszystko ma być normalnie - mówi mężczyzna.

- Normalnie - powtarza Josie, jakby mówiła do jakiegoś obrońcy praw, może do Loli, która zniknęła.

- Po co przyszedłeś?

- Żeby się ukryć.

- Czy wolno mi spytać dlaczego tutaj?

- Nigdy nie dyskutuj na temat mojego życia i moich działań, dla własnego dobra... I mojego - mężczyzna wychodzi tak samo ukradkiem, jak wszedł, z pewnością po to, żeby przetrząsnąć do końca dom i postanowić, gdzie najlepiej założyć swoją kwaterę. Na chwilę opanowuje ją jakaś nieznana jasność, ogromna przejrzystość myśli jak biały snop światła, który ogarnia człowieka wtedy, kiedy wszystko zostaje unicestwione. A potem opierając się na łokciu, wstaje z łóżka, zdecydowana, by się ubrać.

Podrapany i wyczerpany, po ciemku leży na kanapie, w pokoju na parterze, i myśli, że później powyjmuje kolce i ciernie ze stóp. Tęskni za papierosem.

- Więc to jest ta kobieta, o której opowiadałeś z takim entuzjazmem, Królowa Wróżek z Munsteru * - mówi i śmieje się, cicho i gorzko, i udaje, że pali papierosa.

* Munster (irl. Mumha) - historyczna prowincja w południowej Irlandii, główne miasto Corcaigh (ang. Cork).

Rozmawia z Paudem, przypomina sobie jego bezsensowną gadaninę o tym domu i kobiecie, która wygląda jak dama na monetach, z trzema psami na smyczy. Ona i jej mąż, męczennicy za Irlandię.

Paud, trochę typ samotnika, pracuje teraz na Północy z upośledzonymi dziećmi, ale pali się, ciągle pali się do przenoszenia wiadomości czy rozdawania ulotek, albo gazet na rogu ulicy, i lamentuje, że jest już za stary, aby zaciągnąć się w szeregi ochotników i wykonywać zadania bojowe. Jakby można mu było powierzyć coś tak niebezpiecznego.

- Przynajmniej masz prawdziwy dom i jezioro - mówi i myśli, jak ono ładnie wygląda: księżyc odbijający się na powierzchni wody, drewniane molo, leniwie kołysząca się łódź. Za siedem dni będzie po wszystkim, ale nie może myśleć, że robota jest skończona, skoro jeszcze trwa. W ostatnim miasteczku, kiedy wychodził zza rogu, nagły podmuch wiatru zerwał mu z głowy perukę i myśliwski kapelusz; każde z nich poleciało w innym kierunku, a on pobiegł za peruką, która, zgarnąwszy odrobinę nieczystości z rynsztoka, zakręciła w stronę podwórka za domem, gdzie już nie mógł jej gonić, bo paliło się światło. Poważny błąd. Zły początek.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko się ukryć, przespać trochę i nie awanturować się z tą kobietą. Spać. Spać. Czyż nie było jakichś plotek na jej temat? Hańba, ona i ksiądz. Och, słoneczne Południe, gdzie ludzie mają czas na miłość i truskawki. Zapomnieli o swoich braciach i siostrach za granicą, pozwolili im zgnić. Paud, pełen gniewu, rwący się do tego, żeby się zaciągnąć, żeby się nauczyć posługiwać bronią, żeby dostać robotę i stopień. Jak mało wiedział. Jak niewiele wiedział każdy, kto się zaciągał. Jak niewiele wiedziała ta kobieta tam w łóżku na górze, patrząc gdzieś w dal błędnymi oczami jak Maryja Dziewica.

Myśli o Shionie. Co za miękki dźwięk. Jak jedwab albo podmuch wiatru. Przyznaje sobie prawo do jednej, dwóch, trzech błyskawicznych myśli o niej, a potem wali głową w żelazne pręty, żeby pozbyć się tęsknoty.

Może będzie mu się śniła? Znowu ten sam sen, jak wołając go wchodzi przez zamknięte drzwi. Nigdy nie wyraził tego słowami, przez cały długi szereg nocy, w marszu, w ziemiankach, bo nie ma

słów, które mogłyby to wyrazić. Ona po prostu tam jest, zdrowa i cała, i złota jak jaskier. Tam.

Kobieta siedzi w bujanym fotelu i przebiera palcami po białych frędzlach kapy, ściska je, a potem układa w grupy, jak palce, a przez głowę przebiegają jej pospieszne i sprzeczne myśli. On ją zabije, włoży ciało do worka i utopi w jeziorze, nie, nie zabije, jeden z jego towarzyszy przyjdzie tu i to zrobi. Okaleczy ją. Zażąda okupu. Tylko że ona jest biedna i jej krewni także. Przyjedzie policja, zrobi nalot na dom, zwęszy coś i zastrzeli go podczas próby ucieczki... Wyniesie się, za dzień lub dwa, nie zostawiając po sobie śladu, pełna napięcia zjawa. Trudno uwierzyć, że Josie znajduje się teraz we własnym pokoju, albo w tym, co było jej pokojem jeszcze przed godziną. Szuka Loli, ale Lola też zniknęła przewidując katastrofę. Kobieta przeżywa to wszystko ciągle na nowo, wie, że każdą cząstką swojego jestestwa przeczuwała to, kiedy usłyszała pierwszy dźwięk, kiedy on pewnie grasował na zewnątrz. Dlaczego wtedy nie zaczęła działać? Dlaczego wtedy od razu nie pognała do telefonu? Być może teraz wywożono by ją karetką pogotowia, a jego wyprowadziłoby w kajdanach czterech strażników, po dwóch strażników po każdej stronie.

Kiedy zamyka oczy, widzi go, tak samo jak wtedy, gdy zatyka uszy palcami, słyszy jego głos. Błaga wiatr, żeby się uciszył, żeby przestał wiać choć na chwilę, aby mogła pozbierać myśli. Stopy ma lodowate, ale reszta ciała parzy ją i swędzi w różnych miejscach. Jest całkowicie przepuszczalna, wszystko w nią wsiąka: głos mężczyzny, ta czarna potworność, która zakrywa rysy jego twarzy, zabarwiony nikotyną palec tak doskonale obeznany z cynglem. Nagły głuchy odgłos dochodzący z zewnątrz sprawia, że Josie podciąga nogi pod siebie, przyjmując znowu kształt płodu.

Może właśnie zjawili się jego towarzysze, aby się do niego przyłączyć albo zakopać jakąś broń w jednym z budynków gospodarskich.

Wiele razy czytała w gazetach o ludziach, którzy mają broń na swojej ziemi i o tym nie wiedzą. Teraz podejdzie do telefonu, zadzwoni do siostrzeńca i po prostu powie: „Przyjeżdżaj". Raz już tak zrobiła, kiedy miała zapalenie płuc. Był dwadzieścia mil stąd, ale przyjechał, gdy go poprosiła. Wiedział, że ten teren będzie jego, że nie ma nikogo innego, komu mogłaby to pozostawić. Zawinięte w chusteczkę higieniczną, leżą cztery tabletki nasenne, które dała jej pielęgniarka. Są malutkie i prążkowane, bynajmniej nie wystarczą, żeby komuś odebrać życie. Co on z nią zrobi? Okropności, o jakich czytała, że spotykają ludzi, których życie było całkiem zwyczajne, dopóki ktoś nie wkroczył drzwiami i nie rozpoczęła się nieopisana rzeź.

Ma taki wyraz twarzy, jakby oczekiwała, że go spotka. Ubrała się i założyła płaszcz, swój brązowy płaszcz z ciężkim karakułowym kołnierzem. Idzie do telefonu na półpiętrze. Jego martwota udzieliła się także Josie, na długo zanim sięgnęła po słuchawkę. Szaroczarną jak żmija, niemą w jej trzęsących się rękach.

- Centrala - mówi i wymienia nazwisko pracownicy miejscowej poczty cztery czy pięć razy. Potem odkłada słuchawkę. Patrząc w stronę korytarza na dole, widzi tylko pustkę i ciemność w miejscu, gdzie kończą się schody i zastanawia się, w którym pokoju mężczyzna teraz jest i co w tym momencie knuje. W ubikacji jeszcze raz myśli, że mogłaby się otruć. Patrzy na stojącą przy rurze odpływowej butelkę jakiegoś mętnego środka dezynfekcyjnego i przypomina sobie, że czytała kiedyś o aktorce z Kalifornii, która wypiła mniej więcej taką porcję i umarła, ale umierała długo i w męczarniach. Przecierając ręką zamgloną szybę, patrzy na noc, na pustą, proroczą noc i myśli, że trawnik, opadłe liście i gnijące jabłka nie przypominają już tych, które widziała kilka nocy wcześniej - wszystko zostało skażone przez jego przyjście.

Później zaczyna obmyślać strategie. Mówi odważne i zuchwałe rzeczy.

- Gdyby żył mój mąż, James, nic takiego nie miałoby miejsca - stwierdza i zabiera się do pisania listu. Potem wyciąga kolejne kartki ze swojej najlepszej papeterii, którą dostała w prezencie na Boże Narodzenie i solennie przyrzekła, że nie będzie jej marnotrawić.

W pierwszej wersji napisała: „Jestem przerażona tym, że wtargnął pan do mojego domu" - ale przypomniawszy sobie zakrytą twarz i okrutną bezwzględność, która czaiła się zarówno w jego oczach, jak i w czarnej, pustej potworności maski, postanawia napisać coś bardziej pojednawczego: „To jest szok, kiedy znajduje się kogoś we własnym domu". Słowo „dom" brzmiało afektowanie i po szlachecku, jakby było obliczone na to, żeby mężczyznę doprowadzić do wściekłości. Czego on i jego organizacja chcą - czy to jest ziemia, jarzmo historii, czy jest to gniew, który mają we krwi?

Żadnych dźwięków, tylko ich oddechy, w pewnej odległości, dokładnie trzy i pół piętra. Co on chce zrobić? Jak długo tu zostanie? Czy zamierza bez żenady korzystać z jej domu, brać z kredensu szklanki i talerze, może nawet palić w piecu, osiąść tutaj na dobre. Gdyby sąsiedzi zobaczyli dym, z pewnością domyśliliby się, że stało się coś dziwnego. Nie miała pojęcia, że sąsiedzi nie dostrzegliby najmniejszej zmiany, nawet gdyby zamknęła okiennice. Jej najbliższym sąsiadem był półgłówek, na dodatek coraz bardziej ślepy. Następne dwie chałupy stały teraz puste, mieszkali w nich tylko letnicy. Tak, większość rodzin wyniosła się stąd, a ci, którzy tu przybywali, przemykali tylko ze świstem w swoich samochodach. Była opuszczona. W myślach wędruje wiejską drogą tam i z powrotem, i błaga każdego właściciela domu, każdego właściciela sklepu, żeby uświadomił sobie jej ciężkie położenie. Przecież musiał gdzieś zostawić ślady. Jego odciski palców będą na bramie, no chyba że miał na rękach pończochy albo rękawiczki. Ponieważ jej drzwi nie miały klucza, postanowiła przynajmniej zrobić coś, co nie pozwoli mu wpakować się

do środka. Ona, która kilka dni temu była zbyt słaba, żeby pokuśtykać po schodach na dół, teraz wlokła po podłodze brązową komodę, przystając czasami, żeby złapać oddech albo żeby ją trochę unieść, kiedy jedna ze spiralnych, drewnianych nóżek zaczepiła o wyświechtany dywan. Nareszcie. Ustawiając ją pod samymi drzwiami, wierzyła, że przynajmniej wykazała się jakąś odwagą.

- Jest moja...
- Właśnie, że moja...
- Ja ją znalazłam.
- Ja pierwsza ją zobaczyłam.
- Co, na miłość boską... - Ma Hinchy odkłada pojemnik na popiół, który właśnie opróżniała, idzie przez kuchnię w kierunku bliźniaczek. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak niesamowitego.
- Zobaczyłam ją, ale nie mogłam się tam dostać, bo nie wiedziałam, gdzie jest mój drugi but. Maeve tam wlazła - opowiada Maira. Maeve podskakuje tam i z powrotem, trzymając to w ręku i wywijając na wszystkie strony, jak ścierką do kurzu. Matka naciąga znalezisko na głowę i śmieje się ze swojego odbicia w lustrze, w odchylonym lustrze, w którym można obserwować salę i ewentualnie dostrzec złodzieja. Przekrzywia na głowie błazeńsko, jak czapkę i idzie w stronę drzwi sklepu, żeby sprawdzić, czy ktoś ją rozpozna. Grupka młodzieży rozpierzcha się wystraszona.
- O, nasz wspaniały pogromca złoczyńców. - To nowy policjant, młody chłopak, który przyszedł na poranną kawę. Rozumieją się nawzajem. I pomagają sobie. Niemal każdego wieczoru tłumy ludzi siedzą w jej barze nawet wtedy, gdy już powinien być zamknięty, grają w bingo, piją piwo, ale policja robi u niej nalot tylko raz na rok. Uprzednio umawiają się na konkretny wieczór, kiedy wszyscy pobożnie piją lemoniadę.
- Wziąłem cię za kogoś innego - oznajmia policjant.

- Za kogo?

- Och, za jakąś gwiazdę filmową.

- Och, Dan... Dan - woła do męża, który właśnie wybiera się gdzieś na traktorze, woła, żeby mu powiedzieć, że strażnik Flyrih wziął ją za gwiazdę filmową. Mąż nie odpowiada. Nie lubi policjanta, nie widzi powodu, żeby się tak podniecać jego komplementami. Wybiera się na moczary, żeby zbierać torf, bo turyści mają kręćka na punkcie palenia torfem w kominku i zapachu, jaki wydziela, robią sobie zdjęcia przed takim kominkiem.

Peruka położona na ladzie wygląda inaczej. Jakoś tak złowieszczo, jakby mogła się sama poruszać. Bliźniaczki boją się teraz tej obcej rzeczy, chcą żeby ją spalić, bo należała do czarownicy.

- Panno Cusack - pyta Ma Hinchy pierwszą klientkę, która przypadkiem okazała się wykształconą kobietą – czy zechciałaby pani wyrazić swoje zdanie? W jaki sposób ten oto przedmiot mógł się znaleźć na podwórku za naszym domem?

Panna Cusack nie ma zbyt wiele do powiedzenia, poza przekazaniem swoich złych przeczuć, mówi, że nie podoba jej się aura wokół tej rzeczy.

- Aura! - powtarza strażnik Flynn i myśli sobie, że jej wolno rzucać takimi wyrażeniami na wszystkie strony, bo skończyła studia humanistyczne.

- Uważam, że to była kobieta przyłapana na cudzołóstwie - mówi dalej, wyciągając jednocześnie wiórki kokosowe spomiędzy zębów i połykając je.

- Proszę mi wybaczyć, panie Flynn - mówi Ma Hinchy, wskazując na bliźniaczki, które obgryzają palce i pożądliwie patrzą na herbatniki.

- To albo ludzie teatru - odzywa się Flynn.

- Niestety, nie mamy już ludzi teatru, telewizja zniszczyła naszą kulturę - mówi gniewnie panna Cusack, jakby to była jego wina.

- To mógł być facet... Teraz spotyka się facetów, którzy przebierają się za kobiety.

- Trzymaj język na wodzy - złości się Ma Hinchy i odsyła bliźniaczki do kuchni, żeby zdjęły czajnik z ognia.

- Nazywają ich transwestytami. Wyglądają jak żywa kopia kobiety: pończochy, podwiązki, cały ten kram.

- Ma pan bardzo staroświeckie wyobrażenie o kobiecym stroju - ironizuje panna Cusack.

- Możecie wierzyć albo nie, ale czytałem, że mężczyzna wziął ślub z mężczyzną i nie połapał się... Wziął ślub i spał z nim w jednym łóżku - Flynn zwraca się do Ma Hinchy, jakby oboje byli w to wtajemniczeni.

- To niemożliwe - dziwi się Ma Hinchy.

- Chińczycy - wyjaśnia Flynn i śmieje się, dodając, że z ich rysami twarzy i ubraniami wszystko może się poplątać.

- Powinnam chyba wystawić w oknie karteczkę - zastanawia się Ma Hinchy, ale potem dochodzi do wniosku, że żadna kobieta, która zgubiła tę perukę nie chciałaby, żeby jej grzech został tak bezwstydnie ujawniony. Razem z panną Cusack wymieniają imiona młodych panienek lekkich obyczajów z miasta i przedmieść, wśród których być może jest winowajczyni.

- Już wiem - mówi Ma Hinchy i podchodząc do otwartych drzwi woła Colette, młodą fryzjerkę, która zajmuje trzeci lokal za jej barkiem. - Bądź tak miła i poświęć trochę czasu pilnej sprawie identyfikacji.

Dumnie trzymając perukę w dłoniach, Colette obmacuje włosy i oświadcza, że są miękkie, potem palcami wskazującymi mierzy głębokość czepca, a następnie badając podszewkę, zapewnia ich, że peruka nie była długo noszona. Sądzi, że zrobiono ją z włosów zakonnicy, najprawdopodobniej włoskiej zakonnicy, ponieważ wszystkie najlepsze włosy pochodzą stamtąd, a potem zaskakuje ich, podając przypuszczalną cenę.

- Ponad sto funtów? - dziwi się strażnik Flynn.

- Co najmniej.

- O Boże święty! - jęczy Ma Hinchy, bo dzieci podnoszą wrzask o nagrodę.

- Wiec to nie była kobieta złapana na cudzołóstwie - mówi panna Cusack.

- A czy ten włóczęga, który teraz ucieka, nie wszedł przypadkiem do fryzjera w Limerick i nie zabrał peruki? - zastanawia się Colette.

- O kurwa! - mruczy ledwie dosłyszalnie strażnik Flynn skonsternowany, że nie pomyślał o tym sam i natychmiast chwyciwszy perukę, ściska ją, jakby była zwierzęciem, które musi okiełznać.

- Ma pani na myśli tego maniaka? - pyta panna Cusack.

- Dobry Boże, i on był na naszym podwórku - dziwi się Ma Hinchy, rozchylając swoją tyrolską spódnicę, żeby dwójka jej dzieci mogła się pod nią wcisnąć, jak kurczęta pod kwokę. Poczytywała to za cud, że nie zostali wszyscy roztarci na miazgę, i to cud tym większy, że poprzedniej nocy męża nie było w domu, bo wyjechał autobusem, z mnóstwem kobiet, żeby ujrzeć cud - poruszający się posąg.

- Mogliśmy zostać wymordowani we śnie - mówi, po czym ostro patrzy na strażnika Flynna, który właśnie ukradkiem wychodzi, zabierając perukę ze sobą.

- Własność państwowa - wyjaśnia.

- Możesz podziękować Colette za robotę detektywistyczną - zwraca się do niego Ma Hinchy.

- Wiedziałem od samego początku... Wiedziałem o tym od chwili, gdy ją zobaczyłem - odpowiada i wychodzi, machając nią jak trofeum.

- Świnia - mówi Colette. Nigdy go nie lubiła, nie lubiła go od dnia wystawy koni, kiedy zmusił ją, by zaparkowała samochód pół mili dalej i w szpilkach doszła na miejsce piechotą.

- Są rzeczy, Horatio, na niebie i ziemi... - mówi sam do siebie, kiedy wielkimi krokami idzie ulicą. To jest to. Horatio. Gdzie, do diabła, nauczył się tej mowy. To jest to. To jest bomba, mój drogi.

- To jest to - mówi jak brzuchomówca, kładąc perukę na biurku, zakreślając nią powoli groźne kółeczka.

- Na Chrystusa, co to?! - pyta drugi policjant, cofając się odruchowo.

- Dowody rzeczowe... Co masz.

- Myślałem, że to lis.

- Ludzki lis.

- Co to, do diabła, jest?

- Spacerowałem sobie po mieście... Wchodzę do baru Ma Hinchy, żeby kupić czekoladowe herbatniki do kawy, i oto co widzę... Rozpracowałem to w mgnieniu oka i myślę sobie, peruka prosto spod igły, określam szacunkowo cenę, co później potwierdza ta kretynka fryzjerka i wiem... wiem...

- Czyje to jest?

- Czyje to jest! Rzecz warta ponad sto funciaków, porzucona na podwórku za domem, i pytam, czy mężczyzna, który ją nosił, zostawiłby ją tam na pastwę ptaków, czy kobieta, która sprzedaje swe ciało, złapana na gorącym uczynku, zostawiłaby coś takiego? Absolutnie nie. Czy mógłby ją pozostawić jakiś transwestyta?

- Co to za jeden, Eamonie?

- Niejeden. Pół faceci, pół baby... Mniejsza z nimi... Rusz mózgiem... Kto, kto?

- Hippis.

- Hippis. Do dupy, Tom... To ten facet... To McGreevy, wyszedł odkopywać czy zakładać magazyny broni... Wiatr mu ją porwał... Pomyśl o zeszłej nocy... Porywiste wiatry... Pomyśl, zwędził perukę w Limerick... Był w pobliżu zeszłej nocy.

- Jezu, mogliśmy wyjść z psami i złapać go.

- Nie mógł odejść zbyt daleko.

- Psy by go wyczuły, bo jest jak zwierzę.

- Wyczuły... Zjadłyby go żywcem... Przymierz ją.

- Nie... Brzydziłbym się... Ona śmierdzi.

- Jak wyglądam? - pyta Flynn, wdziewając perukę i podskakując po pokoju.

- Wyglądasz jak posługaczka - stwierdza sierżant, wchodząc z drugiego pokoju wielkimi krokami. Przez szklaną przegrodę nie widział peruki, ale teraz ją dostrzegł i coś przeczuwa.

- Zdejmij ją... Zdejmij! - mówi szorstko.

- Dzieciaki bawiły się nią, kiedy ją znalazłem.

- Włóż to do pudełka... Przyklej nalepkę... Zrób krótki opis, jak została znaleziona i prześlij do biura sądowego w Dublinie.

- Właśnie tak zamierzałem zrobić.

- Powinna dotrzeć do Dublina dokładnie w takim stanie, w jakim została znaleziona.

- Tak jest, sierżancie! - Zawsze to samo. Starsi policjanci zazdroszczą młodszym najmniejszego sukcesu. On będzie się rozkoszować pochwałami. Wspaniała robota śledcza. Nadzwyczajna zręczność. Bystrość umysłu. Młody tajny agent Gary Kennedy. I tak dalej, i tak dalej.

Przechodzi przez własne pokoje, aby potwierdzić, że są jej. Jakaś przegniła, bezlitosna zgrzybiałość wtargnęła do każdego kąta, sprawiła, że tynk ze ścian odpada płatami, brakuje prętów podtrzymujących chodniki na schodach, wszędzie walają się sterty wilgotnych, spleśniałych gazet. Jest rano, a w nocy nie spała. Wraz z jego przybyciem wyostrzyły jej się zmysły, pojawiło się mnóstwo wspomnień, nawet tak dawnych, jak to, kiedy jej mąż, James, pisał do niej przy biurku list i ze złości przewrócił kałamarz. Ten list, w którym kazał jej spakować manatki i wynosić się stąd. Bolesne i tak żywe, wartkie jak ten atrament, który kapał z różanego drewna na podłogę.

- Dobry Boże - mówi, widząc sędziwą twarz, swoją własną, w pozłacanym lustrze, odbicie o wiele bardziej bezlitosne niż to w zmętniałym, ręcznym lusterku w jej sypialni. – Dobry Boże! - powtarza jeszcze raz, wchodząc do następnego pokoju, gdzie gołe deski przy ścianie są usłane łajnem nietoperzy, jakby były przysypane ziarnem,

tylko że czarnym, niezliczone mnóstwo czarnego łajna, które nie śmierdzi. Za okiennicami bezwładnie wiszą nietoperze, w swoim dziennym czuwaniu, ciche stworzenia, jak brązowo-czarne palce pustych rękawiczek, czekają na swój prawdziwy żywioł, czekają na noc. Josie wie, który pokój wybrał, odbiera to swoimi czułkami. Ten pokój na parterze, w którym spał Paud. Jednoosobowe łóżko, tapeta przyklejona do dolnej części okien, a na tapecie rudziki o czerwonych piersiach. Co on zamierza z nią zrobić?

W następnym pokoju spadł obraz ze ściany i wygląda jak obrzygana układanka: rozbite szkło, pokrywające stado brązowych wołów, które stoją po kolana w wodzie o kolorze bursztynu. Z gwoździa zwisa postrzępiony wiotki sznurek, jakby naśladował genitalia wiernie przedstawionych na obrazie zwierząt. Szkło przynajmniej nie jest lustrem, szkło nie oznacza siedmiu lat nieszczęścia. Są w niej dwie osoby, jedna, która nie śmie przyznać, że w pokoju Pauda znajduje się teraz niebezpieczny człowiek, dzikus, i druga, która utrzymuje, że jest panią tego domu. Nie wie, czym są materiały wybuchowe, ale doskonale wie, co mogą spowodować i pamięta najmniejszy szczegół tego, co o nich czytała: sklepy, domy i ludzie porozrywani na pozbawione znaczenia strzępy. Ktoś mówił jej, że bomba wygląda jak kawałek sera cheddar, mała, pomarańczowego koloru, nieszkodliwa, dopóki nie zamontuje się w niej zapalnika. On może sam siebie wysadzić w powietrze. Słyszała o mężczyznach, którzy w swoich pokojach, szczególnie w Londynie, wysadzali się w powietrze, bo popełnili jakiś błąd.

W następnym pokoju zapach kamforowych kulek wydobywa się z otwartych drzwi pomalowanej szafy. To on ją otworzył, kiedy przeszukiwał dom. Pomalowała tę szafę z Jamesem podczas jednego z pojednań, najpierw na jasno, potem na ciemnoniebiesko. Brzegi kwiatków musiała malować kredką, to było jej zadanie, damskie zadanie, jak powiedział James. Nie mogli zdecydować, czy te kwiaty to astry, czy dalie. Miały szerokie główki i głębszy odcień błękitu, bo

włożyła do farby kostkę farbki do płukania bielizny. Błękit grot, dalekich, legendarnych miejsc. Zapach kamfory pozostał, mimo że same malutkie kuleczki dawno się rozpuściły, białe jak cukier pyłki zawisły w powietrzu, wnikały w drewno i wieszaki, które wisiały opuszczone, czekały na to, żeby ktoś ich użył, czekały na ubrania.

Czy powinna zadać mu to pytanie. Jak długo zamierzasz tu zostać? Jaki masz cel? Czy potrzebujesz ręczników? Ręczników! Sama myśl o tym, że on się myje lub kąpie, sprawia, że Josie się wzdraga. Zmywa swoje zbrodnie. Na ostatniej kondygnacji schody skrzypią. Zawsze skrzypiały. To właśnie tu James słyszał łańcuchy, łańcuchy zmarłych, i mówił, że przychodzą po niego. Cóż, wrócili znowu, z mściwą zawziętością, łańcuchy historii, niespokojni umarli i niespokojni żywi, mający swoje porachunki. Na ostatnim stopniu przystaje niezdecydowana, czy wejść do jadalni, czy do pokoju gościnnego, jakby to miało jakieś znaczenie. Jedne i drugie drzwi są otwarte, tak samo jak pokryte rypsem harmonijkowe drzwi do porannego saloniku. Wchodzi tam. Jej dom, nawet w tym rozkładzie, wydaje się Josie cenny. Jej dom nie powinien być zmuszany do znoszenia czegoś takiego.

Słońce rozrzuciło drobne plamki na powierzchni szkła przykrywającego blat trzcinowego stołu, i wszędzie kładzie te swoje ruchliwe, malutkie apostrofy. Popękana trzcina na krześle wygląda jak obrośnięta sterczącymi kosmykami najeżonej szczeciny. Widzi psa, rudego setera, podobnego jak kropla wody do ich Shepa, ich ulubionego psa, tego, którego oboje kochali, i który zbliżał ich do siebie, jak mądre dziecko zbliża do siebie walczących rodziców. Przyciągał ich swoim żałosnym wyglądem, tym jak służył, albo poruszał jednym uchem, jakby chciał powiedzieć: .Jestem tutaj. Czuwam". Josie myśli o pierwszym dniu, kiedy jako panna młoda chodziła po pokojach: zielone ściany, ceglastoczerwone ściany, obrazy młynów i strumieni, nad którymi stały, korytarze, niektóre ciemne, inne oświetlone, i Brid w kuchni, z podwiniętymi rękawami, roześmiana, zagniatająca dwa rodzaje ciasta na placki. Myśli o gongach wzywających damy i kawalerów do stawienia się na obiedzie, i o hojności, o stopach

dudniących po płytach chodnikowych, i o skrzypku, którego przyprowadzono, żeby im grał. Jeden rozkaz tej jego bandy i nie będzie już ścian, klatek schodowych, gongów i boazerii. Nagle mężczyzna zaskakuje ją, wynurzając się z bocznego korytarza, z emaliowanym kubkiem i plastikową brzytwą w ręku. Ma na sobie podkoszulek z krótkim rękawem, a ona czuje się tak, jakby spotkała kogoś nago. Zwraca uwagę na barwę jego skóry, opaloną na brązowo twarz, tatuaż na nadgarstku - Trójkolorowa*; zieleń, biel i złoto, w obwódce koloru indygo. Mężczyzna skłania głowę w formie pozdrowienia

* Trójkolorowa (ang. Tricolour) - eufemistyczna nazwa flagi Irlandii.

- Zdaje się, że powiedziałaś, że nie ma tu żadnych zwierząt.
- Nie ma żadnych zwierząt... mój mąż kochał konie i hodował je - mówi możliwie najbardziej wyniosłym tonem.
- Widziałem psa.
- To znaczy, że mi się to nie przyśniło - cieszy się Josie, a w jej głosie brzmi nuta wdzięczności, jakby Shep zmartwychwstał i mógł być maskotką.
- Czarnego psa - dodaje.

Promienie słońca, uświadamia sobie teraz Josie, nadały zabłąkanemu zwierzęciu mahoniowy połysk sierści Shepa.

- Nie widziałam czarnego psa - mówi.
- Nie będziesz wychodziła z domu.
- Dlaczego nie?
- Nie wychodziłaś do tej pory... więc teraz też nie będziesz wychodziła.
- Czy to rozkaz?
- Tak to jest podczas wojny.
- To nie moja wojna.
- Jest twoja, czy ci się to podoba, czy nie.
- Czy masz jakieś imię?
- Nazywaj mnie Pat albo John, albo Mick, albo jak tylko chcesz.

- Pat albo John, albo Mick? - pyta, boleśnie dotknięta jego napastliwością.

- Tak - odpowiada i odwraca się, a potem wycofuje się tym samym korytarzem, którym przyszedł, najwyraźniej zbyt rozdrażniony, żeby się golić.

- Szczeniak! - mówi Josie, ale niezbyt głośno. Nie może wydobyć głosu. Czuje swoją lewą pierś w miseczce stanika, jakby to było obce ciało, wilgotny strach kapie z jej sutka. Skądś zna tę twarz, wydaje się jej powszechnie znana, prawie że potrafi przypisać mężczyźnie nazwisko i przydomek.

Jego skóra miała tę piaskową barwę, która kojarzyła się jej z włóczęgami i wędrownymi naprawiaczami garnków. Kilkudniowy zarost też był piaskowego koloru, a pod ziarnistą skórą błądziły zabarwione na czerwono plamy. Od rana zdążył już przyciąć wąsy. Kiedy weszła, nie podniósł wzroku, po prostu dalej zajmował się swoją robotą, czyli czyszczeniem rozłożonej broni. Drewniana kolba na podłodze wyglądała dokładnie tak, jak mankiet skórzanej rękawiczki do szermierki, a w szmatach, którymi czyścił lufę, rozpoznała swoje rzeczy. Wyciągnąwszy nasączoną oliwą szmatę za pomocą długiego sznurka, patrzył przez wyczyszczoną lufę i śmiał się z czegoś, co sam wymyślił. Jego oczy były jednocześnie żywe i okrutne. Mężczyzna wpatrywał się w nią, przeszywał wzrokiem na wylot, jakby stała się przezroczysta. Była w nim jakaś lodowata powaga.

- Chciałam zamienić z tobą kilka słów - mówi oficjalnie.

- Wal śmiało.

- Dlaczego przyszedłeś tutaj... Dlaczego tutaj?

- Zbieg okoliczności.

- Rozumiem, a raczej, nie rozumiem... Zamierzasz mówić zagadkami.

- Racja. - Ucina rozmowę. Zobaczyła olej do smarowania maszyny do szycia i starą puszkę wyschniętego wosku, który mężczyzna rozgrzewał na prymusie. To wszystko jest jej. Jej naczynie, jej wosk,

jej prymus, jej dom, a jednak nie jej. Stos gazet w kącie to chyba jego dzienne legowisko, bo leży na nim rzucony koc i poduszka bez poszewki. Poplamiona wsypa przynosi wstyd pani domu, która kiedyś dbała o wszystko.

- Jak długo zamierzasz tu zostać?

- To zależy - odpowiada, z taką samą jak przedtem wyniosłością i takim jak przedtem kończącym rozmowę tonem.

- Widzisz... To niezbyt miło w moim wieku... To niezbyt wygodnie - dodaje, żałując, że powiedziała: „w moim wieku". Przeprosił ją za niewygody, wyjaśnił, że w okolicy nie ma zbyt wielu bezpiecznych domów, a ten jest z pewnością wystarczająco duży dla dwóch osób.

- Nie dla nas dwojga - syczy zgryźliwie.

Szmata uwięzła w drugiej lufie, więc odgiął całe ciało i rękę powoli do tyłu, jakby ciągnął wiosło. Zobaczyła, jaki jest silny i giętki. Obserwując go bez słowa, pomyślała, że on przecież ma matkę albo miał matkę, więc mnie nie zabije, a potem uświadomiła sobie, że właśnie w tych trzech stertach starych gazet mogą być dowody jego makabrycznych czynów. Przetrząśnie je później.

- Przeżyjemy.

Szmata poszarpała się na strzępy i kiedy ją wyciągnął, nitki poprzyklejały się do niego.

- Zapominasz, że nikt cię tu nie zapraszał.

- O! Pani na włościach! - mówi z kpiną w głosie.

Czując głęboką i gorzką absurdalność tego określenia, Josie wyszła, zanim zdążył jeszcze bardziej ją upokorzyć.

Wchodząc do kuchni, krzyknęła. Nie spodziewała się, że go tu znajdzie. Mężczyzna stał przy stole i jadł kawałek chleba z czymś, może z marynowanym ogórkiem. W ciemności Josie nie może nic rozpoznać. Ich oczy spotykają się, jak dwa wystraszone zwierzęta. Miała zwyczaj schodzić na dół przed piątą i zabierać na górę tacę z podwieczorkiem. Gość wykręcił żarówkę w kuchni, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy zjeść tutaj później. Nie przesiadywała na dole

wieczorem przez znaczną część roku, więc nie będzie siedziała i teraz.

- Obawiam się, że łupię twoje zapasy - usprawiedliwia się.

- Częstuj się - odpowiada, dodając, że nie ma ich zbyt dużo, nigdy nie ma dużo pod koniec tygodnia, zanim nie przyślą jej zamówionych artykułów spożywczych. Już ją wypytywał, co zamawia, gdzie to jest zostawiane, czy ktoś wchodzi do środka, czy nie.

- Zostawiają wszystko na okiennym występie... Dwa bochenki krojonego chleba... Pół funta gotowanej szynki... Słoik dżemu... Pół funta masła... Puszka łososia... Puszka sardynek... Ziemniaki i warzywa... Biszkopty... Bekon w plasterkach... Cotygodniowa gazeta... Artykuły chemiczne od czasu do czasu - to właśnie powiedziała, pogardliwym, śpiewnym głosem.

Ciemność w pewien sposób dodała jej odwagi, ciemność i to, że teraz on czuł się w obowiązku mówienia do niej.

- Myślałam właśnie... - zaczęła.

- O czym?

- Że gdyby kobiety kierowały waszą organizacją, to nie byłoby strzelania... ani bomb.

- Mamy mnóstwo kobiet.

- Więc nie są matkami.

- Skąd wiesz, czy są matkami, czy nie? - pyta w ten swój zimny, bezosobowy sposób.

To dla niej zbyt wiele.

- Ponieważ jesteśmy wobec siebie tacy szczerzy, czy mógłbyś w kilku prostych słowach wyjaśnić mi, czego chce twoja organizacja, o jakie tu porachunki chodzi.

- Wypędzenia Brytyjczyków z Irlandii.

- A potem?

- Sprawiedliwości dla wszystkich. Pokoju. Osobistej tożsamości. Rasowej tożsamości.

- Możemy to mieć, bez względu na to, czy jesteśmy w unii z Wielką Brytanią, czy nie.

- Moi ludzie tego nie mają.

- Twoi ludzie nie są twoimi ludźmi... Większość z nich cię nie uznaje.

- Mam przyjaciół jak kraj długi i szeroki.

- Jeśli masz przyjaciół jak kraj długi i szeroki, to dlaczego nie uciekasz do któregoś z nich, dlaczego ukrywasz się u mnie, gdzie nie jesteś mile widziany. Panoszysz się tu i nie mogę nawet zapalić zapałki w swojej własnej kuchni.

Josie dostrzega nie tylko wściekłość w jego oczach, ale także czuje ten gniew, kiedy mężczyzna odkłada chleb i popycha talerz na środek stołu.

- Mam wrażenie, że jesteś bardzo wykształconą kobietą, o wiele za bardzo wykształconą jak dla mnie - stwierdza mężczyzna i idzie w kierunku drzwi.

- Przynajmniej zabierz ze sobą swoją kolację.

- Nie jestem głodny.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz ogłosić strajku głodowego - mówi Josie. Ogarnia ją pokusa, żeby za nim pobiec, żeby cisnąć mu to jedzenie na podłogę, żeby kazać mu się czołgać.

PAMIĘTNIK JOSIE

Tego rodzaju sytuacja wyostrza wszystko. Zauważyłam, na przykład dziś rano, jaka zimna jest oprawka moich okularów. Widziałam też każde źdźbło trawy za oknem i te kołyszące się i nieruchome. Wzgórza wydawały mi się miękkie i zamglone, bliskie, i dalekie zarazem, wzgórza, które jednocześnie kochałam i nienawidziłam, do których mówiłam, z którymi płakałam. Obserwowałam również pola pokryte wilgocią, która czasami nie paruje z nich całymi dniami, i wrony, w podnieceniu spadające i unoszące się do góry, aby skubnąć kawałek koniczyny, rosnącej pomiędzy kępami brunatnych traw. Widzę to wszystko dlatego, że zawisł nade mną wyrok śmierci. Być może nie muszę umrzeć. Może on ruszy w dalszą

drogę. Albo może wywęszy go policja i jakoś mnie uratują. W wyobraźni stale widzę helikopter i linę zwisającą za oknem mojego domu, a także jak mnie podnoszą do góry w czymś w rodzaju kołyski. Wyobrażam to sobie, a potem coś zupełnie innego. Drżę, kiedy usłyszę nawet najlżejszy dźwięk, na przykład, gdy woda w czajniku zaczyna się gotować albo jakiś samochód czy ciężarówka przejadą w oddali. On skrada się cichaczem. Przypomina jakieś leśne zwierzę. Gdzie ćwiczył, nie wiem. Kiedyś czytałam, że szkolą ich w Libii. W Libii pewnie ludzie się skradają. Wcześniej coś szorował. Odgłos szorowania sprowadził mnie na dół. Szorował na kolanach wyłożoną terakotą podłogę. Połowa pokryta była wodą z mydlinami, a druga połowa uwalana błotem. Używał tak starego mydła, że pęknięcia na jego powierzchni przypominały żebra zrobione z czarnych nici. Szorował i szorował.

- Czy włamałbyś się tutaj, gdyby był tu mój mąż? - zapytałam.

- Prawdopodobnie - powiedział, ale nie podniósł na mnie wzroku. Właśnie to jest takie makabryczne, że nie okazuje gniewu ani wstydu, ani żadnego innego uczucia. Chyba dlatego, że w więzieniu czy wynajętym pokoju zawsze był sam, knując jakąś nieczystą robotę.

Jeśli mam umrzeć, jest coś, co chciałabym powiedzieć, tylko że nie wiem komu. To, co chcę powiedzieć, dotyczy mnie. Coś głębokiego i trudnego na temat przeszłości i tego, jak się zmieniłam, jak się wszyscy zmieniamy, jak stajemy się twardsi, jak zabijamy w sobie każdy przejaw łagodności. Myślę o awanturach, o pieniądzach, o mężu, który zakłada czapkę, żeby wyjść, żeby uciec ode mnie, czarną, zatłuszczoną czapkę, która nasiąkła jego gniewem, o boczku z kapustą, o psach, które skamlą o resztki, o ulewach i o tym, że mimo tego wszystkiego była kiedyś we mnie ta rzeka, oczekiwanie na coś cudownego. Kiedy to utraciłam? Chcę, zanim umrę, stać się sobą na nowo. Któżby pomyślał, że ta sytuacja bez wyjścia każe mi mówić coś takiego.

To on. To śmierć. Grasuje jak wilk. Widziałam kiedyś na pocztówce, jak świetnie się czują wilki na północy.

Co to był za dźwięk. Jak brzęczenie pszczół, ale to nie są pszczoły, nie mogą być, jest pełnia zimy. Za cztery tygodnie Boże Narodzenie. Boże Narodzenie! To samolot przelatujący nad domem leci do Ameryki. Słyszę go codziennie o tej samej porze. Wolność, wolność. Kiedy wymawiam to słowo, myślę wyłącznie o ptakach, to nurkowanie, płynność, rozpościeranie skrzydeł, wznoszenie się do góry, wysoko, i myślę, co taki ptak by zrobił, gdyby nagle pozbawiono go zdolności latania. Spadłby!

Czasami, kiedy idą na robotę, czekają na nich księża, tyle wiem. W przeciwnym razie mogliby nie sprowadzić księdza, aż byłoby za późno. To przydarzyło się mojemu nieszczęsnemu wujkowi. Głowa odstrzelona, a jeszcze część jego ciała prosiła Boga o wybaczenie. Nie chcę umrzeć w ten sposób. Cała. Całość. Gdybym mogła z nim podyskutować, wszystko byłoby inaczej. To, co mówię, jest szalone, szalone. Spowodował to brak snu. Żadne z nas nie śpi. Poznaję to po jego oczach i reakcjach.

W swojej kwaterze jest cichy jak mnich. Josie wyobraża sobie rozmaite rzeczy, które ten mężczyzna może robić. W pewnej chwili pomyślała, że przygotowuje materiały wybuchowe i miała nadzieję, że los się do niej uśmiechnie i on wysadzi się w powietrze. W następnej minucie przedstawiła go sobie, jak pisze list do domu albo przygląda się czerwonym piersiom rudzików. Kiedy Josie widzi promienie słońca na trawie i na wzgórzach w oddali, wzbiera w niej nagły bunt. Dlaczego nie może wyjść z domu. Pielęgniarka zawsze jej mówiła, że gdyby codziennie przeszła milę, jej ciało odzyskałoby sprężystość. Iść na spacer. Przeciwstawić mu się. Kiedy wkładała kapelusz i płaszcz, prowadziła z nim rozmowy w wyobraźni, a kiedy zasunęła z powrotem zasuwę, była pewna, że słyszy, jak on zrywa się ze swojego legowiska.

Szła przez wysokie trawy, używając laski, żeby je roztrącać, potem

stanęła przed posępnym drzewem, gdzie były wyrzeźbione inicjały jej męża i jego brata. Przypomniała sobie, jak w dzień ślubu Jamie przyprowadził ją tutaj i pokazał te dwa imiona. Jego było pierwsze i wyrzeźbione bardziej zdecydowaną ręką. Gałęzie zwieszały się w dół, pod nimi panowała zupełna ciemność - dobre schronienie dla pierzących się kur. Wtedy rosły tam żółte kwiaty i krzewy w kolorze morelowym, ale teraz wszystko się splątało, dzikie róże i krzaki wierzby wdzierały się niezdarnie na nie swoje terytoria. Patrząc na modrzewie i na wiecznie zielone drzewa, a potem znowu na zapomniane rabatki, bezsensownie obiecała sobie, że zajmie się ogrodem w następnych sezonach. Każe wzmocnić żelaznymi kołkami kamienny mur, który się rozsypuje. Idąc wzdłuż alejki, myśli sobie, że mogłaby wziąć nogi za pas i zwiać.

Przyspieszając kroku, mruczy głośno piosenkę Fenian, jedyną, jaką zna, o kobiecie zbierającej pokrzywy - „Chwała... Chwała śmiałym Fenianom". Bardzo szybko traci oddech. Słabe są jej kroki i słabe piskliwe prośby do świętych o wstawiennictwo. Chciałaby, żeby przeszedł obok jakiś rolnik czy naprawiacz dróg. Dźwięk odległego samochodu napełnia jej serce rozdzierającym smutkiem. Mógłby teraz skręcić, zmierzać w jej stronę i porwać ją tam, gdzie jest bezpiecznie, tylko że tego nie robi. Dźwięk słabnie, a wtedy ona unosi rękę i macha nią słabo, niczym rozbitek machający do przepływającego statku.

Nawet wtedy, gdy przystaje, żeby wciągnąć w nozdrza kropelki mżawki i zapach powietrza pod gołym niebem, nie czuje, nie widzi niczego, świadoma wyłącznie partackiej i bezsilnej próby odzyskania wolności, wie, że teraz zawróci z drogi, wstawiając kalosze we własne, prążkowane ślady i będzie się przed nim tłumaczyć. Krajobraz wydaje się odmieniony, trawa jest inna w dotyku. Przybywając tu napełnił powietrze poczuciem zagrożenia, niczym zwiastun makabrycznych czynów.

W korytarzu mężczyzna mówi Josie, że jeśli chce się wybrać na mały spacer, to musi czekać do wieczora. W ręku trzyma swoją lornetkę

i robi wrażenie człowieka przyzwyczajonego do takiego ekwipunku.

- Czy to grzech wyjść na spacer?
- Powiedziałaś, że miesiącami nie wychodziłaś z domu.
- No cóż, teraz wyszłam - odpowiada i, porzucając wszelką ostrożność, mówi, że wie, kim on jest, pamięta bitwy zbrojne, jego śmiertelne misje, szalone ucieczki, umiejętność stawania się niewidzialnym i, tak, także jego przydomek.
- Nigdy nie mierzyłem do cywila - zastanawia się mężczyzna.
- Przypuszczalnie ja będę tym pierwszym.
- Mam nadzieję, że nie - odpowiada irytująco spokojny.
- Och, dzielny żołnierzu... - zwraca się do niego, rozkoszując się sarkazmem, nie dbając już o to, co mógłby zrobić. Przez moment ogarnia ją nastrój bezczelnego gadulstwa, który towarzyszył jej stale, gdy była młodą dziewczyną. Pokaże mu, w jakiś sposób wyprowadzi go w pole.

Siedzi w swoim pokoju. Nie wyszła na jego pukanie ani później, na jego wołanie. Słyszała, jak wchodzi na górę i wiedziała, że pewnie zostawił za drzwiami filiżankę herbaty. Siedziała i patrzyła na wieczorne niebo, które kiedyś było takie spokojne i takie kuszące, na bezlistne drzewa, rysujące się na tle nieba, i na inne drzewa, te rosnące w oddali, sinawe, na siną . barwę wzgórz i wyobrażała sobie jezioro, ciemne i wzburzone, ale go nie widziała. Wyobrażała sobie też cmentarz, na którym leżał jej mąż, i puste miejsce obok niego czekające na nią, kawałek ziemi pod wysokim nagrobkiem, gdzie spoczywali przodkowie Jamiego. Wysoki nagrobek pokryty porostami, białymi porostami, piękny, ale w wieczornym świetle zesztywniały jak w stężeniu pośmiertnym. Tak, mężczyzna pewnie zostawił pod drzwiami herbatę. Zachowywał się cicho. Wszystko ucichło. Wydawało się jej, że jeśli będzie siedziała bez ruchu, to może zdarzyć się jakiś cud.

Modliła się klęcząc, stojąc, chodząc po pokoju. Czasami zaciskała pięści i waliła nimi jedną o drugą, a innym razem starannie przebiegała palcami po każdym paciorku różańca. Całowała krucyfiks. Mówiła modlitwy, które znała i modlitwy, których nie znała, modlitwy z dzieciństwa i te naprędce wymyślone. Modliła się do Świętego Serca i do wszystkich świętych w niebie.

PAMIĘTNIK OCHOTNIKA

23 stycznia 1921 roku. Spałem w ziemiance. Ściany ziemianki były zbudowane z kamienia i gliny, a strzecha z sitowia. Miała około dziewięć stóp na siedem. Musiało w niej znaleźć dach nad głową ośmiu mężczyzn. W tej siedzibie spędziliśmy wiele ciężkich, zimowych nocy, pod cieknącym dachem i w mokrych łóżkach. Drzwi zastępował krzak janowca.

29 stycznia. Budowaliśmy nową siedzibę, w oborze należącej do M. Sammon. We trójkę wnieśliśmy do niej łóżko i było nam całkiem wygodnie, mimo że ściany były nieszczelne, a dach dziurawy. W tej siedzibie zatrzymaliśmy się prawie przez miesiąc, czasami spędzając noc w górach, kiedy robiło się gorąco. Pewnej nocy usłyszeliśmy kroki pod drzwiami - natychmiast chwyciliśmy rewolwery, myśląc, że zostaliśmy okrążeni, ale okazało się, że to tylko osioł wyjadał siano, którym powypychaliśmy dziury.

Luty. Wraz z C. Turnerem wyruszyliśmy na wesele w pobliżu Loughrea i wpadliśmy na patrol policji na rowerach koło Woodford, ale nas nie znali, więc przejechaliśmy bezpiecznie. Z wesela przyjechałem na rowerze do domu i uciekłem patrolom wojskowym przez przesmyk w Mount Shannon.

8 marca. Otrzymałem rozkaz stawienia się do ataku na patrol w Feakle. W towarzystwie T. Macka i Ernie'ego udałem się do Aughrim, gdzie spędziliśmy noc. Deszcz lał strumieniami. Nocą udaliśmy

się do Feakle, zajęliśmy pozycje i pozostaliśmy w mieście około dwóch godzin. Brunatni wywęszyli niebezpieczeństwo i zostali w budynku. Następnie z ukrycia ostrzelaliśmy koszary, a koszary odpowiedziały ciężkim ogniem i bombardowaniem, które trwało około dwóch godzin. Kiedy już odeszliśmy, oni ciągle strzelali. Całkiem przemoczony znalazłem się w domu o pierwszej w nocy, a spałem u M. Walsh.*

* Brunatni (ang. Tans) - skrócona wersja nazwy Czarno-Brunatni (ang. Black and Tans).

Marzec. Następnej nocy spałem u Cleary'ego.

Marzec. Słyszałem, że trzej mężczyźni z obcym akcentem poszukiwali mnie, w ciągu dnia byli blisko kilka razy, ale się nie spotkaliśmy. To wzbudziło moje podejrzenia, więc poszedłem w góry, sądząc, że to oddziały posiłkowe. Spotkaliśmy się w górach w ósemkę i udaliśmy się na przeszukiwanie rejonu, gdzie najprawdopodobniej się zatrzymali. Przeprawiliśmy się przez góry, a potem rozdzieliwszy się zeszliśmy przełęczą do Castello's Cross.

Trzech zatrzymało się w szopie na siano Burke'ego, a tymczasem czterech z nas leżało na czatach wokół stodoły, gdzie, jak myśleliśmy, tamci się zatrzymali. Był okropny mróz, aja wczesnym wieczorem wpadłem do rowu melioracyjnego, więc po czterech godzinach całkiem zesztywniałem. O drugiej w nocy przeszukaliśmy stodołę, ale znaleźliśmy tylko odciśnięte na sianie ślady w miejscu, gdzie spali. Kiedy wracaliśmy do naszych ludzi, zobaczyliśmy, że ktoś daje sygnały lampą, mniej więcej pół mili stąd. Teraz doszliśmy do wniosku, że nas widzieli i nadawali sygnał do Killaloe, żeby przysłano im posiłki, więc udaliśmy się do domu. Następnego dnia przybył oddział z Killaloe, spalił stodołę, i aresztował dwóch mężczyzn, tam gdzie my zatrzymaliśmy się w pobliżu przejścia poprzedniej nocy. Czterech z nich czekało za ogrodzeniem, spodziewając się, że dostaną resztę naszych ludzi, ale my ruszyliśmy do Whitegate. Gdybyśmy nie uzyskali informacji o aresztowaniu tych dwóch mężczyzn, wystrzelaliby całą naszą paczkę, bo mieliśmy przy sobie tylko jeden rewolwer i jeden karabin.

Marzec. Spałem w ziemiance w Derrycon. Co rano wychodziliśmy około piątej rano do Bohatch Mountain, około dwie mile stamtąd. Tam zatrzymywaliśmy się aż do dziesiątej, i, gdy wiedzieliśmy, że w pobliżu nie ma żadnych wrogów, wracaliśmy na niziny na śniadanie. W tym okresie pogoda była bardzo surowa, padał śnieg z deszczem, w wyniku czego bardzo cierpieliśmy z powodu zimna.

Kwiecień. Od dawna spodziewana obława w końcu nadeszła. Ziemianka w Derrycon czy w Bohatch nie została wzięta, aie oborę Sammonów, którą opuściliśmy kilka dni wcześniej, odkryto.

5 kwietnia. Postanowiliśmy zbudować nową chatę w Bohatch Mountain, przeto zabraliśmy się do roboty i wkrótce ją skończyliśmy. To była ziemianka na zboczu wzgórza, pokryta żelazną blachą, na której położyliśmy darń z wrzosowiska. Chaty tej używaliśmy tylko przez dwa tygodnie i była bardzo zimna i mokra. Znajdowała się około mili od drogi i kiedy szło się do niej po ciemku, kilka razy wpadało się w pełne błota dziury.

Zdaje się, że szpiegowano tę ziemiankę i ledwie udało mi się uniknąć schwytania, bo nie było mnie tam tego ranka, kiedy przyszli.

12kwietnia. Otrzymałem rozkazy, żeby przyłączyć się do lotnej kolumny. W ośmiu wyruszyliśmy z Middleline Cross o piątej rano i dołączyliśmy do kolumny w Aughrim, gdzie spędziliśmy noc.

13kwietnia. Byliśmy na mszy w Clunta, a potem pomaszerowaliśmy do tajnej siedziby, gdzie czekaliśmy cały dzień, bo spodziewaliśmy się patrolu z Tullagh. Opuściliśmy to miejsce około czwartej po południu i ruszyliśmy w kierunku Cahir, gdzie przybyliśmy o pierwszej w nocy. Tego samego wieczoru na nowo podjęliśmy marsz i przybyliśmy do Scalp Mountain, gdzie zakwaterowaliśmy się na noc.

Kwiecień. Znowu jesteśmy w ruchu, przeszliśmy przez góry do Derrybrien, gdzie spędziliśmy noc. Następnego dnia przybyliśmy do Dalystown, spodziewając się wroga. Byliśmy tu bardzo krótko, kiedy nadciągnęli Brunatni i okrążyli nasze pozycje. Mieliśmy zbyt mało amunicji, żeby prowadzić walkę na dużą odległość, więc nie

nawiązaliśmy z nimi kontaktu bojowego, lecz podjęliśmy marsz dopiero, kiedy odeszli.

Maj. Z powrotem do Scalp Mountains, dwadzieścia pięć mil stąd.

- Zacny człowiek... kim on był? - pyta mężczyzna, podnosząc wzrok. W jego oczach Josie dostrzegła jakąś uległość. Coś z tego pamiętnika poruszyło go, coś, co pasowało do jego wędrówek.

- Został zastrzelony przez Czarno-Brunatnych... Znaleźli go wraz z towarzyszami zaraz następnego dnia... Spali w opuszczonym domu... Na zewnątrz był stróż, ładował do magazynu kapustę... On ich nie wydał... Aresztowano go wraz z nimi... Zabrano wszystkich do ciężarówki, przywieziono do miasta, na most, i tam zastrzelono... Jest o tym piosenka...

- Jest o tym piosenka - powtarza mężczyzna i zaczyna przerzucać kartki zniszczonego pamiętnika z pozaginanymi rogami, przerzuca je tak, jakby tasował karty.

- A zatem wiem - mówi Josie.

- Co takiego wiesz?

- Znam historię... Nasze nieszczęścia...

- Twój wujek był jednym z nas.

- Pracowałam wtedy w Ameryce... Nawet nie wiedziałam, że nie żyje... A jednak stanął w nogach mojego łóżka i wezwał mnie do domu.

Z jakiegoś powodu Josie łagodnieje, myśli o wujku, tak bezlitośnie zastrzelonym, o jego ostatnich słowach wypowiedzianych do księdza, które matka napisała jej w liście, i przypomina sobie, jak je czytała. Płakała wtedy i myślała o domu, o wiejskich drogach, żywopłotach z głogu, o wujku, takim poważnym, cichym i wstrzemięźliwym, o wujku, którego zastrzelono. Była przekonana, że to niesprawiedliwe, i że powinna wrócić do domu, by pomóc to wszystko naprawić. Tak, te uczucia wezbrały w niej wtedy i ciągle tam są, przyczajone jak zarodki.

- Dlaczego mi to pokazałaś? - pyta.
- Żebyś wiedział.
- Wiedział? O czym?
- Że jesteśmy po tej samej stronie.
- Czyżby?
- Tylko że to, co oni wtedy robili, było inne.
- Nie było... Jest dokładnie tak samo.
- ...Niewinni ludzie.
- Na rany Chrystusa, próbuję ocalić swój pieprzony kraj, więc przestań opowiadać mi o niewinnych ludziach.
- Więc zrób to... Bez konieczności zabijania i okaleczania niewinnych ludzi - krzyczy Josie, wstrząśnięta własną bezceremonialnością.
- Proszę posłuchać... Proszę pani... Pani kurczowo się trzyma swojego pełnego miłosierdzia życia.
- Boisz się mnie? - pyta Josie i pozwala sobie na uśmiech.
- Dlaczego miałbym się bać?
- Obawiasz się tego, co mogłabym powiedzieć.
- W naszej walce to pieprzone gadanie do niczego nie doprowadziło.
- Może nie chcieliście, żeby tak się stało.
- Posłuchaj... trzeba się tam* urodzić, żeby to wiedzieć - mówi i ozięble wręcza jej pamiętnik z powrotem, jakby chciał dać do zrozumienia, że marnuje czas.

* tam - w Irlandii Północnej.

PAMIĘTNIK JOSIE

Ostatniego wieczoru wyszedł, kiedy zapadł już zmrok, żeby omówić jakąś robotę. Oni nie nazywają tego śmiercią czy morderstwem, nazywają to robotą. Mój dom stanie się powszechnie znany z faktu, że on się tutaj ukrywał. Wszystko zostanie wyolbrzymione:

powiedzą, że zakuwał mnie w łańcuchy, trzymał pod schodami, wyrywał mi kawałki ciała. Nikt nie będzie znał prawdy. Prawda zawsze gdzieś się gubi, wielkie prawdy, małe prawdy, prawdy bez znaczenia. Zatracone. Zastanawiam się, co on robi przez cały dzień. Czyta? Ćwiczy to, co zamierza zrobić? Może jest jednym z tych, którzy marzą? Niewiele je. Zjadł tylko jedną z tych dwóch kromek z szynką, które dla niego zostawiłam. Dlaczego to zrobiłam? Nie wiem, dlaczego. Przyszło zamówione jedzenie i szynka wyglądała na świeżą... W każdym razie, zrobiłam mu piękne kanapki. Któregoś dnia natknęłam się na niego w spiżarni o zmierzchu. Czyścił buty. Podniósł rękę, żeby zapalić światło, ale wyłącznik porastały grzyby, zapleśniała, splątana masa, i wiedziałam, że porazi go prąd.

- Nie! - krzyknęłam i wyjaśniłam, dlaczego się denerwuję.

- Dziękuję - powiedział, ale bez żadnych emocji. Nie zapalił światła. Może uważałam, że to nas do siebie zbliży?

Kiedy zaczynają dziać się poważne sprawy, wszystko wygląda bardzo ostatecznie, bardzo surowo. Teraz śmierć jest wszędzie, klekocze jak dzbanki. Gdybym mogła mu o tym powiedzieć, gdybym mogła powiedzieć mu, jak prosta, jak przerażająca jest dla mnie ta bliskość śmierci, być może miałby litość nade mną. Ma przecież matkę. Ma siostrę. Musi znać uczucia kobiety. Kobieta chce dawać życie, a nie odbierać. Gdyby widział mnie teraz, jak siedzę i Uczę swoje krótkie oddechy, nastąpiłaby w nim jakaś radykalna zmiana, a może nie? Sposób, w jaki ich szkolą, jest pewnie makabryczny. Masz być niezwyciężony. Żadnego zwątpienia. Gdzieś w odosobnionych miejscach celują do tarczy, zaznajamiają się z literaturą, ładują się odwagą, składają przysięgę. Kiedy przekroczą już tę granicę, nigdy nie będą tacy jak przedtem, jak żelazo włożone do ognia. Nie mogą wrócić do dawnego kształtu, do dawnego sposobu życia. Najsmutniejsze jest to, że jesteśmy tej samej rasy, tej samej wiary, mówimy tym samym językiem. A jednak nie. Język jest dla każdego z nas jak zbiór znaków Braille'a, których to drugie nie zna. Słowa, takie jak sprawiedliwość czy miłość, zostały przenicowane. Nic nie umknie jego uwagi. Wyrzuciłam przez okno stary

papierek od cukierka i pudełeczko wyschniętego różu. Zapytał, czy był to jakiś sygnał. Zaprzeczyłam. Odparł, że czujności nigdy zbyt wiele. Wyjaśniłam mu, że nie odpowiadam już za to, co robię, a on popatrzył na mnie z pierwszym, jedynym dotąd, odruchem litości. To pewnie z powodu moich włosów, które zwisały żałośnie.

- Jeśli wleziesz na tę mokrą farbę, to cię zabiję - mówi Jakko.

- Hau, hau, hau - szczeka Nellie, jego suka, jakby chciała sama sobie pogratulować, zobaczywszy, że tutaj dopłynęła. Cała ocieka wodą, węszy, pochwalając może zapach farby, ale nie podoba jej się kwaśny, amoniakalny odór kleju do tapet. Wysychające paski tapety wyglądają jak flaczki.

- Mówiłem, że cię zabiję - powtarza, a jego oczy bacznie przyglądają się malutkim, delikatnym śladom psich łap, przypominającym muśnięcia gęsim piórem, podczas gdy Nellie bada pokład, koje, a potem rzuca się na kremowe poduszki.

- Przy wiążę ci kamień do szyi i utopię... Tak właśnie zrobię. - Suczka dobrze wie, co mówi jej pan i swoim, nieco bezczelnym chodem i cienkim, jazgotliwym językiem, zdaje się mu odpowiadać:

- Nie możesz mnie zabić. Jestem wszystkim, co posiadasz, Jakko Malcahy.

Czas na palenie. Dwa razy dziennie, o jedenastej rano i o czwartej po południu, siada w salonie przy piecu i pali fajkę. Poproszono go, żeby palił w piecu i dobrze ogrzał stateczek. Najchętniej zostałby tu na zawsze. Zachwyca go spokój i cisza tego miejsca: ptaki, poruszająca się woda. Zostały jeszcze dwa dni. Warstwa pokostu wewnątrz i druga warstwa farby olejnej wszędzie. Bardzo chciałby móc potem wyruszyć tym stateczkiem w podróż, on i Nellie, na drugą stronę jeziora i w górę dumnej rzeki Shannon, Drogą Pielgrzymów, to było coś, co zawsze chciał zrobić. Przepłynąć przez wielkie śluzy i pod

obrotowymi mostami, o zmierzchu znaleźć miejsce do przycumowania, a potem pójść do miasta, do pubu, uprzytomnić sobie, jak oddycha przyroda: czaple, perkozy i łabędzie nieme. Wszędzie dookoła pełne życia wzgórza, wznoszące się ponad równinami błękitne i liliowe wzgórza potężniejące w góry.

Nic dziwnego, że ten Anglik to kocha. Przyjeżdżał tutaj przez trzydzieści lat, ale kilka ostatnich lat opuścił, z powodu nieprzyjemnych wydarzeń. Tęskni za tym miejscem, jak za własnym domem. Przed jego przyjazdem polecono zrobić gruntowny przegląd stateczku, sprawdzić silnik, dach, nadburcie, przewietrzyć go starannie, bo Anglik nie czuje się najlepiej. Informację o jego złym samopoczuciu przekazała panna Hourigan, niskim, znaczącym tonem, jakby jego choroba była poważna, rak albo coś w tym rodzaju. Rak, który wszystko chwyta w swoje szpony, tak jak to zrobił z jego żoną.

- Ma być czyściutki, jak spod igły, Jakko - powiedziała panna Hourigan i wręczyła mu listę prac, która zajmowała całe dwie strony. Dzwoniła sekretarka pana Rolanda i odczytała jej wszystko, kładąc szczególny nacisk na to, że musi być ciepło i że 'koje trzeba wietrzyć, a termofory należy do nich wkładać dwa razy dziennie, żeby towarzystwo nie dostało zapalenia płuc. Czterech mężczyzn. Żadnych pań. Pierwszego wieczoru obiad w hotelu. Zamówiła miejscowe menu - świeże ostrygi, prosię z ziemniakami i kapustą oraz cytrynowy placek beżowy panny Hourigan.

- Przyjeżdża od trzydziestu lat... Nasz najstarszy VIP... Cieszę się, że postanowił do nas wrócić - stwierdziła panna Hourigan.

- Wiem - powiedział Jakko i przypomniał sobie, jak był przewoźnikiem pana Rolanda, który się zaperzał, kiedy inne łódki wpływały na jego teren. Przypomniał też sobie debatę na temat nazwy dla tego stateczku. Żona pana Rolanda chciała nadać stateczkowi jakąś irlandzką nazwę, a pan Roland wolał go ochrzcić imieniem żony. W końcu zdecydowali się na wymyśloną nazwę - „Serendipity". Nikt nie wiedział, co to znaczy. Pan Roland, który był wybitnym sędzią,

zawsze nazywał go Paddy. Kiedyś zezłościł się, gdy Jakko zadał mu proste pytanie o jakąś kwestię prawną. Nazwa wyblakła, ale za pomocą pędzla z sobolowego włosia Jakko na nowo nadał jej wyrazistości, przywrócił znowu ten zuchwały kanarkowy kolor, jaki kiedyś miała - „Serendipity".

- A ty, zachowuj się przyzwoicie - rzekł do Nellie, która zabawia się frędzlami robionego na drutach szalika. Musiała go tutaj zostawić jakaś mizdrząca się para. Umieści na statku napis: „świeżo malowane", żeby trzymali się od niego z daleka. Gdyby nie panna Hourigan, spałby tu w nocy, ale ona powiedziała, że wykorzystuje sytuację. Czułby się jak w niebie, gdyby mógł siedzieć przy piecu w ładnie pomalowanym pokoju, palić fajkę, i obserwować nadejście ciemności. To miłe i dziwaczne uczucie, kiedy zmrok zapada nad wodą, kiedy pełznie nad nią, i wzgórza też robią się ciemne, i jakieś takie pękate. Wyobrażałby sobie najróżniejsze rzeczy, że to jest jego łódź, jego własna łódź, że zapłaciła za nią jego córka, która mieszka w Ameryce, i wymykałby się chyłkiem do miasta, żeby wypić dwa kufle mocnego portera i zjeść bułkę z kiełbasą. Rzuciłby jeden z materacy tuż koło ciepłego pieca, cieplejszego niż jego cholerny dom z wiadrami do łapania wody podczas ulewy.

- Czyż nie byłoby to po prostu cudowne? - powiedział do Nellie, która siedzi na tylnych nogach i patrzy na niego, podnosząc swój wilgotny, grymaśny, sino-różowawy pysk.

- Skąd ty to wytrzasnęłaś? - mówi i ciągnie za oba końce szalika, wlokąc suczkę do siebie. Jej mała, wąska mordka i ucho jak z filcu są na pewno rasowe, ale reszta to wszystkiego po trochu.

- Masz więcej niż jednego ojca - mówi i śmieje się. Zabrałby ją na wycieczkę. Strzegłaby statku przed włóczęgami i parami zakochanych. Ilu włóczęgów, ile par nocowało w nim od czasu, kiedy po raz ostatni go używano? Pierwszego dnia czuł zapach papierosów. Ile par tutaj leżało i przehulało całą noc? Są zbyt skąpi, żeby płacić mu stałą pensję stróża, żeby pilnował statku i przez cały czas nie spuszczał

go z oczu. Za bardzo skąpi. Ludzie, którzy mieszkają w swoim domu w Londynie przez pięć dni w tygodniu, wyjeżdżają na weekendy do posiadłości w Staffordshire, mają letnią rezydencję w Hiszpanii, a przez cały ten czas ich mały, wodny autobus, samotny i opuszczony, rdzewieje na przystani, na skraju wzburzonej wody.

- Być może zapisze mi go w testamencie - stwierdził, śmiejąc się z Nellie, bo z szalikiem zawiązanym pod brodą przypomina starą babcię.

- Zapytaj mnie, Nellie, czy dobrze mi się żyje. - Prawie jej się to udało. Trąca go łapą, czule, delikatnie, jakby wiedziała.

- Nie pytaj mnie - mówi potem Jakko i wyciąga notesik, w którym ma rejestrować wszystkie wydatki, i zastanawia się, ile czasu po godzinach może tutaj zabawić.

Dowiadujemy się, że to na rozkaz anioła św. Calum wraz ze swą świtą, przybył do ***Inis Cealtra.*** Znalazł tam drzewo o nazwie ***Tilia,*** którego sok kapiąc napełnił naczynie, a trunek miał aromat miodu i moc wina. Calum żył długo w ***Inis Cealtra,*** a niebiańskie ptaki były z nim w przyjaznych stosunkach i igrały wokół jego twarzy. Umarł od zarazy.

Św. Caimin został później opatem, a jego matka miała liczne potomstwo. Bratem przyrodnim św. Caimina był Guaire Aidne (Gościnny), legendarny król Connaught, i św. Colman, sławny w Kilmacduagh. Istnieje dobrze znana opowieść, którą można znaleźć w dwunastowiecznym rękopisie pod tytułem „Księga Ciemnobrązowej Krowy", dotycząca św. Caimina i jego przyrodnich braci.

Owi trzej mężczyźni spotkali się w kościele Świętej Wyspy i każdy z nich mówił, co chciałby zgromadzić w tym kościele. Guaire marzył, żeby kościół napełnił się złotem i srebrem, aby on mógł okazywać hojność biednym. Cuimmine Fota chciał, żeby było tu mnóstwo książek, aby studenci uczyli się z nich prawdy. Caimin życzył sobie, żeby

kościół wypełnił się wszelakimi dolegliwościami i chorobami, i aby te choroby mogły spaść na jego ciało.

Wydaje się, że życzenie Caimina zostało spełnione, albowiem wszelkiego rodzaju dolegliwości i choroby spadły na jego ciało - „tak, że żadna kość jego nie łączyła się z inną kością na ziemi, ale rozmiękały i gniły, przynosząc udrękę wszystkich możliwych dolegliwości i mąk".

Inną malowniczą opowieść z nim związaną można przeczytać u Keatinga*. Do Diarmaita, króla Irlandii, przyszła zakonnica, żeby poskarżyć się, że Guaire Aidne zabrał jej jedyną krowę, jaką miała. Diarmait zebrał swoich żołnierzy, żeby pomścić tę krzywdę, i chociaż miał tylko niewielką armię, a Guaire bardzo liczną świtę, ludzie z Connaught zostali pokonani, ponieważ św. Caimin stanął po stronie Diarmaita i pościł w intencji tego, żeby Guaire nie wygrał bitwy.

* Keating, Geoffrey (1570?-1644?) - pisarz irlandzki, którego jedną z najważniejszych prac była historia Irlandii od najdawniejszych czasów do inwazji angielskiej, napisana po irlandzku i krążąca w rękopisach po Wyspach Brytyjskich.

Gdy tylko Josie słyszy, jak mężczyzna chodzi, wygina się i gimnastykuje w swojej kwaterze, ona także postanawia być czujna i gotowa do działania, usiłuje rozruszać stawy palców u rąk i nóg, i głośno czytać, żeby wprawić go w zakłopotanie. Mężczyzna staje w drzwiach, niepewny, a potem pyta, czy wyspa, o której Josie czyta, jest jedną z tych, które widać z brzegu.

- Chodziłeś nad jezioro?
- Zrobiłem sobie przechadzkę.
- Dobrze - mówi Josie, jakby rozmawiała z sumiennym turystą.

Dwa razy wychodził w środku nocy i jeszcze nieraz wyjdzie, ćwiczyć na sucho wszystkie posunięcia, w myślach dopracowywać szczegóły swojej roboty.

- Powinieneś zobaczyć je latem - zachęca go i z wyobraźni wyczarowuje obraz wodnego szlaku, uskrzydlonego jaskrawymi żaglami. To zapewne jego milczenie sprawia, że Josie dalej trajkocze na temat łowienia ryb na przepływankę i rozgłosu, jaki zyskał jej mąż jako wędkarz. Jamie wiedział, gdzie żerują pstrągi, jak najlepiej zarzucać wędkę, co zrobić, żeby brały, jak wodzić je, aż zupełnie opadną z sił, jak je wyciągać. Potem, z podnieceniem opisuje wielką rybę, największą, jaką kiedykolwiek złowiono w tym jeziorze. Dokonał tego jej mąż. Rybę trzeba było wysłać do Dublina, gdzie została wypchana i umieszczona w szklanej gablotce w jakimś hotelu. Słodkie wspomnienia kobiety, która żałuje, że nie rozmawia ze zwyczajnym młodym mężczyzną.

- Mówią, że wędkarstwo jest bardzo zdrowe.

- Powinieneś spróbować - namawia go Josie, on zaś odpowiada jej uśmiechem pełnym zmieszania.

- Chcesz coś zobaczyć? - pyta, i zanim on ma szansę zareagować, Josie wstaje, kraciasty pled zsuwa się z jej kolan, a ona już jest na korytarzu i czegoś szuka. Spod schodów wyciąga puszkę po biszkoptach, oklejoną tapetą pożółkłą ze starości i oplecioną pajęczyną. Mieszczą się tam przybory wędkarskie jej męża, każdy element jest starannie, skrupulatnie ułożony, jak ulubione zabawki dziecka. Josie objaśnia, do czego służą wszystkie te rzeczy: sztuczna przynęta z piórkami, haczyki i przypony, a potem trzymając w ręku żelazny młotek, mówi:

- Zgadnij, jak on się nazywa? - po czym sama odpowiada: - Ksiądz.

- Ksiądz! - dziwi się mężczyzna.

- Tak, służy do tego, żeby uderzyć rybę w łeb i zatłuc ją.

Śmieją się razem, i razem zastanawiają się, dlaczego to się ma nazywać ksiądz.

Dwoje ludzi tkwi w lodowatym domu, gdzie ciepło piecy akumulacyjnych wzmaga jedynie zapach pleśni. Ona w zamyśleniu przywołuje zapach wosku do podłóg i woń ogromnych, herbacianych róż, majestat belkowań i łuków, blask błękitno-zielonego, szklanego

żyrandola, sute kolacje. Dwoje ludzi na chwilę zamkniętych w kręgu zimowego światła, grzejących się nawzajem własnym towarzystwem, własnym oddechem.

- Coś ci powiem... To bardziej męska niż damska rzecz - mówi Josie i wsuwa mu pudełko w dłonie z ledwie dostrzegalnym błyskiem radości. Tak dawno niczego nikomu nie dawała, tak dawno już nie miała żadnej sposobności.

- Ależ na pewno będzie pani tego brakowało - protestuje.

Josie nalega. I oto dzieje się coś niezwykłego: jego oczy stają się wdzięczne i pełne onieśmielenia, jak magnesy pomalowane złotem, a w zachowaniu Josie jest jakaś delikatność i uległość, jakby była nasączona światłem księżyca.

- To zbyt wiele.

- Jest twoje - mówi Josie i trzyma pudełko, dopóki mężczyzna go nie weźmie, mrucząc w zakłopotaniu coś w rodzaju podziękowania.

- Tak, to jezioro, to nasza duma... Ono nas rozsławiło... Przyjeżdżają tu ludzie... Obcy... Najróżniejsi ludzie.

- Czy coś tu można złowić w zimie?

- Mój Boże... Fale robią się wysokie jak góry... Małe łódki roztrzaskują się o skały... W zeszłym roku straciliśmy dwóch młodych mężczyzn... Poszukiwania trwały całymi dniami... Przeczesywanie dna hakami. - A potem jej głos nagle poważnieje. - Ciała znajduje się zawsze w pozycji stojącej, stoją na dnie jak upiory.

- Jak upiory?

- Tak - odpowiada i w jej oczach wzbierają łzy współczucia. Ale mężczyzna już nie słuchał. Przyszedł do tego domu, żeby nie czuć, żeby nie wpaść w pułapkę próśb i nagabywania i jego oczy są teraz jak krople deszczu pokryte rdzą.

- Ostatnio widziany... Ostatnio widziany... - mówi detektyw Horan, siedząc przy biurku i wpychając kawałki pociętego papieru do ust. Zawsze to robi, kiedy jest podenerwowany.

Rodzina i przyjaciele przypisują jego zachowanie wielu rzeczom. On uważa, że to z winy frustracji, dlatego, że śledztwo nie rusza z miejsca, a ten zbój robi z nich idiotów. Posunął się nawet do tego, że zdarł mundur z młodego policjanta i miał go na sobie przez co najmniej trzydzieści mil swojej wędrówki na południe.

- Co ona jeszcze mówi?! - pyta. Z powodu złego stanu linii musi krzyczeć.

- Tylko to, co ci powiedziałem.

- Powtórz to jeszcze raz. - Jąkanie się tego młodego człowieka jest naprawdę godne pożałowania. Pełne pięć minut zajmuje mu przekazanie informacji, że było to w kinie w Dundalk, na widowni siedziało nie więcej niż dwadzieścia osób, film jeszcze się nie zaczął, kiedy do środka wszedł facet z torbą, zmienił koszulę i kamizelkę, i kilka minut później zwiał, zostawiając jedną z toreb na zakupy.

- Gdzie ona jest?

- Sprzątaczka ją wyrzuciła.

- Wyrzuciła ją... Uważała, że jest niepotrzebna... Więc skąd teraz to doniesienie?

Bileterka zobaczyła zdjęcie tego faceta w telewizji i skapowała.

- Co skapowała?

- Że to był on albo jego sobowtór.

- Co! Kręcone włosy, kwadratowy podbródek, wydatne kości policzkowe, albo włosy proste, okrągły podbródek i małe kości policzkowe. Więcej ludzi widziało tego faceta niż Matkę Boską z Fatimy.

- Czy to jest fakt?

- Nie, Vincent, to nie jest żaden pieprzony fakt... Faktem w tym dochodzeniu byłaby torba.

- Poszukują jej na śmietniku.

- Jak ten „podejrzany" mówił?

- Podobno całkiem grzecznie. Zapytał: „Jak leci?"

- Oni wszyscy, kurwa, tak mówią.

- Jeszcze jedno... Z torby wypadł paragon i znaleźli go pod dywanem.

- O, brawo! Dowód rzeczowy numer jeden. Wysłałeś go?

- Zamierzam to zrobić.

- Tam w Monaghan być może jest sennie, ale tutaj, w pokoju dyskusyjnym w Phoenix Park, robota się pali. Pamiętaj Pat, dowody istnieją zawsze. Czy je znaleziono, czy nie, to zupełnie inna sprawa... To, że ich nie znaleziono, wcale nie dowodzi ich braku - wyłącz się łaskawie z mojej pieprzonej gorącej linii, natychmiast.

- Rozpoznała jego uśmiech na tym zdjęciu w telewizji.

- Na tym zdjęciu w telewizji on się wcale nie uśmiecha, tylko klnie dwóch strażników, którzy zakuli go w kajdany, kiedy był wyprowadzany z sądu... Co więcej, to było pięć lat temu i wtedy miał włosy.

- Wszystko jedno, kobieta jest przekonana, że to był on.

- Powiedz jej, żeby się wypchała - mówi, odkłada słuchawkę, a potem wypluwa kupkę szarobiałej materii, w jaką jego ślina zlepiła papier.

- To nigdy nie był szczęśliwy dom - stwierdza Josie.

- W jakim sensie?

- W każdym.

- Mój mąż słyszał w nocy na schodach chrzęst łańcuchów - mówi, przeżywając to jeszcze raz, nasłuchując, a potem powtarzając słowa Jamesa. Nie, nie wiedziała, czyje to były łańcuchy ani kogo w nie zakuto. Mogła powiedzieć jedynie, że James słyszał je na schodach, jak klekotały i nie dawały mu spać.

- Umarli - dodaje.

- Bardziej prawdopodobne, że żywi.

Jedli razem podwieczorek, połowa wyszorowanego stołu przykryta była gazetą, na której leżał obrus, a na nim ładne filiżanki w kasztanowate plamki. W pewnej chwili mężczyzna uznał, że ponieważ mieszkają w tym samym domu, mogą razem jeść kolację. Naprawił

piec elektryczny i obiecał upiec chleb, kiedy skwaśnieje mleko.

- Mogę kupić więcej chleba - proponuje Josie. Mężczyzna znowu obrzucił ją tym spojrzeniem. Nie musiał nic mówić, sama uświadomiła sobie, że ma nie zmieniać swojego tygodniowego zamówienia na artykuły spożywcze nawet o jedną paczkę herbatników. Ma być to samo co zawsze, ani więcej, ani mniej.

- A co będzie, jeśli zachoruję? - pyta i nagle wzbiera w niej jakiś bunt, jakieś poczucie niesprawiedliwości.

- Mam nadzieję, że nie zachorujesz - mówi niemal rycersko.

- Mam wysokie ciśnienie - informuje go, pytając, czy przypadkiem nie zauważył czerwonych plam, które czasem pojawiają się na jej szyi i policzkach.

- Czy lekarz tu przychodzi?

- Przychodzi w niedzielę, po drugiej mszy.

- Kiedy go wzywasz?

- Po prostu przychodzi.

To było jej pierwsze kłamstwo i on o tym wiedział. Tak naprawdę lekarz przychodził, kiedy miał taką fantazję. Może przyjść w Boże Narodzenie albo w lecie, albo kiedy znajdzie się gdzieś w pobliżu. To był nowy lekarz, młody, uparty i w niedzielę jeździł konno. Dla jej gościa nie miałby czasu. Uważałby go za zbira i rzezimieszka. Sądził, że w razie zjednoczenia kraju podobni ludzie byliby bezrobotnymi kryminalistami. Kiedyś opowiadał jej, jak go wezwano po napadzie na bank, by udzielił pomocy młodej, ciężarnej urzędniczce, która właśnie poroniła. Najsmutniejszą rzeczą na świecie było to, że kobieta w kółko powtarzała imiona, które wybrała dla swego dziecka; imiona chłopców i dziewcząt, imiona, które kochała.

Psychopaci - tak ich nazywał. Cóż, teraz jeden z nich był u niej w kuchni, w jej błyszczącej czystością kuchni, którą sam wyszorował. Umyte przez niego kubki i holenderska ceramika, stały na suszarce, a na szybach, w miejscach, gdzie je wypolerował, błyszczały malutkie tęcze.

- Jak on się nazywa?
- D'Arcy - odpowiada i powtarza jeszcze raz, jakby jej nie wierzył.
- Mówisz, że przychodzi w niedzielę? - upewnia się, przyglądając się jej uważnie.
- W niektóre niedziele - odpowiada i zagląda do filiżanki, zastanawiając się, co może wróżyć ta wielka ilość fusów, po czym pyta. - Nie wróżysz przypadkiem z fusów?
- Nie, ten szczególny talent jakoś mnie ominął, ale znam kogoś, kto to robi i kto powiedział mojej matce, że będzie miała siedmiu synów, i tak właśnie było.
- Przypuszczam, że nie utrzymujecie ze sobą kontaktów.
- Kocham matkę.

W tym momencie po raz pierwszy zobaczyła, że się uśmiechnął. Tak, to był prawdziwy uśmiech, nie dostrzegła w nim ani odrobiny sztuczności.

- Ale ona nie może kochać ciebie.
- Myślę... że mnie kocha - mówi i zasłonią twarz dłońmi, aby ukryć emocje. Chowając się w tych dłoniach, różowych od wody i mydlin, wyjawił, że nie lubi przysparzać zmartwień swej matce, nie znosi sprawiać jej bólu.

Przypomniało jej się wszystko, co przeczytała o różnych morderstwach popełnionych na polach, przy drogach; o księżach przyprowadzanych do zmarłych i umierających, żeby udzielili im ostatniego namaszczenia. Coraz to nowe morderstwa - odwet jednego tłumu na drugim. Jakąś parę znaleziono zastrzeloną o świcie w opuszczonej chacie, kogoś innego zabito w domu towarowym, i tak dalej, bez końca. Była kiedyś na pogrzebie i ktoś powiedział, że obie bandy należałoby ustawić na stadionie naprzeciwko siebie i kazać im na przemian do siebie strzelać, zrobić taką przedłużoną wojnę błyskawiczną, dopóki wszyscy nie staliby się skrwawioną kupą mięsa, połączeni jak bliźniaki, poskręcani ze sobą, jak ci niewinni, których pozabijali. Wstała wtedy jakaś oszalała kobieta i chrapliwym głosem wydusiła z siebie: „Zapomnieliście o krzywdach swojej ojczyzny".

Ludzie odsunęli się od niej, uświadomiwszy sobie, że ona to wszystko popiera. Jakże trudno sobie wyobrazić, że jej gość jest sprawcą rozlewu krwi. Ile krwi rozlał, ile śmierci spowodował, czy zrobił to w blasku dnia, czy pod osłoną ciemności, a kiedy odchodził lub uciekał, co wtedy myślał, ile karabinów ukrył w tym pokoju?

- Kiedy strzelasz, w jaką część ciała celujesz? - pyta.
- W największą - mówi i dotyka ręką swojej piersi, udając, że tam strzela, albo że tam został trafiony. Zamarła. Jego głos nie zadrżał, nie było w nim niezdecydowania, po prostu udzielił odpowiedzi, strzela w największą część ciała, jakby chodziło o strzelanie do ściany.

PAMIĘTNIK JOSIE

Ciągle go widzę, szczególnie jego oczy. Są bursztynowe w zielone cętki. Koloru tytoniu, z którego robi skręty. Kiedy rzuca zapałkę do kąta, przypomina mi mężczyzn, którzy bywali w tym domu, mężczyzn, których prawie nie znałam, a którzy przychodzili tu wieczorami palić papierosy. Wszędzie rzucali zapałki. Kiedy to zrobił wyczułam w nim ten sam rodzaj jowialnej dobroduszności. Skąd znam to słowo? Znam teraz wiele słów, których kiedyś nie znałam. Spotkaliśmy się w saloniku porannym, żeby złapać trochę słońca. Mój pomysł. Siedzi tam milion duchów, włącznie z ludźmi, którzy łowili na przeptywankę i przychodzili tu kiedyś: mężowie i żony, także mój własny mąż - stworzony na dżentelmena. Mój gość mówi, że cieszy go nasza rozmowa. Twierdzi, że kocha prawdę, sprawiedliwość i dzieci. Kiedy kołysze niemowlę, to śpiewa. Jakie niemowlęta kołysał? Myje się, zanim się ze mną spotka. Myje się tak zawzięcie, że aż rzuca się w oczy świeża różowość jego twarzy i rąk. Czy zmywa z siebie krew, czy wstyd? On się nie wstydzi. Mówi, że to wojna. Nosi mundur i inni noszą mundury. Chciałabym, żeby pozostał sobą, a jednocześnie by się zmienił. Wszystko mi się

w nim podoba, oprócz tego, co robi. Kiedy rozmawia, nigdy nie mówi nic niepotrzebnego. Jakby to, co robi, wyostrzyło go i znieczuliło, albo i jedno, i drugie.

Otworzył ogromną butlę oranżady, to prawdziwa uczta dla nas obojga. Musiał ją zdobyć, kiedy wyszedł; oranżadę i papierosy. Z kim się widuje? Dokąd chodzi? Sądziłam, że znam ten teren. Uważałam, że znam ludzi ze wsi i każdy dom w okolicy, a jednak nie. Wszystko się pomieszało. Raczej niezobowiązująco zapytałam, czy przyjdą tu inni. Odpowiedział z całym szacunkiem, że będzie sam, gdyż sądził, że nie chcę, aby mój dom został zamieniony w koszary. Piliśmy oranżadę powoli, bardzo powoli. Była ogromnie słodka i gęsta. Zauważył, że mi nie smakuje. Wyjął wymiętoszony kawałek papieru, na którym napisał trzy hasła. Była to odpowiedź na niektóre moje pytania. Sprawiedliwość. Własna tożsamość. Prawda. Patrzył na mnie, żeby się dowiedzieć, czy rozumiem, albo czy się sprzeciwiam. Pismo miał bardzo niewprawne. Potrzebuje mojego podziwu i zaufania. Chce, żebym była jego towarzyszką. Twierdzi nawet, że pragnie mojego szczęścia. Kiedy miałam trudności z siadaniem, zapytał: „Masz cebulę? Sok z cebuli jest najlepszym lekarstwem na reumatyzm". Wiedział to z domu. Od kogo? Pomyśleć tylko, że gdzieś daleko, a może tylko kilka mil stąd, są ludzie, dla których jego nazwisko jest synonimem najbardziej niegodziwego i brutalnego psychopaty. Nie ma w nim lęku. Mówi, że dawno już porzucił lęk, bardzo dawno, jeśli w ogóle kiedykolwiek się bał. Porzucił także wiarę katolicką. Był u pierwszej komunii, on, jego bracia i siostry. Tęskni za nimi. Tęskni za domem, za solidarnością, za rozległym krajobrazem. Wierzy, że pewnego dnia będzie pokój. To jest jak płomień w jego głowie. Widać to w oczach i uśmiechu, są jakieś takie promienne. Wiem, w jaki sposób ludzie zdobywają zwolenników, jak przyciągają do siebie innych niczym lśniące magnesy. Być może jest szalony. Może to jest jego tajemnicą.

Zabawne, ale śnił mi się dzisiaj. Miał mały, złoty kolczyk, który usiłował wpiąć mi do ucha, tylko że dziurka zarosła i klejnocik nie

chciał wejść. Polizał więc ten kolczyk, a potem zaczął mi go wbijać w ucho. Nagle trysnęła gorąca krew, a on rzekł: „Wiem, że sprawiam ci ból... Ale to w słusznej sprawie..."

Gdyby miał mnie dotknąć, na przykład podać mi rękę, podskoczyłabym. Ale on mnie nie dotyka. Jest chodzącą przyzwoitością, kiedy sięga po szal, który ześliznął mi się z pleców, kiedy wkłada dłonie do krótkich rękawów swojej koszulki i pyta, czy dobrze się czuję albo czy dobrze spałam. Przyniósł poduszki na krzesła z trzciny, znalazł je w innym pokoju, przewietrzył i wygrzał na kamiennym termoforze, który znalazł w spiżarni.

Trudno jest skłonić go do rozmowy. Ponieważ zbliża się Boże Narodzenie, więc zapytałam go, czy wybiera się do domu. Uśmiechnął się. Ni stąd, ni zowąd powiedział, że kiedy był młodym chłopakiem i przyjechał na Południe, to myślał, że wszystko jest tu lepsze - pogoda, lemoniada, jagody ostrokrzewu.

- A teraz? - zapytałam.

- Południe zapomniało o nas - odparł. - Jesteśmy opuszczeni. Skrzywdzeni. Przypominamy te dzieci z bajki, wygnani, skazani na banicję wśród jezior na tysiąc lat, odcięci od ojczyzny.

- Teraz są dwie wojny... Jedna z Anglikami, a drugą prowadzicie między sobą - powiedziałam.

- To smutne - przytaknął, a potem wspomniał, że polubił mnie od razu, miał co do mnie intuicję, że jestem dobrą kobietą.

Jedyną piękną rzeczą w saloniku porannym jest lampa olejowa w kształcie kolumny korynckiej z długim wąskim abażurem. W pojemniku znajduje się olej, koloru czerwonej porzeczki, lepki jak żywica. Piękna d ksz. Iximpa u podstawy ma kolor czerwonej róży, im wyżej, tym jaśniejszy, na końcu prawie przezroczysty. Wskazała m na nią i powiedziałam, że jeszcze została jej kropla oleju i można ją zapalić. Pw S-źOSSN"pLOB-Cź?C"rLS-ODCU"rdGiGCBN"sLŚD-G

trzebuję świeżego powietrza, to pełnie naturalne. Zapytałam, czy

miał takie chwile kiedy wpadał w panikę. Zamyślił się i patrzył gdzieś w dal, na sine krzewy kołyszące się na wietrze, a po chwili przytaknął. Ale nie chce mi nic szczegółowo opowiadać, dopóki się lepiej nie poznamy. To może trwać całe miesiące albo i rok. Jednak czuję, że to kwestia dni. Mam intuicję, tak samo jak on.

- Aoife, powiedz tatusiowi... Powiedz tatusiowi to, co powiedziałaś mnie...

Aoife nie może mówić. Czuje się tak, jakby w ogóle nie miała języka, ześliznął jej się do gardła, tam gdzie lecą słodycze. Obiecano jej słodycze, jeśli powie. Matka już to słyszała, jak Aoife przyszła ze szkoły, wyciągnęła klucz spod beczki na deszczówkę, weszła do środka i kiedy jadła biszkopta, pod ścianą przy kuchennym oknie przebiegł rudowłosy mężczyzna. Dziewczynka najpierw schowała się, a potem wyjrzała na zewnątrz, prawie goły mężczyzna mył się w beczce, a kiedy ją zobaczył, powiedział, że jest strasznie głodny, że chętnie zjadłby małe dziecko.

- Powiedz tatusiowi, Aoife - ponagla ją matka i zaczyna jeszcze raz opisywać strasznego gościa, jego uśmiech, obnażoną klatkę piersiową i to, jak chlapał się w ich beczce i że trzeba będzie ją teraz opróżnić. Rory mierzy dziewczynce puls i każe jej przestać mrugać oczami i popatrzeć na niego.

- Łatwo zauważyć, że wcale się ciebie nie boi - mówi Sheila i ściąga Aoife z jego kolan.

- To nie byłam ja... To Nancy - Aoife siada na butach.

- Aoife - mówi matka i zaczyna gwałtownie nią potrząsać.

- Obie go widziałyśmy... Mył nogi w rzece... Ten rudy pan był w telewizji, z wąsami.

- Wystaw język, Aoife - mówi ojciec.

- Nie mam języka - odpowiada dziewczynka.

- Czy mówisz prawdę? - pyta ojciec i wyciąga ręce, żeby znowu wziąć ją na kolana.

- Nancy go widziała i powiedziała mi. - Ale już ogarnia ją szloch

i chociaż tak nie wolno i dostaje za to klapsa od mamy, podchodzi do ojca. Płacze na jego porządny mundur i mówi, że wszystkie dziewczynki w klasie boją się, że ten rudy pan je porwie. Wypowiedziawszy to słowo, rozkoszuje się teraz jego brzemieniem. Por-wie. Por-wie. Chwyta ją atak drgawek, każda część jej ciała dygocze, tak że ojciec musi ją zanieść do sypialni, położyć na wielkiej pierzynie różowego koloru i czytać jej historie, które Aoife lubi...

Pewnego niedzielnego poranka, kiedy dwie siostry poszły na mszę, stara kura przyszła do kuchni do Drżącej i powiedziała:

- W taki dzień powinnaś być na mszy, zamiast pracować tu w domu.

- Jak mogłam pójść? - zapytała Drżąca. - Nie mam takich dobrych ubrań, żeby można je było założyć do kościoła, a gdyby zobaczyły mnie tam siostry, to by mnie zabiły za to, że wyszłam z domu.

- Dam ci wspanialszą suknię, niż każda z nich kiedykolwiek widziała - obiecała kura. - A teraz mi powiedz, jaką byś suknię chciała?

- Chciałabym mieć suknię białą jak śnieg, i zielone buty.

Wtedy kura okryła się płaszczem ciemności, odcięła kawałek materiału ze starego ubrania, które młoda kobieta miała na sobie i poprosiła o najbielsze szaty na świecie i najpiękniejsze, jakie tylko można było znaleźć, i parę zielonych bucików.

W jednej chwili miała suknię i buty i podała je Drżącej. Kiedy Drżąca się ubrała, kura powiedziała:

- Tutaj mam kolibra, który usiądzie na twoim prawym ramieniu, i kwiat kaprifolium, który przypnę ci na lewym. Przy drzwiach stoi klacz biała jak mleko, ze złotym siodłem i złotymi cuglami.

Drżąca usiadła na złotym siodle, a kiedy już była gotowa do odjazdu, kura rzekła:

- Nie wolno ci przestąpić progu kościoła, a w momencie, gdy ludzie

zaczną opuszczać świątynię, uciekaj i jedź do domu tak szybko, jak tylko potrafisz.

Kiedy Drżąca podeszła do drzwi kościoła, nie było w nim nikogo, kto by nie spojrzał na nią choć przelotnie i nie próbowałby się dowiedzieć, kim ona jest, a gdy ludzie zobaczyli, że wraz z końcem mszy pospiesznie odjeżdża, wybiegli z kościoła, żeby ją dogonić. Ale na nic się nie zdał ich pościg, zniknęła, zanim ktokolwiek zdołał się do niej zbliżyć. Nim dotarła do domu, wyprzedziła wiatr, który był przed nią i daleko za sobą zostawiła wiatr wiejący za nią.

Przed drzwiami zsiadła z konia, weszła do środka, i zobaczyła, że kura ugotowała już obiad. Zdjęła białe szaty i w mgnieniu oka założyła starą sukienkę.

Kiedy dwie siostry wróciły do domu, kura zapytała:

- Czy przynosicie z kościoła jakieś nowiny?

- Mamy wielkie nowiny - powiedziały. - Przy drzwiach kościelnych widziałyśmy cudowną, wytworną damę. Takich szat, w jakie była odziana nigdy przedtem nie widziałyśmy na żadnej kobiecie. Patrząc na jej strój, nie dało się powiedzieć nic pochlebnego o naszych sukniach i nie było w kościele ani jednego mężczyzny, od króla począwszy, a na żebraku skończywszy, który nie starałby się na nią popatrzeć i dowiedzieć się, kim jest.

Siostry nie dawały nikomu spokoju, dopóki nie dostały dwóch takich sukienek, jak szaty nieznajomej damy, ale nigdzie nie udało im się znaleźć kolibrów ani kwiatów kaprifolium.

Następnej niedzieli siostry poszły do kościoła, a Drżącą zostawiły w domu, żeby gotowała obiad.

Znowu zjawiła się kura i zapytała:

- Czy chcesz iść dzisiaj do kościoła?

- Poszłabym, gdybym tylko mogła - powiedziała Drżąca.

- Jaką szatę chciałabyś założyć? - zapytała kura.

- Z najwspanialszego czarnego atłasu, jaki tylko istnieje, i czerwone buciki.

- A jakiego koloru klacz ma cię tam zawieźć?

- Chcę, żeby była taka czarna i taka lśniąca, abym mogła się przejrzeć w niej jak w zwierciadle.

- I co widzę w brzuszku Aoife? - pyta tatuś, odkładając książkę.
- Pomarańczę.
- A jeszcze?
- Pszenne sucharki.
- I?
- Dropsy czekoladowe.
- A jeszcze... i jeszcze... i jeszcze?
- Jeśli go złapiesz, to on cię zastrzeli.
- Nie, nie zastrzeli... Mam matkę-kurę i mam Aoife, i mam kaprifolium, i kolibra...

Aoife znowu dostaje ataku, dlatego że się boi, a poza tym jest tak cudownie, gdy ktoś trzyma cię i trzyma w objęciach.

- Doskonale sobie poradzę z tym zuchem - mówi tata i myśli, że gdyby tylko ci kryminaliści byli sądzeni przez dzieci, to wchodziliby do sądu z ogolonymi głowami i rękami do góry, a schowki z bronią same by się otworzyły i broń znalazłaby się pod kluczem, jak umarli w czasach wielkiego głodu w zbiorowych grobach.

- Kto to? - pyta Josie, schodząc po schodach w kierunku drzwi wejściowych. Każdy, kto ją zna, zdaje sobie sprawę, że aby się dostać do środka, musi iść do tylnych drzwi i pociągnąć za krowi dzwonek, który wisi na kawałku niebieskiej liny. Jeśli to wędrowny naprawiacz garnków, jak jej się wydaje, to zdecydowana jest nie słuchać żadnej czczej gadaniny o głodujących dzieciach i lodowatym zimnie. Josie wie także, że jej gość gdzieś się przyczaił, w niepewności zastanawiając się, kto to może być. Kiedy Josie powoli otwiera drzwi na korytarz, wpada kupka liści.

Najpierw nie rozpoznaje człowieka w zrobionej na drutach czapce naciągniętej na twarz i przez chwilę myśli, że to detektyw, ale ten burkliwy głos zna, odkąd jest mężatką, i przez cały ten czas się go boi - to Wścibski.

- Martin?

- Twój telefon nawalił - odpowiada nowo przybyły.

Szybko, bez zastanowienia Josie mówi, że miała to zgłosić, ale złapała grypę.

- Tak, rzeczywiście grypa panuje w okolicy - przyznaje Martin i dodaje, że wygląda na wstrząśniętą. Ze sposobu, w jaki stoi, jasno wynika, że oczekuje, iż zostanie zaproszony do środka. Nigdy go nie lubiła, był obecny przy każdym jej upokorzeniu, zawsze węszył, zawsze tu się zjawiał nieproszony.

- Zaprosiłabym cię, ale źle się czuję, a w domu jest straszny ziąb.

- Och, nie szkodzi, mam płaszcz - mówi Martin i robi krok do środka, co budzi w niej podejrzenia, że chodzi mu o coś więcej.

- Czy przyszedłeś z powodu telefonu?

- Z powodu telefonu i żeby zobaczyć, jak się miewasz - odpowiada zatroskanym głosem, choć zawsze na prawo i lewo mówił, jaka z niej hipokrytka, bo płacze na grobie męża, płacze i słowa nie może powiedzieć, a przecież to ona doprowadziła biedaka do szaleństwa.

- Dlaczego nie jesteś w pracy, Martinie? - pyta szorstko.

- Praca! Rzuciłem to. Mam teraz święte życie, spaceruję sobie po drogach, chodzę nad jezioro i z powrotem, wpadam na cmentarz, spotykam ludzi, starych i nowych - mówi i dodaje, że w pobliżu zamieszkała rodzina hippisów z gromadą dzieci, niektóre są jego, a niektóre jej, mężczyzna jest jednej narodowości, a kobieta innej. Sami pieką chleb i sami warzą piwo. Ciągle szukają pustych butelek po wodzie lub winie, żeby destylować do nich piwo. Wspomina o drewnianej karuzeli pomalowanej na wesołe kolory, która zwisa z sufitu, obraca się i rozwesela dzieci.

- Kto ci płaci? - pyta Josie.

- Rząd - mówi i dodaje, że jest dumnym posiadaczem dwóch emerytur, jednej z tartaku, gdzie przez długie lata był nocnym stróżem, a drugiej od państwa. Josie czuje, że wzrok Martina przenika ją na wylot, że przechodzi przez nią aż na korytarz i szpieguje. Czy zwietrzy zapach tytoniu? Czy domyśla się obecności mężczyzny?

materiałów wybuchowych w koparce. Gotów był wysadzić w powietrze całe więzienie. Wszystko zostało udaremnione, miał bowiem czelność włożyć swój plan do postaci Chrystusa na krzyżu, którego wyrzeźbił. Josie słyszy też o jego podróży z Północy na Południe, w wyniku czego znalazł się u niej, i o tym jak przez część drogi trzymał na muszce dziewczynę, w ciężarówce z gotowymi posiłkami, zmusił ją do tego, żeby wiozła go przez pięćdziesiąt mil, a potem zakleił jej usta taśmą i zostawił tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, zakutą w kajdany, z wszystkimi czterema oponami przebitymi i jeszcze miał czelność jej powiedzieć, że to nie jest sprawa osobista.

- Oczywiście go złapią - mówi Martin z przekonaniem.

- Jak? Jak?

- Przeszukają wszystko. Dom po domu... Rów po rowie... Obora po oborze... Jedna deska w podłodze po drugiej.

- O mój Boże! - Słowa te padają spontanicznie.

- Jedno wiadro na szczyny po drugim - dodaje Martin, delektując się każdym szczegółem. Ona patrzy gdzieś w dal i widzi, że ten sam zabłąkany pies znowu przeszedł pod oknem i myśli, że muszą tam gdzieś być martwe młode zające czy króliki, skoro on ciągle tu wraca.

- Źli ludzie. Źli ludzie. Patrick Pearse *, Michael Collins ** i spółka sprawiliby, żeby ich mózgi rozbryzgały się przy drodze.

* Patrick Pearse (1879-1916) - poeta irlandzki, propagator języka i kultury irlandzkiej, podczas Powstania Dublińskiego (1916) był komendantem sił irlandzkich, po upadku powstania rozstrzelany.

** Michael Collins (1890-1922) - irlandzki działacz niepodległościowy i polityk, uczestnik Powstania Dublińskiego, założyciel IRA (1919), zginął w wojnie domowej między zwolennikami utworzenia Wolnego Państwa a bojownikami o pełną suwerenność.

- Nie wiemy... Prawda?

- Oczywiście, że wiemy... Oni są naszymi bohaterami, naszymi męczennikami... Ci natomiast związują dziewczynę albo ją zabijają i mówią „nic ważnego", w dupie mam, co dla nich jest ważne.

- Och, Martinie - wzdycha Josie, używając pełnego imienia, woli je w takiej formie niż zdrobnienie „Marty". Pragnie, żeby już sobie poszedł. Nie chciała, żeby wchodził. Kiedy wreszcie wyszedł - odetchnęła. Ale po kilku minutach wrócił, żeby jej powiedzieć, że ma złe wiadomości. Na dźwięk tych słów zadrżała.

- Drzewo z inicjałami twojego męża próchnieje i niedługo rozwali komuś łeb.

- Skąd wiesz, że próchnieje?

- Zbadałem je, zanim zacząłem łomotać kołatką i zbudziłem cię z popołudniowej drzemki, za co cię bardzo serdecznie przepraszam. Przeszedłem przez podwórze, żeby popatrzeć na drzewo przez wzgląd na dawną przyjaźń, żeby zobaczyć inicjały twojego męża i jego brata, M i J wyraźne, jakby były wycięte wczoraj. Wspaniali ludzie... To byli wspaniali ludzie - mówi i unosi swoją filiżankę, jakby to był kielich mszalny. To sprawia, że zaczyna się rDzwodzić nad ich przyjaźnią, wspólnymi wyprawami na jezioro, zarzucaniem sieci na ryby, dzikim ptactwem, które łapali, nad jazdą na łyżwach w zimie i tak dalej, bez końca.

- Skąd wiesz, że jest spróchniałe? - powtarza pytanie.

- Skrzypi... Skrzypi jak stara baba.

Nigdy go nie lubiła. Wścibski, zawsze węszy, zawsze jest tam, gdzie nie powinien być. To właśnie on przyniósł jej tę wiadomość, przyszedł ze strażnikiem tej nocy, kiedy jej męża spotkało nieszczęście.

- Coś ci powiem... Przyniosę piłę łańcuchową i rano zrobię z tym porządek... Podzielimy się drewnem.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Chryste, jesteś strasznie zdenerwowana - dziwi się, widząc, że Josie bezwiednie zaciska i prostuje palce, a paznokcie ma obgryzione.

- To tylko lekka grypa.

- O tak, grypa panuje... Krąży w okolicy... Zdaje się, że to grypa syberyjska.

- Tak, lepiej będzie, jeśli pójdę się położyć - mówi, na wpół się

podnosząc, żeby dać mu do zrozumienia, że chce zostać sama.

- Bądź ostrożna w tym łóżku, żeby jakiś wariat w kominiarce nie wyłamał drzwi i nie wpadł grożąc, że roztrzaska ci łeb, aż mózg wypłynie na wierzch.

- Zamykam na zamek drzwi i okna.

- To dla nich pestka... Kawałek taśmy dookoła okna, diament do wycięcia szyby i już są w środku, jak pantery... Pewien człowiek w Dublinie leżał w łóżku z żoną i oglądał telewizję, kiedy jakiś facet z bronią wyważył drzwi i wpadł do środka, nazwał żonę kłamliwą cipą, a mężowi kazał wstać i ubierać się... Spacerują sobie po okolicy.

- Rzeczywiście, to było straszne - potakuje Josie słabym głosem.

- A pamiętasz przejścia tego człowieka... Tę małą sprawę jego palców... trzy z nich zostały odcięte... na początek...

- Martinie, przestań... Przestań rozwodzić się nad szczegółami - przerywa mu i przykłada ręce do ust, jakby za chwilę miała zwymiotować.

- Mówię ci... Wzięli deskę do krojenia, walnęli nią w rękę nieszczęśnika, przynieśli dłuto i młotek i powoli zabrali się do rozłączania stawów w palcach, a potem zawinęli palce w chusteczkę higieniczną i wysłali jednego z członków bandy do kaplicy z żądaniem okupu.

- Okropne... okropne - jęczy Josie, chcąc go powstrzymać, ale on niewzruszenie ciągnie dalej.

- Miały być zostawione pod trzynastą stacją drogi krzyżowej, ale, wierz albo nie, ten zbir, zastępca dowódcy, nie potrafił odróżnić jednej stacji od drugiej, więc te krwawiące palce leżały tam na próżno. Wynik? Kolejne groźby... Kolejne rozróby...

- Ten mężczyzna w końcu uciekł... prawda?

- Uciekł, w końcu! Wyobraź sobie biedaka, który musi przez dwadzieścia trzy dni trzymać do góry zabandażowane palce, który jest przepędzany z jednego domu do następnego, którego upycha się pod schodami lub w korytarzu, lub w krzakach janowca, który kiedyś,

leżąc obok wartownika, słyszał na dworze oddział policji przetrząsający okolicę, aby go odnaleźć, a on nie mógł, do cholery, nic zrobić.

- Wyobrażam to sobie.

- Mam nadzieję, że sobie to wyobrażasz, dla swojego dobra i dla dobra kraju. A słyszałaś o policjancie, któremu władowano w brzuch dość ołowiu, żeby pokryć metalem całe ciało...? A o jego rodzinie, słyszałaś? - dodaje i zapędza się w mowę pochwalną na temat heroicznej pracy policjantów, ryzyka, jakie na siebie biorą, aby ludzie tacy jak ona i on mogli spokojnie spać w swoich łóżkach.

- Skoro już o tym mowa - wtrąca Josie - to chciałabym się znaleźć w łóżku.

- Wyglądasz na wstrząśniętą - konstatuje Martin i dalej nie rusza się z miejsca, z rozmysłem łykając resztki zimnej herbaty.

- Niestety, Martinie, będziesz musiał mi wybaczyć, że cię opuszczę - mówi Josie podnosząc się, a potem chwyta się mocno za oparcie krzesła, bo zakręciło jej się w głowie. Jemu zaś nie spieszy się wcale; wkłada powoli płaszcz, zapina go, potem znowu rozpina, jakby w roztargnieniu, a przez cały ten czas wpatruje się w okno, jakby tam na dworze ktoś był i zaglądał do środka. Kraczące, zbierające się w gromady wrony na chwilę przestają skrzeczeć, ucichły, jakby w odpowiedzi na jakieś ostrzeżenie nie z tego świata.

- Cisza przed burzą - stwierdza Martin.

O co mu chodzi? Może ma na myśli wrony, które przylatują tu kiedy jest ciemno i zanim na dobre osiądą na drzewach, kreślą młynki na niebie, poruszając się tak, jakby grały przepiękną fugę, jakby zawisły w dolnej warstwie nieba. Dla niego to oznacza, że misja została wypełniona. Samotna kobieta, która twierdzi, że jest złożona chorobą, której ponad pięć minut zajmuje otworzenie drzwi, gdy ktoś puka, która nie kwapi się, żeby wprowadzić go do kuchni, a

kiedy on w końcu się tam wdziera, cóż wtedy widzi na suszarce do naczyń, jak nie po dwie sztuki wszystkiego: dwa talerze, dwie filiżanki i dwa spodki.

- Jakby były drutami przywiązane do księżyca - dodaje Martin, patrząc na wrony.

- Rzeczywiście - odpowiada Josie i prawie radosna odprowadza go do drzwi i zapewnia, że pomyśli o tym drzewie, choć ma ono dla niej wielką wartość. Co się stanie z inicjałami, które oparły się niszczącemu działaniu czasu?

- Do dupy z sentymentami - złości się Martin. Gdyby nie to, że w tajemnicy pracuje dla rządu, przetrząsa teren w poszukiwaniu takich właśnie zbrodniarzy, z miejsca by ją załatwił. Złapałby ją za szyję i tak długo trzymał, aż by wydała ostatnie tchnienie. Właśnie na to zasługuje. Na Chrystusa, dlaczego on tam siedzi? Gdyby była młodszą kobietą, to może znalazłby się mężczyzna polujący na jej wdzięki - „Sheela-na-gig" *.

* Sheela-na-gig (irl. Sile na gcioch) - „Piersiasta Julia", średniowieczna rzeźbiona Figurka nagiej kobiety, często z rękoma podkreślającymi narządy płciowe i z rozstawionymi nogami, znajdowana w kościołach i zanikach w Irlandii i Wielkiej Brytanii.

- Skąd wiesz, że niczego nie zdradziłam? - pyta Josie. Są w korytarzu. Stoi oparta plecami o balustradę schodów, gdzie przycisnął ją w momencie, gdy tylko wyszedł Martin.

- Opowiedz mi, o czym mówiliście, co do jednego słowa.

Nie ma już spokoju ani wspólnoty uczuć, które towarzyszyły ich małym spotkaniom tête-à-tête w saloniku porannym. Teraz odkrył swoje prawdziwe ja. Surowe. Brutalne. Nerwowe.

- Sypnęłaś czy nie? - pyta natarczywie.

- Zamknięta w pokoju... Nie wiem co się ze mną stanie... Co nie... Moje palce... moje paznokcie... Kawałki mojego ciała... Kiedy się to zacznie... Gdzie jest ten młotek, gdzie jest to dłuto... Czy strzelasz z daleka, czy z bliska... Odpowiedz mi, odpowiedz mi. Popatrz mi w

oczy... masz odwagę to zrobić... Robaki, tym właśnie jesteście ty i twoja banda, z tymi waszymi kazaniami na temat sprawiedliwości... Pokoju i godności.

- Uspokój się - przerywa jej.

Słowo robak zraniło go, trafiło w czuły punkt.

- Uspokój się! - powtarza automatycznie Josie. - Bądź tak dobry i pozwól mi pójść do sypialni. Cała się trzęsę.

- Nic ci się nie stanie - powtarza to raz, dwa, trzy razy, a potem zbliża do niej twarz i mówi, żeby, do cholery, powiedziała mu, o czym rozmawiała z tym człowiekiem i żeby już raz z tym skończyli.

- Już ci mówiłam... „Lista twoich okrutnych czynów", twoje zdjęcie co wieczór w telewizji... Na murach wszystkich koszar plakaty... Poszukiwany... Poszukiwany.

- Co jeszcze?

- Co jeszcze... Chce przynieść piłę łańcuchową, żeby ściąć drzewo.

- Kiedy?

- Kiedy się zgodzę.

- Przekazałaś mu jakąś wiadomość?

- Tak, napisałam twój pseudonim na wierzchu jego dłoni...! - Josie wie, że wrzeszczy, że to panowanie nad sobą, albo tak zwane panowanie nad sobą, które udało jej się zachować przez te pięć dni, załamało się i że teraz nie ma pojęcia, co powie lub zrobi dalej.

- Podejrzewa czy nie, że jest tu ktoś oprócz ciebie?

- Nie umiem czytać w myślach.

- Nie wykręcaj się - jego twarz jest teraz tak blisko niej, że czuje zapach czekolady z nadzieniem miętowym, którą dała mu po lunchu. Jego nieudolne zabiegi są dla Josie takie radosne, że chciałaby je przedłużyć, aby móc rozkoszować się smrodem jego wewnętrznego zamętu. Własny lęk wydaje się Josie taki dziwaczny, że czuje się nieustraszona.

- Czy... wygadałaś?

- Nie, ale szkoda, że tego nie zrobiłam.

- Dlaczego nie wygadałaś, jeśli teraz żałujesz?

- Bo przez pięć dni i pięć nocy powtarzałam sobie, że jesteś sympatycznym młodym człowiekiem... że nie będziesz zabijał i nie zabiłeś... Opowiadałam sobie tę bajkę.

- Powiedziałem ci, że zabiłem... Tego dnia, kiedy zapytałaś mnie, w jaką część ciała strzelam, powiedziałem, że w największą...

- Rzeczywiście... ale myślałam, że przez twój pobyt tutaj... przez nasze rozmowy... coś się stanie... Wielka odmiana... Uratuję cię... Zobaczysz światło, rzucisz to.

- Bzdury... nic nie jest w stanie sprawić, abym to rzucił... Nigdy.

- Teraz to widzę... Piętno nienawiści w twoich oczach... Martin słyszał, jak mówili w telewizji, że nigdy nie dasz się wziąć żywcem.

- To prawda.

- Mam nadzieję, że nie zabiją cię, nie z litości, ale po to, abyś ciągle na nowo przeżywał każdą sekundę każdej swojej zbrodni.

- Żaden Irlandczyk nie mówił do mnie w ten sposób.

- Za bardzo się boją, żeby z tobą rozmawiać... Uciszyłeś ich wszystkich. Uciszyłeś nas wszystkich.

Z obawy, że mężczyzna podniesie na nią rękę albo uderzy ją, żeby zdławić tę historię, Josie wyrywa się i idzie do jego kwatery, tam gdzie nigdy dotąd nie miała odwagi zajrzeć.

Przez chwilę przyzwyczaja się do półmroku. Okno przesłania czarny materiał, dla pewności we wszystkich czterech rogach przypięty cynowymi pinezkami. To miała być podszewka do płaszcza, który nigdy nie został uszyty. Na łóżku, jeden obok drugiego, leżą dwa karabiny, jak dwa garnitury. Obok łóżka, na krześle, znajduje się latarka, radio, nie większe niż pudełko od zapałek i zdjęcie kobiety. Nie może dostrzec rysów twarzy, ale kobieta ma krótkie, kręcone włosy i jest zamyślona.

- Twoje dzieci - mówi, podchodząc do leżących karabinów i podnosi jeden z nich, nie zważając na to, czy jest naładowany, czy nie.

- Do jasnej cholery! - irytuje się mężczyzna.

- Nie masz odwagi mnie zabić... Prawda?... Spojrzeć w moje szare oczy i powiedzieć: „Uśmiechnij się... uśmiechnij się, kiedy będę strzelał". - Te pięć dni wytrąciło ją z równowagi i wie o tym.

- Nie przyszedłem cię zabić.

- Ale przyszedłeś kogoś zabić.

- Tego nie mówiłem.

- Tego nie mówiłeś, ale nie przyszedłeś tu po to, by napić się lemoniady.

- Nie, nie przyszedłem po lemoniadę... To nie mój fach.

- I widzę, że masz kobietę... Ukochaną.

- Dlaczego miałbym nie mieć kobiety?

- Bo jesteś pozbawiony uczuć... Jesteś w środku pusty.

- Żywię mnóstwo uczuć.

- O, tak... Potrafisz tylko pobiec na wzgórze, zastawić pułapkę i patrzeć, jak brytyjscy żołnierze wylatują w powietrze, a raczej nie patrzeć na nich... Pójść wcześniej do swojego bezpiecznego domu i zapalić skręta... Czasami nawet zabijacie nie tych, których mieliście zamiar unicestwić.

- Zdarza się... Nazywają to Paddy Factor - wyjaśnia mężczyzna, a jego oczy są teraz pełne wściekłości, wyglądają jak wióry ze złota i tyle jest w nim hamowanych uczuć, że wydaje się jej, że zaraz wybuchnie.

- I zawsze trzymasz swój arsenał w pogotowiu? - pyta, a jednocześnie dotyka drugiego karabinu, wyczuwając palcem krzywiznę języka spustowego.

- Jakiś szczur wszedł tutaj dziś rano.

- Czyż nie patrzę teraz na drugiego? - krzyczy Josie, czując, jak na przemian ogarnia ją wściekłość i strach.

- Nigdy nie chciałem, żebyśmy rozmawiali... To był twój pomysł... Przyszedłem tutaj, bo powiedziano mi, że jesteś w domu opieki.

- Byłam w domu opieki, ale wróciłam, żeby umrzeć we własnym łóżku... I, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym umrzeć w jednym kawałku.

- Większość ludzi wolałaby - odpowiada zimno.

- Być może oprócz ciebie... Może ty lubisz te jatki.

- Jeśli myślisz, że lubię zabijanie dla samego zabijania, to jesteś kopnięta... Jesteś taka sama, jak wszyscy inni.

- Prędzej czy później to wszystko wybuchnie ci w twarz - mówi Josie, udręczona tym, że kiedykolwiek pozwoliła sobie na to, żeby się z nim zbratać.

- Przypuszczam, że masz rację - rzuca za wychodzącą Josie, która nawet nie odpowiada. Coś zostało wymazane z jego natury, z jego ludzkiej natury.

To, co teraz robię, jest wbrew wojskowym przepisom, ale coś mi każe tak postąpić. Przede wszystkim wybacz, jeśli rozchorowałaś się przeze mnie. Przejdę od razu do rzeczy. Nikt nic nie wie o naszej walce, nikt o nią nie dba. Ludzie sądzą, że jesteśmy kowbojami albo zwierzętami, albo jeszcze gorzej. Myślę, że ty też. Po twoim wybuchu w korytarzu dziś wieczorem, wiem już to i nawet rozumiem. Ale przez chwilę spójrz na wszystko z mojej strony. Nie martw się, nie zamierzam wypisywać ci tutaj całej litanii.

Nie dorastać w nienawiści, nie stać się papista i trędowatym szumowiną, nie zostać internowanym w czternastym, piętnastym i szesnastym roku życia, nie być więzionym w Crum i Long Kesh w oczekiwaniu na śmierć, byłoby czymś naprawdę fantastycznym. Stać się zwyczajnym facetem z żoną i dziećmi - po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie słuchać, jak klawisze i ci z RUC mówią, że mają twoją siostrę albo matkę, albo ciotkę, to byłaby dodatkowa korzyść. Kurwa, mam ich gdzieś. Ale bardzo chciałbym, żebyś poznała paru chłopaków, z którymi siedziałem, osiemnastoletnich i dziewiętnastoletnich chłopaków. Męstwo, jakie okazali, czyny, jakich dokonali są imponujące, wystarczy tylko pobyć z takimi ludźmi,

żeby nabrać wiary, która jest niezwyciężona. Mam tylko jedno życzenie - niestety, nie modlę się - żeby wszystkie te śmierci nie były daremne.

Mo Chara Sláin Go Fóill *

Mac

* „Moja przyjaciółko, bądź zdrowa na zawsze".

Pismo było drobne, każda litera pochylona, drukowana. List został napisany czarnym atramentem i wielokrotnie poskładany, w sposób, jakiego pewnie nauczyli go w więzieniu, żeby mógł wysyłać prośby na zewnątrz. Zostawił go na najniższym stopniu, w tej części schodów, która należała do niej, podparł filiżanką, tak żeby na pewno go zauważyła. Od momentu swojego wybuchu nie wychodziła z pokoju, po prostu siedziała w fotelu czekając na powrót sił życiowych i równowagi. Nie czuła głodu ani pragnienia. Z jego kwatery także nie dochodziły prawie żadne odgłosy, dom był cichy, jakby szczelnie otulony workiem, z rzadka tylko dało się słyszeć jakieś suche, gniewne skrzypnięcia. Znalazła ten list pod wieczór. Przeczytała na górze, a potem zaczęła drżeć nie wiadomo dlaczego.

Potem nie czuła głodu. List leżał pod lampą, a czarne, drukowane litery były takie małe, takie bezradne.

Nie mogła wypowiedzieć jego imienia, więc po prostu mówiła:

- Tak. Ty... Ty...

Szedł szybciej niż wszyscy mężczyźni, jakich kiedykolwiek widziała, tak szybko, że nie wyglądał jak człowiek, lecz jak duch człowieka, który ukazuje się po jego śmierci, ale jednak to był on. Odszedł - zabrał manatki, karabiny, wszystko. Zeszła na dół, żeby porozmawiać z nim o treści listu i zastała jego pokój taki pusty i pozbawiony wszelkich śladów po nim, że przypominał pokoje chorych z jej dzieciństwa,

kiedy to po śmierci, szczególnie na gruźlicę, pomieszczenia szorowano i dezynfekowano wapnem.

- Wracaj... - Dźwięk jej głosu tłumiła mgła i po pewnym czasie wydawało jej się, że w ogóle straciła głos. Odmówił jej posłuszeństwa, tak jak teraz odmawiają jej posłuszeństwa nogi w za dużych gumowcach, jedynych, które były pod ręką.

Odruchowo postanowiła iść za nim, kiedy usłyszała, że wychodzi. Kierował się w stronę jeziora, może do łódki, która miała porwać go gdzieś daleko. Słowa, jakich używał: „Sprawiedliwość"... „Tożsamość"... „Wspólnota". Co oznaczały te słowa? Jak wielką miały wartość, że mogły przeważyć okropność mordowania? Szaleństwo tego pościgu jeszcze do niej nie dotarło. Teraz pragnie go tylko dogonić.

Ślizga się, potyka, szuka przejścia na następne pole, ale, zmylona przez mgłę, nie może go znaleźć i za każdym razem wpada na ścianę z krzewów głogu lub tarniny, które drapią jej twarz. Z wołania już zrezygnowała.

- Tutaj powinno być przejście, albo tutaj - mówi do siebie, biegając tam i z powrotem w poszukiwaniu jakiegoś odstępu między krzakami, otaczają mgła, gęsta i nieprzenikniona, wydaje się jej, że znalazła się poza czasem i przestrzenią, w świecie wypełnionym bezkształtną masą, który wygląda tak, jakby dopiero zaczął powstawać albo właśnie powstał z nicości. Jej ręce będą musiały pracować jak kompasy, najpierw jedna, potem druga, tylko że są martwe i lodowate jak paczka mrożonego groszku.

- Nie mogę wrócić i nie mogę iść naprzód - mówi z nadzieją, że coś dostrzeże, jakiś słupek od bramy albo szczegół krajobrazu, który powie jej, gdzie jest i pokieruje nią. Ale nic się nie pojawia, a osty, których się chwyta niczym tyczek, są w dotyku czarne i wilgotne jak szlam. Żeby dodać sobie odwagi, mówi do siebie: „Czujesz grunt pod nogami? Czujesz nogi w gumowcach? Możesz powiedzieć cześć?" Słyszy swój głos słabiutki i śmieszny, jak śmieszna jest ta wyprawa.

Całe wieki później ma wrażenie, że to jej chodzenie nie ma sensu.

Jego już nie ma, rozpłynął się w powietrzu. Teraz ona musi wrócić do domu, tylko że nie potrafi znaleźć ścieżki. Ta mgła chyba przedostała się jej do mózgu. Tego właściwie chciała. Wymazać z pamięci te pięć dni i jego obecność i to, o co on walczy. Wrócić do domu, położyć się i móc znowu nazwać życie normalnym, tylko że krew w niej zamarza i nogi odmawiają posłuszeństwa, kiedy tak chodzi tam i z powrotem, a potem powoli odpływają gdzieś myśli. W mózgu ma wilgoć i mgłę. W końcu całkiem straciwszy rozum, z krzykiem zatacza się na wszystkie strony, po czym potyka się, upada, i myśli: „Nie jest tak źle, jest zupełnie dobrze, tak będzie tylko do świtu, a potem znowu ruszę w drogę... I... I...”

- Uroczy, łagodny deszcz... Ziemia go potrzebuje. - Nad deską do prasowania pochyla się głowa o brązowych włosach. Gdzie ona jest? Gdzie jestem? Mały pokój zatłoczony rzeczami, niskie okno bez firanek i łóżko, na którym śpi, tylko kilka cali nad podłogą. Na parapecie stoją pelargonie o wysokich, sękatych łodygach, pokrytych łuskami w kolorze rdzy, a opadłe kwiaty tworzą na nim różowy kobierzec.

- Gdzie ja jestem? - pyta Josie, raz za razem, całkiem zbita z tropu.

- Tutaj.

- Tutaj, to znaczy gdzie?

- Tutaj to znaczy tutaj - odpowiada jej młody głos.

- Nie znam cię - mówi, patrząc na piękną, młodą dziewczynę o okrągłej, żywej twarzy, okolonej czupryną brązowych, błyszczących włosów.

- Jesteś w moim pokoju.

- Skąd się tutaj wzięłam?

- Skąd się tutaj wzięłaś... A jak myślisz!

Josie rozgląda się dookoła, ale nie rozpoznaje niczego. Ubrania w pudłach i na hakach wbitych w wewnętrzną stronę drzwi, na ścianie plakat z wizerunkiem jakiegoś gwiazdora filmowego palącego papierosa,

a na krześle, obok niej, duży, mosiężny zegar w kształcie jednoosobowego powozu. Wyciągając rękę, wymacuje na podłodze swoje grzebienie do włosów, grzebienie i dzban z wodą, niewiele brakuje, żeby go przewróciła.

- On cię tu przyprowadził... Przyniósł cię. - Dziewczyna mówi, a Josie stopniowo i z zażenowaniem przypomina sobie nocną wędrówkę, mgłę, i to, jak chodziła dookoła, próbując dojść do jeziora, i jak upadła, i usiłowała wstać, ale nie mogła, bo nogi miała zmarznięte i sztywne jak kłody, i kogoś, nie wiadomo kogo, kto podniósł ją i potrząsnął. A potem była podróż łodzią, podczas której zaczęła majaczyć, bo jej mózg w końcu całkiem się poddał, wypuścił myśli i wpuścił do środka mgłę.

- Znalazł cię na polu... Majaczyłaś... Przywiózł cię łodzią, a potem przyniósł tutaj i oddał w ramiona mojej matki...

- Nic z tego nie pamiętam... Byłam nieobecna... Straciłam rozum.

- Powiedział: „Ma gorączkę, zaopiekujcie się nią".

- Przepraszam, że narobiłam tyle kłopotu.

- Mogłaś umrzeć.

- Mogłam umrzeć - mówi Josie i uśmiecha się z wdzięcznością. Ma na sobie flanelową nocną koszulę, jest w obcym pokoju, wdycha zapach pelargonii, które rosną w tym pokoju i zapach obiadu, dochodzący z jakiegoś innego pomieszczenia.

- Która godzina?

- Prawie pora obiadu - mówi dziewczyna i ostrzega ją, że będzie musiała trochę zjeść, bo inaczej całkiem zmarnieje.

- Jaki dziś dzień?

- Wtorek.

- Jak się nazywasz?

- Jestem Creena... Kiedyś nazywałam się Margaret, ale teraz jestem Creena... Tak wolę.

- A gdzie jest...? - Nie może wypowiedzieć jego imienia, bo nigdy go nie wypowiadała.

- Poszedł... Siedzi gdzieś w jakiejś dziurze... Przyniósł cię tutaj i

odszedł... Szukali go strażnicy... Węszyli tu, ale byłaś zbyt chora, żeby rozmawiać... My rozmawiałyśmy.

- My, to znaczy kto?

- Moja matka i ja... Znają moją matkę. Mój ojciec był w więzieniu przez piętnaście lat... A matka urządza im piekło... Mówi: „Oto i przyszli Czarno-Brunatni". Chcieli wiedzieć, skąd cię znamy i jak cię znalazłyśmy, a moja matka powiedziała, że znamy cię od lat i że jej brat, zakładając sieci na węgorze, znalazł cię bredzącą nad jeziorem... To akurat była prawda, mówiłaś od rzeczy.

- Co mówiłam?

- „Przybądź do fortu... przybądź do fortu w Kylegranagh... aby przeciąć liny, przywiążemy cię do siodła... Przybądź do fortu".

- Dziwne... dziwne... Myślę, że to coś ze szkolnego podręcznika.

- Moja matka wiedziała, co zrobić... Przyłożyła ci okłady z gorącej mąki i pociłaś się, pociłaś i pociłaś... Chciałaś wyjść... Prosiłaś, że chcesz iść do domu, do mamy i taty... Nazywałaś ich po imieniu... Bridget i Michael...

- Same brednie.

- Tej nocy strażnicy byli w twoim domu... Ale go tam nie zastali... Ciebie też nie... Niczego nie znaleźli... Przetrząsnęli wszystko... Bóg jeden wie, jak tam teraz wygląda... Chyba trochę jak w moim pokoju - dodaje i śmieje się.

- Kto to? - pyta Josie, pokazując palcem na młodego mężczyznę o bardzo przystojnej twarzy, z uśmiechem, który wygląda jak śmiech nasączony pianą.

- Nie wiesz, kto to jest?

- Nie.

- Wstydź się... To James Dean... To Jimmy Dean.

- Jest twoim idolem?

- Właściwie nie - mówi dziewczyna i patrzy w dół, ale nie na górę rzeczy do prasowania, tylko na swoje stopy, jakby chciała ukryć ich wielkość. Ma na sobie czarne pończochy i ciężkie, czarne buty, a

jednak jest w niej jakaś gibkość, coś, co sprawia, że wygląda tak, jakby mogła unieść się w powietrze.

- A ty oddałaś mi swoje łóżko - stwierdza Josie.

- Ja i moja matka zrobiłybyśmy wszystko dla McGreevy'ego... Ona też cię zna... Wie, że twój mąż zginął w górach... Jej mąż umarł po wyjściu z więzienia... Umarł na astmę... Ale strażnicy ciągle nas prześladują... Przychodzą czegoś szukać... Otwierają szuflady i szukają listów i papierów, przewracają wszystko do góry nogami... Niczego tutaj nie znajdą, tylko Jimmy'ego Deana.

Niektóre ubrania ogląda, potem z niechęcią odrzuca je albo z powrotem do koszyka, albo na podłogę. Inne pilnie prasuje, dumna z tego zajęcia, pochyla się nad deską do prasowania i wącha rozgrzaną tkaninę. Przykładając drelichową koszulkę do piersi, porównuje jej wielkość z własnymi wymiarami i zaczyna ją składać, powoli, bardzo powoli dotykając rękawów, zamiast ramion, które powinny się w nich znaleźć.

- Wraca tu po ubrania - mówi w odpowiedzi na pytanie, które nie zostało zadane i opisuje go, jak wchodzi do domu, przemoczony, w zabłoconych butach, ale nigdy nawet nie jęknie ani nie wspomni, gdzie był.

- Lubisz go.

- Ciii... Nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział... Nie chcę, żeby moja matka wiedziała... Ona sama też go lubi, ale inaczej... Nie można... Myślę, że za kilka lat jego walka się skończy... Południe przyjdzie tutaj i zażąda zwrotu tych sześciu hrabstw i życie stanie się normalne, a on zjawi się u mnie. - W tym momencie zamyśla się i trzymając koszulę, przypomina sobie, jak kiedyś wszedł przez okno późno w nocy i śmiertelnie ją przeraził, tak że musiał ją objąć, żeby ją uspokoić i powiedział: „Jesteś śliczną dziewczyną, Creeno".

Odkłada rzeczy, które wyprasowała, na łóżko, kopniakiem przesuwa koszyk pełen ubrań do prasowania na jedną stronę i nie może

złożyć deski do prasowania. Próbuje w jeden sposób, potem w drugi, potem wraca do pierwszego, ale deska ciągle się nie poddaje, więc w końcu wrzuca ją pod łóżko i głośno jej złorzeczy.

- Jesteś śliczną dziewczyną, Creeno... Tak to się zaczyna, czyż nie... Tak to się właśnie dzieje. Ktoś pojawia się w nocy w oknie.

Wcale nie, myśli Josie, ale tego nie mówi.

Po cóż zabierać tę pulchność z jej ramion, czemuż gasić ten jasny błękit jej oczu, dlaczego przyspieszać ten zimowy chłód, który prędzej czy później nadejdzie.

Nagle Creena wkłada jej do ręki delikatnie perfumowaną saszetkę na chusteczki do nosa. W środku tkwi jakaś ciasno poskładana kartka w linie. Dziewczyna wybiega z pokoju, a Josie zabiera się do czytania:

W rozdartej
Piersi
Gdzie dumne
Serce
Biedaka los
Się odcisnął.
Postanowiłeś
W strasznym świetle
Księżyca,
Deszczową
Nocą
Zrobić to
Co zrobić musisz.
Zachowujesz wszystko dla siebie
Nie możesz wiedzieć
Jak twoje życie
Dosięga
Mojego.

Po chwili Creena zagląda przez drzwi z półuśmiechem na twarzy, a potem nagle wpada do środka, żeby porwać tę kartkę, myśląc, że zrobiła coś złego.

- Starzy ludzie nic nie wiedzą o miłości młodych - mówi, składając kartkę z szelestem.

- To nie... - Cienka, koścista dłoń unosi się do góry, Josie chce coś wtrącić, a głos ma teraz taki inny, przesiąknięty zaczynem wspomnień.

Miłosna przygoda

Letni wieczór, komary i latające mrówki zawieszone w powietrzu, mlecze paląco jaskrawe i jakaś pilna potrzeba w jej ciele, przepowiednia tego, co ma się wydarzyć. Dlaczego właśnie on? Dlaczego ten, a nie inny? To oczy najpierw ją pociągnęły, oczy w kolorze zbliżonym do indygo, z czarnymi brwiami, w których połyskiwało kilka siwych włosków, co sprawiało, że wyglądały jak kawałki marazytu, rozgorączkowane oczy, które mimo całej swojej skromności miały jakiś pakt z diabłem. Był nad jeziorem, zarzucał wędkę, a kiedy zobaczył Josie, wypuścił wędzisko z rąk, pozwalając mu samorzutnie wyginać się i chybotać, co wyglądało tak, jakby ryba wzięła. Josie wyszła na poszukiwanie zabłąkanej kury, która odłączała się od stada zawsze w czasie wysiadywania jaj - postanawiała składać jaja i wysiadywać młode poza obejściem, takim była dzikim stworzeniem.

- O, Ojciec - powiedziała. Był nowym księdzem i jak dotąd odprawił tylko dwie msze, a nie wygłosił żadnego kazania. Patrząc na siatkę na ryby, brązową i poszarpaną, zauważyła z figlarnym uśmiechem, że chyba nie ma dziś w ogóle szczęścia.

- Złowiłem okonia, ale go wypuściłem. A wczoraj wieczorem złapałem węgorza.

- Węgorza! - wykrzyknęła prawie. - Cienkie węgorze, które nie

chcą umierać i wiją się w garnku podczas gotowania, zawsze przyprawiają mnie o dreszcze.

- Czy pani lubi łowić ryby?

- Nie mam cierpliwości - odparła i dodała, że mężczyźni wydają się bardziej stworzeni do tej rozrywki niż kobiety. Słysząc to, uśmiechnął się. Jego uśmiech był pełny, angażował każdy mięsień twarzy.

- Czy lubi pani spacery?

- O tak, wieczorami, dla zabicia czasu - powiedziała to tak, jakby była kobietą znudzoną, a nie gotową wyrwać się z własnego domu, z więzienia własnego białego ciała i pójść gdzieś, gdziekolwiek, uciec. Kiedy pomyślała o swoim ciele, przypomniała sobie tę wielką, martwą rybę, którą widziała w sklepie rybnym w Brooklynie, obsypaną pokruszonym lodem, z błyszczącymi łuskami w drobne cętki. Ostatnio Josie miewała napadowe omdlenia, kołowaciznę, jak nazywały to stare kobiety. Ludzie mówili, że ma za wysokie ciśnienie, a ona pozwalała im tak myśleć i sumiennie brała tabletki, które przepisał jej lekarz, ale rozgniatała je w palcach. Raz złośliwie wsypała do jedzenia kurom - dobrze im zrobią na ciśnienie. Tak, lubiła spacerować, szczególnie wiosną, dzwonki, kwiaty głogu, takie rzeczy. Jego oczy były ciemne, tak ciemne, jak szkolny atrament, ale Josie uważała, że może to z powodu wieczornego światła. Jej oczy też były ciemne i przyciągały uwagę innych. Oczy księdza i jego gabardynowy płaszcz były prawie tego samego koloru, a skórę miał bladą. Cień. Mężczyzna, który mógłby wyłonić się zza drzewa, objąć kogoś i znowu zniknąć. Powiedział jej, że kiedyś był na obozie wędrownym w Alpach, na wiosnę, i że dzikie, alpejskie kwiaty, szczególnie goryczki, mógłby zaliczyć do najznakomitszych, jakie kiedykolwiek widział.

- W śniegu...?

- W topniejącym śniegu... Wszędzie woda... Odgłosy płynącej wody i te żywe kwiaty...

- Kiedy to było?

- Och... zanim zostałem wyświęcony.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wyczuła, że ma jakieś wątpliwo-

- Deszcz, mówisz? - powiedział James.
- Strugi deszczu - odparł ojciec John.
- Całkiem jak u nas.
- Tak, ale tam nie ma gór - stwierdził ksiądz i zrobił ręką taki ruch, jakby chciał oddać pożegnalne honory pięknu gór widniejących za oknami, a potem posunął się aż do stwierdzenia, że góry dodają znaczenia charakterowi narodowemu.
- W jakim sensie? - ośmieliła się spytać.
- Urozmaicenie, złożoność, rozmach - odrzekł.
- Urozmaicenie, złożoność, rozmach - powtórzyła. Salon ten nigdy nie słyszał podobnych słów, odpowiedziały na nie srebra stołowe i cynowy dzban, a w palenisku, trzepocząc wesoło, płomienie strzeliły aż do komina, jak pomarańczowe złoto sypiące się z tobołka. Urozmaicenie, złożoność, rozmach.

Widział także wspaniałe obrazy, wnętrza i fasady budynków, i stał przed „Nocnym czuwaniem", oniemiały z podziwu, że jedna ręka mogła stworzyć dzieło tak ogromne i pełne zadumy. Josie zauważyła, że jej mąż zaczyna się niecierpliwić. Zapalał kolejnego papierosa, zanim zdążył wypalić do końca poprzedniego. Wtrąciła się więc do rozmowy niczym doświadczona gospodyni.

- Chyba są diamenty w Amsterdamie? - zapytała, na co jej mąż odparował wierszykiem:

W Amsterdamie widzę diamenty
Diamenty widzę, nie warte ni centa.

Ojciec John uśmiechnął się i powiedział:

- Prawda, prawda - i cieszył się, że może im opisać najróżniejsze diamenty, jakie widział w fabryce: nieszlifowane, niebiesko-różowe lub czarne, jakby przydymione, w stanie surowym, i przekształcone w brylanty, które wcześniej zataczały spiralne linie na powierzchni wirującej żeliwnej tarczy.

- To się nazywa dop * - wyjaśnił.

* dop - mała miedziana miseczka, w której mocuje się diament podczas cięcia i szlifowania.

- Coś podobnego - zdumiała się. Jeden z jej policzków płonął, drugi był załzawiony i bez przerwy chciało jej się podskakiwać wysoko, aż do dębowych belek, i pokazywać tylną część ud, smukłych i zgrabnych w fiołkowo-różowych, jedwabnych pończochach, które były częścią jej wyprawy ślubnej. Raz już kiedyś czuła ten niepokój, w obecności żonatego mężczyzny, Żyda z Brooklynu zaproszonego na obiad do domu, gdzie pracowała. Ów gość poszedł za nią do kuchni, żeby dać jej napiwek. Dostała srebrnego dolara, ale mężczyzna zamiast włożyć jej pieniądz do ręki, wsunął go za stanik ze słowami: „Trzymaj go ciepło". Pozwoliła tej ręce unieść swoją pierś i trzymać tak, jakby była płócienną portmonetką. Kilka dni później poszła wieczorem z tym samym dżentelmenem na spacer i kiedy mijali dom publiczny, on zatrzymał się i zapytał: „Co byś na to powiedziała, gdybym cię tam zabrał na godzinę lub dwie?" Była wprawdzie zbyt skrępowana, żeby mu odpowiedzieć, ale prawie uległa. Rozluźniła się, tak jakby już znalazła się w środku - jakby ją rozbierał albo poniewierał swoją męską żądzą - niepomna nędzy panującej wokół, gotowa na jego przyjęcie. Kiedy ocknęła się z zamyślenia, obaj mężczyźni śmiali się hałaśliwie, tak jakby ktoś opowiedział dobry dowcip.

- Słyszałaś? - mówił Jamie.

- Byłam daleko stąd - odparła z pewną arogancją.

- Ojciec John widział nieokrzesane ** diamenty - powiedział jej mąż i roześmiał się znowu, śmiał się całym ciałem, a jego oczy pełne były niesfornej uciechy.

** nieokrzesane diamenty (ang. rough diamonds) - nieprzetłumaczalna gra słów, oparta na wieloznaczności słowa rough - nieokrzesany, grubiański, ordynarny, a w odniesieniu do kamieni szlachetnych - nieoszlifowany.

- Nieokrzesane diamenty? - zapytała i spojrzała na ojca Johna, który, choć śmiał się bardziej wytwornie, także rozkoszował się tym dowcipem.

- Wredne maleństwa - dodał Jamie - wyglądają jak malutkie kamyczki, nic więcej.

Jak bardzo jej tego brakowało, jak długo jej myśli i soki miłosne wędrowały w kierunku domu publicznego, ze schodami na górę, z latarnią nad drzwiami i z różowymi zasłonami w oknach. Wróciła tam, wróciła tam sama i stała na zewnątrz.

- Nieokrzesane diamenty - powtórzył Jamie i zaczął się zastanawiać, gdzie, na miłość boską, jest kolacja, bo czyż te dwa nieokrzesane diamenty, ojciec John i on, nie umierają już z głodu.

Krzątała się w kuchni. Wszystko było gotowe, plastry pieczonej kaczki i sos pomarańczowy na dole, w piecu, ziemniaki w mundurkach gorące, skórki pięknie z nich odchodziły, a rzepa starannie zgnieciona na papkę i przyprawiona solą, pieprzem i gałką muszkatołową. Szarlotka jeszcze się piekła. Kiedy pochyliła się, żeby wyjąć gorących węgli z ognia, poczuła czyjąś obecność. Po dreszczu, który ją przeszedł, jak zygzaki zimna szalejące wśród gorąca, poznała, że to nie był jej mąż lecz on. Chciał wziąć sobie jeszcze jedną szklankę lemoniady, twierdząc, że nigdy dotąd nie kosztował czegoś tak wyśmienitego, a jej lemoniada bije na głowę tę butelkową i powinna opatentować przepis na nią.

- Czuję się zaszczycona - powiedziała.

Zwróciwszy w jego stronę szczypce, których wygięte dźwignie obejmowały rozgrzane do czerwoności węgle, co z całą pewnością wyglądało niebezpiecznie, zaproponowała mu zagadkę. Co to jest:

Długie ma nogi, uda krzywe niebywale,
Główkę ma malutką, oczu nie ma wcale.

- Szczypce - odparł i uśmiechnął się, patrząc na nią jednym z najczulszych, najbardziej znaczących miłosnych spojrzeń, jakie kiedykolwiek skierował na nią mężczyzna. Dotknął jej wtedy. Dotknęli

się bez dotykania, żadne z nich nawet się nie poruszyło, ale byli jak sparaliżowani, bo już jakaś siła zaczęła ich ku sobie unosić.

- Czy te gongi działają? - zapytał, wskazując na zielone, pokryte grynszpanem gongi rozwieszone nad kredensem.

- Działają... Mogłyby człowieka doprowadzić do szaleństwa.

- Więc uderz w nie - powiedział i wyszedł, a w jego postawie było jakieś wyzwanie i wtedy metaliczne, głębokie dźwięki, takie przejmujące, takie zuchwałe, rozległy się w całym domu.

Obsypać go rzeczami doczesnymi i darami natury. Patrząc na drozdy, takie gładkie i pulchne, pragnęła schwytać je gołymi rękami, przypiec na ruszcie i podać mu je na grzankach, tak jak to robią w południowych Włoszech. Właśnie on jej o tym powiedział. Tak jak o Samsonie i Dalili, która obcinając mu loki, uczyniła go niewolnikiem. Opowiadał jej mnóstwo różnych historii. Czasami milczał i tylko na nią patrzył. Czuła jak jego oczy lękliwie podążają za nią, kiedy chodziła po kuchni zajęta pracą. Ojciec John wiernie pojawiał się każdego ranka i zostawał przez cały dzień, rozsiadając się niedbale w fotelu, przyjmując wszystko, co mu proponowała i rzucając uwagi na temat drobnych zmian w jej wyglądzie czy wystroju kuchni. Josie zebrała z rododendronów nieliczne kwiaty, które już zakwitły. Pospiesznie wpadła do domu, ułożyła zielone gałęzie na stole, a ich widok przypominał jej scenę opisaną w ewangelii. Powinna zdobyć oleje, żeby go namaszczać. Tak, wszystko stawało się coraz bardziej oszałamiające.

Te kilka kwiatów w wielkim dzbanie nie wyglądało dobrze, było ich za mało, więc przełożyła je do wazy, gdzie unosiły się na wodzie jak lilie wodne, a ich główki dotykały się nawzajem. Główki miały różowe, pomarszczone na brzegach.

- Co to za kwiat? - zapytał, przyglądając się badawczo jednemu z nich, ukrytemu za lśniącą zasłoną liści.

- Rododendron - powiedziała. - Dostałam go kiedyś w prezencie, przyszedł pocztą, niski krzew w glinianym podłożu, owinięty w workowe płótno z karteczką, na której była wydrukowana nazwa: „Debiutantka". Przysłał mi go jeden z tych dżentelmenów, którzy przyjeżdżali tu wędkować. Rododendronowi nie odpowiadała tutejsza gleba, albo może przemarzł, bo co roku miał tylko dwa, a najwyżej trzy kwiaty. - Teraz Josie zerwała je i położyła na wodzie, żeby sobie żeglowały, aby on mógł je podziwiać. Kwiaty jabłoni były wszędzie, na stole, na krzesłach i kępami rozrzucone po kamiennej podłodze.

Gdy tylko zobaczył, że Josie bierze pożółkłą książkę, uniósł ręce w obronnym geście i zaprotestował. Droczyła się z nim i pytała, czy to niezgodne z jego religią. To była bardzo dziwna książka. Josie znalazła ją w kufrze i bardzo często do niej zaglądała. Znajdowały się tam różne pomalowane na czarno symbole, każdy z nich wskazywał inne przeznaczenie. Należało zawiązać oczy, a potem, kładąc palec na jednym z symboli odczytać jego objaśnienie. Ojciec John nie chciał poznać swojej przyszłości, był wystarczająco zadowolony z teraźniejszości.

- A to co? - zapytał, pokazując na jej obgryzione paznokcie. - Dlaczego zaczęłaś je obgryzać?

Josie schowała ręce.

- Same odpadły, czegoś brakuje w mojej diecie - odparła, chowając ręce do tyłu.

- Nie jesteś szczęśliwa - powiedział.

- Czasami bywam przygnębiona - przyznała i rozejrzała się dookoła, po czym przesunęła naczynie z kwiatami na drugą stronę stołu.

- U kogo szukasz pocieszenia?

- U nikogo... W swojej religii - powiedziała i zastanawiała się, czy zauważył, że kłamie, bo właściwie przez całe długie lata jej małżeństwa - kiedy wyglądała przez okno na obojętne pola, na obrusy i bieliznę trzepoczące na sznurze, kiedy patrzyła na zbuntowane woły,

które dla zabawy albo z rozpaczy wskakiwały na siebie i kiedy klęła sznur do zaciągania żaluzji, który bez żadnego widocznego powodu klekotał stuk-stuk-stuk... stuk-stuk-stuk, o określonej porze - religia nigdy nie była dla niej pocieszeniem.

- W swojej religii? - zapytał bez przekonania.

- Czy ojciec przechodził kiedykolwiek jakiś kryzys w wierze?

Zastanowił się przez chwilę. Potem spojrzał na nią jednym z tych czułych, nocnych spojrzeń, które ją wzruszały, po czym zebrał się na odwagę i wypalił:

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie. - Przerażenie malujące się na jego twarzy powiedziało Josie, że zadurzył się w niej i robił wszystko, żeby stłumić uczucie, ale każdego ranka, kiedy ją odwiedzał, uczucie rozpalało się na nowo, tak jak pożar krzaków janowca - pozornie już wygasły, potrzebuje tylko jednego podmuchu wiatru, żeby znowu rozgorzał.

- Gorzki aloes... Musisz nakładać go na paznokcie, żeby się pozbyć tego przykrego nawyku - poradził.

Nie podobało jej się słowo przykry. Znalazła starą gazetę za poduszką na jego krześle i zaczęła czytać, udając, że bardzo ją to pochłania.

- Mężczyźni mają humory - powiedziała, uwijając się i mrucząc, niepoprawna w tym swoim ogromnym szczęściu.

- Co to w ogóle jest? - zapytał Jamie, balansując trzymanym na dłoni przedmiotem, aby go dokładnie obejrzeć. Dwa blade, wklęsłe, drewniane dyski w kształcie spodków nachodzące na siebie pod dziwnym kątem. Drewno było bardzo białe, jakby zakonserwowane solanką albo śniegiem. Ojciec John przywiózł to z jednej ze swoich podróży, kiedy był na spotkaniu Rady Ekumenicznej.

- Trudno się tutaj czegoś domyślić - powiedziała, starając się ukryć,

jak wielką przyjemność sprawił jej ten przedmiot, pierwszy podarunek od niego.

- Czy to się jakoś nazywa?

- Zdaje się, że powiedział Moroszki * - odparła.

* moroszka - odmiana maliny bez kolców, o dużych, żółtawoczerwonych owocach, rosnąca na torfowiskach.

- Moroszki - powtórzył, przechylając ten z dysków, który dało się leciutko poruszyć, a potem bardzo się ożywił i dodał, że chyba powinni to jakoś ochrzcić, nadać temu imię chłopca albo dziewczynki. Dobrze znał swoją żonę, znał ją tak, jak nikt inny i wiedział, że pod fałdami jej halki zaczęło się dziać coś gorszącego.

- Ochrzcić! - powtórzyła, a słowo to zdało się jej zbyt znaczące, zbyt niebezpieczne.

- Gdybyś miała chłopca, nazwałabyś go John albo James, a dziewczynce pewnie dałabyś na imię Mary albo Kate, albo jedno i drugie - oznajmił.

- Nazwałabym ją Eleonora - powiedziała, przechodząc na pozycje obronne. Nie patrzyła na niego. Co w niej odczytał? Późną namiętność, która ogarnia nagietki czy róże i każe im zakwitać po raz drugi, albo te ptaki, które dochowują się drugiego lęgu.

- Powiem ci coś... Nazwiemy to „Perłą o śnieżnobiałych piersiach" - zaproponował i nagle zaczął śpiewać. Słowa, rozbrzmiewające w cichym i nazbyt jasnym powietrzu, były wymierzone w nią. Głos zmieniał rejestry: najpierw był to tenor, potem bas. Ręce od czasu do czasu uderzały w stół, podkreślając smutne akordy i smutne słowa, aby uwydatnić ich powagę.

Gdyby do Francji czy Hiszpanii posłana
Przemierzyła wielkie wody oceanu
Żeby znowu ujrzeć twarz jej ukochaną
Morzom czoło stawię

A jeśli to wyrok nieba
Że moją nie będzie ma luba
Niech Syn Maryi w swej łasce mnie zbawi.

Zobaczyła w jego oczach łzy i pomyślała: „On wie". Gdyby mogła go wtedy objąć. Ale nie potrafiła.

Tylko jedno jej było w głowie: „On dał mi prezent, ojciec John dał mi prezent". Ta myśl stawała się coraz potężniejsza, coraz śmielsza, za każdym razem, gdy ją powtórzyła, nabrzmiewała w niej jak dziecko rozwijające się w łonie.

- Coś ci powiem... Wsadź to do szafy, razem ze swoją bielizną - powiedział, a jego spojrzenie nie było już płaczliwe tylko gwałtowne i znaczące.

Kiedy sięgnął po puszkę sody oczyszczonej, wiedziała, że zamierza sobie zrobić miksturę na woreczek żółciowy, ale wiedziała też, że przed wieczorem wyruszy do wsi, a nim zapadnie noc, upije się.

O, mlecznobiała gołębico niezwykłej piękności
Której dar złożyłem swej prawdziwej miłości
Nie potępiaj tak okrutnie mej wierności.

Na wpół śpiewała, na wpół mówiła, idąc za nim do spiżarni, gdzie chciał zaczerpnąć wody źródlanej, która stała tam w wiadrze.

- Fałszujesz... W ogóle nie masz słuchu - stwierdził.
- W tej rodzinie to ty jesteś od śpiewania.
- A ty od czego? - zapytał, raz za razem mieszając musujące lekarstwo, a potem wypił je jednym długim, pełnym obrzydzenia haustem.

Owady pasły się na niej, a ona waliła w nie witką zrobioną z końskiego szczawiu. Miejsce, które wybrała, było chłodne, nieco wilgotne - to pagórek pod drzewem, a ona cieszyła się ze swojego wyboru,

ponieważ bardzo się pociła, mimo że przed wyjściem skropiła się wodą kolońską.

Ochłonie, zanim on się pojawi, wszystko wtedy będzie chłodniejsze i bardziej wilgotne, jak zawsze, kiedy zbliża się noc. Przyszła za wcześnie. Rozmyślnie. Musi leżeć, kiedy on tu przyjdzie, na wszelki wypadek, żeby nie zdradziły ją kolana albo pozycja ciała. W oddali, gdzieś w dole, znajduje się jezioro, znad którego dochodzą do niej dźwięki młota. Stary przewoźnik uderza nim o łódź. Zgrzytliwe brzęczenie metalu wcale nie drażni, lecz przynosi ukojenie, bo jest takie miarowe i nieprzerwane. Właśnie to będą słyszeli. Chyba nie powiedzą sobie wiele. Czuje, że on zjawi się nagle i położy się obok niej, i w milczeniu ich ciała połączą się w uścisku. Jak cienie przekroczą bramy tego, co dotąd każde z nich przeżywało samo, a poza nim odnajdą jeszcze głębsze pożądanie. Powiedział jej kiedyś, że jest jak róża: wielokrotnie zwinięta. Będzie ją rozwijał, płatek po płatku i penetrował jej ciało w odcieniu róży.

- Cholera! - zdenerwowała się, bo jej nowy gorset uwierał ją i odciskał pręgi na brzuchu. Ponieważ jest nowy, haczyki rozpinają się ciężko, więc musi zaczynać od najniższego, potem zająć się najwyższym, aż w końcu stopniowo rozluźnić wszystkie. Rzucony na trawę, z różowym haftem angielskim, wygląda w półmroku jak serweta rozłożona na piknik.

Odrzuciła gorset od siebie. Do cholery z nim. A on, czym będzie pachniał? Tytoniem. Jak bardzo kochała te specyficzne, małe, czarne papierosy, które palił. Odkrył je podczas swoich podróży do Holandii, coś pośredniego pomiędzy papierosem a cygarem. Były cienkie i mocne. Josie często po jego wyjściu wkładała do ust zakończone złotą obwódką niedopałki i dotykała językiem.

Nadsłuchiwała kroków, wiedząc, że on zostawi samochód w pewnej odległości. Josie myślała tylko o tym, kiedy on położy się obok, o bliskości ich ciał. Nie zastanawiała się, jak wróci do domu, jaką posłuży się wymówką, ani co myśli sobie mąż obserwujący ją z drugiego końca kuchni. Ruchliwe światło glinianej lampki zamaże, zamgli

jej tajemnicę, bo do tego czasu będzie już inna, bardziej opanowana.

Ciemność dodała jej odwagi, więc rozplotła kok z tyłu głowy, a potem spuściła wszystkie włosy do przodu, żeby przez nie mówić, kiedy będzie wypowiadała te najskrytsze, z głębi serca płynące słowa, które przygotowała i przećwiczyła. Od pierwszej chwili będą wiedzieli, czy im dobrze ze sobą, ale po co pytać o coś takiego, skoro wie, że są dla siebie stworzeni jak dwie trufle skryte pod warstwą zimowej gleby. To było jasne już w momencie, gdy opisywał roztopy w szwajcarskich górach, wodę, która tryska spod ziemi i znika pod nią z powrotem. Wśród strug wody kwiaty goryczki, jak fioletowe naroślą rodzące się na gołej powierzchni skał, jak dywany z drogich kamieni kołyszące się na wietrze.

W miarę upływu czasu zaczęła wyjmować z włosów spinki i licząc je, próbowała wysnuć z liczb przepowiednie, ale ani na chwilę nie traciła wiary, bo wiedziała, że jego pragnienie, aby ją posiąść, jest na pewno bardziej palące niż jej własne. Wyobrażała sobie, jak jego peugeot wyjeżdża tyłem z terenu przy kaplicy, on siedzi w środku, a opadająca grzywka przez chwilę przesłania mu oczy. Jest rozdrażniony, bo zatrzymał go jakiś parafianin. Wyobrażała też sobie jego oczy, nieśmiałe i łotrowskie i ręce wyciągnięte do niej z chłopięcym błaganiem, żeby dała mu klapsa za to, że się spóźnił.

Docierała do niej cała kakofonia dźwięków: przejeżdżające w oddali samochody, ryczenie osła, tysiące posapywań bydła. Przewoźnik już ucichł, a ona wyobrażała sobie jak borsuki i lisy wychodzą z nor, wygłodzone całodziennym postem, na poszukiwanie pożywienia. Księżyc był wielki, przekrzywiony i bardzo pomarańczowy, zrobiło się późno.

- To nie koniec, to tylko małe niepowodzenie - powtarzała niczym różaniec.

Ruszyła obojętnie przez sosnowy zagajnik w kierunku pól, mijając krowy i kamienne kopce, czuje zapach krowiego łajna i krowich ciał,

a w wilgotnym powietrzu unosi się odurzający zapach kwiatów czarnego bzu. Josie pomyślała, że to pole zachowa na zawsze istotę wszystkiego, co wiązało się z nim. Nie będzie to pamięć o róży, ale o tym, co brzydkie, niedbałe, zwierzęce. Ogarnęła ją jakaś straszliwa pustka, miała wrażenie, że soki, które w niej wezbrały wyciekają i kapią na sztywną trawę wyrastającą po pierwszym pokosie.

- A masz, a masz... a masz - dźwięki spadających na nią razów wydawały jej się prawie przyjemne, jak plaśnięcia łopatki o miękkie grudki na wpół uformowanego masła, ale ciosy są palące i pełne nienawiści, kiedy lądują na jej ciele. Trzepaczka była pierwszą rzeczą, która wpadła mu w ręce, kiedy wyskoczył do niej z kuchni. Kurczowo trzymała się drabiny, oczy miała zamknięte, nie pozwalała sobie, żeby z jej ust wyrwał się chociaż jeden jęk bólu czy słowo protestu. Był zbyt wściekły, żeby to znieść.

Rogacz. Rogacz. Wypowiadał to słowo głosem pełnym jadu. Skąd się go nauczył? Paud nieświadomie stał się przyczyną jego okrucieństwa. Pasąc krowy natrafił na gorset a ponieważ myślał, że wiatr zerwał go ze sznura, przyniósł rzecz do domu jak trofeum, dumny ze swojej gorliwości. Oddał go Jamesowi, który być może nie podejrzewałby niczego, gdyby nie mała karteczka zatknięta za górnym fiszbinem. Wcześniej napisała na niej ich nazwiska, żeby pobawić się w kocha-lubi-szanuje. Wykreślała z obu nazwisk odpowiadające sobie litery i wyszło jej, że ojciec John uwielbia ją i się z nią ożeni. Użyła swojego panieńskiego nazwiska. To wyjaśniało wszystko. Najpierw, z wielką werwą, James pomaszerował w jej kierunku z gorsetem w wyciągniętej ręce, pytając: „Czy pani to widziała?". To sprowokowało ją do banalnego kłamstwa, że pewnie sfrunął z żywopłotu, co często się zdarza.

- Gówno - powiedział, a potem wepchnął jej tę karteczkę do ust jak knebel.

- A to? - zapytał. Przed oczami zamigotało jej własne pismo i cała ta żałosna farsa, jaką odgrywali, udając, że ojciec John jest przyjacielem rodziny. Ścigały ją groźby, wrzaski, okrzyki zniecierpliwienia, kiedy gonił ją po korytarzu, po jednych schodach, potem po drugich, a ona uciekała do sypialni, bo pamiętała, że tego ranka Paud mył okna i miała nadzieję, że drabina jeszcze tam stoi. Widziała siebie samą, jak zatrzaskuje drzwi do sypialni, zamyka je na zasuwę, która - wiedziała o tym - ustąpi przy najlżejszym nacisku, i rzuca się do ucieczki w kierunku uchylonego okna z podnoszonym do góry skrzydłem. Prawie się jej udało. Kiedy jak burza wpadł do pokoju, złapał ją w sytuacji bez wyjścia i z bezlitosną skwapliwością zatrzasnął okno, ściągając skrzydło w dół, tak że zawisła na wpół w środku, na wpół na zewnątrz, a drewniane skrzydło okna wrzynało jej się w ciało.

Ogarnęła go dzika, niepohamowana radość biczownika, bo fizycznie niemal czuł, jak jej ciało promieniuje bólem, rozrzutnie szafował energią, kiedy bił ją za każdego drinka, którego kiedykolwiek mu żałowała, za swojego biednego brata, którego skazała na wygnanie, za potomka, którego mu nie dała, za klacze, które obrzucała inwektywami, ale przede wszystkim za tę jej wyschłą na wiór kobiecość, za tę farsę, jaką było ich życie intymne. Musi mu opisać tę swoją „schadzkę w zielonym ogrodzie" *, musi wyjawić, czy wielebny ojciec ma tę smykałkę, czy zna się na rzeczy, czy też musiała sama wkładać sobie ten jego krótki interes.

* schadzka... (ang. sally-garden tryst) - Sally-garden to park w Dublinie, ulubione miejsce spotkań zakochanych. W popularnej irlandzkiej piosence właśnie tam żołnierz idący na wojnę po raz ostatni spotyka ukochaną.

Jak głupiec bił żonę za przyjemności, których on nie potrafił jej dać, wierząc, że w tym lesie zostało jej to z całą lubieżnością wynagrodzone. W żaden sposób nie dałoby mu się wytłumaczyć, że poszła tam na próżno i nic na świecie nie mogłoby jej zmusić, aby mu o tym powiedziała. Milczenie było teraz dla niej czymś najistotniejszym i

karmiła się nim chciwie, jak dziecko ssące cukierek. Chaotycznie, nieregularnie spadały na nią piekące razy, aż poczuła wilgoć, jakby zaczęła krwawić, oczy też jej zwilgotniały, ale łzy nie płynęły, jakby coś wciągało je do środka. Potem bicie stało się spokojniejsze, bardziej metodyczne, jak wiersz: strofa i refren, tak że mogła liczyć ciosy i niemal przewidzieć, kiedy go to zmęczy. Potem wydawało jej się, że wyczuwa w nim jakieś wycofywanie się, jakby jego okrutna przemoc osiągnęła punkt zwrotny.

Kiedy wyszedł i zobaczyła, jak jedzie na rowerze i zamyka bramę z nerwowym szczęknięciem, zapanowała w całym domu dziwna cisza.

Czas płynął powoli, wzeszła Gwiazda Wieczorna i Wielki Wóz oraz inne gwiazdy, których nazw nie znała, bydło małymi grupkami dreptało po zarośniętym polu, zanim wybrało miejsce na spoczynek, gołębie tuliły się do siebie w swoich gniazdach na drzewach, a ból w jej sercu znacznie przerastał ból jej ciała. Jakże inaczej postrzegała teraz gwiazdy i poszczególne dźwięki w porównaniu z poprzednią nocą, kiedy czekała na niego. Pomyślała, że za nic na świecie nie chciałaby, aby on zobaczył ją obnażoną w ten sposób: obnażoną i rozciągniętą na parapecie i przyciętą okiennym skrzydłem.

- Dobry Boże... Jesteś cała posiniaczona - współczuł jej obłudnie i nie był w stanie ukryć przyjemności, że to właśnie on jest tym szczęśliwcem, którego przysłano na górę, tym szczęśliwcem, który widzi jej krzywdę na własne oczy i może ją zapamiętać, by opowiedzieć kolegom w mieście. To był Wścibski.
- Która godzina?
- Licho wie, która jest godzina... Szef mówi, że masz zejść na dół i coś usmażyć... Ma towarzystwo.
- Może sam sobie gotować żarcie.
- Nie może, jest wściekły.
- Podnieś to - poprosiła, a potem zatrzymała się na chwilę, zanim odważyła się wyprostować, nie wiedziała bowiem, czy będzie w stanie

chodzić. Irytowało ją fałszywe współczucie Wścibskiego, który sugerował, że powinna coś zrobić, aby jej rany nie zaropiały.

W pokoju na dole gęba przy gębie jak na ławce w kaplicy siedzieli mężczyźni. Byli zbyt pijani i rozochoceni, żeby zwracać uwagę na nią i na to, jak jest zmaltretowana. Zanadto też się zasiedzieli, żeby chciało im się wracać do domu. Znała ich wszystkich, ale ani razu, czy to nalewając herbatę, czy podając im, jak jej kazano, smażony chleb i kiełbaski, nie spojrzała im w oczy. Był tam Wścibski, a także dawny listonosz i koński rzeźnik, nazywany JJ, który zawoził mięso ze starych koni do miasta i sprzedawał różne części różnym handlarzom, kopyta przydawały się tylko do produkcji różańców. Egan, licytator, jako jedyny skinął głową jakby z wdzięcznością, kiedy postawiła przed nim talerz. Paud nie chciał jeść, patrzył w dół, na swoje podarte spodnie, jakby zaglądał do leżącego na kolanach zeszytu. Słyszała, jak ciężko oddycha, w geście jakiejś bezsensownej pokuty.

- Karmić, walić, ujeżdżać. Kobietę i konia - powiedział James, zwracając uwagę na podobieństwa między nimi, ale też kładąc nacisk na to, że koń ma więcej honoru.

- Karmić, walić, ujeżdżać - powtórzył ze śmiechem i wszyscy śmiali się wraz z nim, żeby podtrzymywać jego rozbawienie.

- Dobra jest ta klacz, którą masz na polu przed domem - odezwał się koński rzeźnik.

- Na wszystkich polach mam dobre klacze - pochwalił się James, a widząc, że Josie zabiera się do wyjścia, pociągnął ją z powrotem i zwrócił się do niej z irytującą życzliwością: „Nie dzisiaj wieczorem, Józefino... Nie dzisiaj wieczorem".

Na przemian nalewał im whisky albo kazał im patrzeć na jej łydki i na jej ruchy, a potem znowu pytał kolejnego gościa, jakim cudem taki ciemny prostak znalazł się w jego saloniku. Od czasu do czasu dopytywał się o jej rany, mówił, że pewnie czuje się nieco obolała i że te bąble trzeba będzie przebić agrafką. Pod wpływem nagłego impulsu popchnął Pauda w jej stronę i powiedział: „Przeproś" i, jakby tego

było mało, dodał: „Podaj jej łapę". A potem, ponieważ Paud zaczął się mazać, grzmotnął go tak, że ten przewrócił się na nią.

- Donosiciel, nic, tylko donosiciel - skwitował Jamie i ciągnąc go za kołnierz, wywlókł z pokoju.

- Opowiedz nam jeszcze raz historię o tym, jak byłeś w Dublinie z poganiaczem bydła - poprosił koński rzeźnik, żeby go trochę rozweselić. Josie znowu musiała wysłuchać, jak jej mąż pojechał do miasta z poganiaczem bydła, jak wypili o jednego za dużo i musieli spać w jednym pokoju z jakimś facetem z Roscommon.

- Rano wybraliśmy się kupować bydło, nie mając przy duszy złamanego szylinga - pomyślcie tylko sobie - powiedział Jamie, pochrząkując przy tym i plując - poganiacz włożył rękę do kieszeni i znalazł tam plik banknotów, i zamiast cieszyć się i radować, ten skończony idiota zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie złapał jakiejś choroby od bryczesów tego faceta. Rozebrał się więc do naga i w stroju adamowym, w samym środku miasta, wydawał z siebie tak kretyńskie ryki jak krowa zaganiana do zagrody.

- I co się potem stało? - zapytał Wścibski.

- Co się potem stało... Załatwiliśmy interesy i udaliśmy się do innego hotelu, i balowaliśmy po królewsku.

- To wspaniała historia, Szefie.

- Boki można zrywać ze śmiechu.

- To sztuka tak opowiadać - pochwalił koński rzeźnik. Natychmiast odezwał się ktoś z obecnych, pytając, co taka małpa jak on może wiedzieć o sztuce opowiadania, jeśli nawet nie potrafi postawić krzyżyka na karcie do głosowania.

- To sztuka tak opowiadać - powtórzył, udając, że nie zrozumiał zniewagi.

W pewnym momencie Jamie dostrzegł rzeźbę - dar dla Josie od ojca Johna.

- Czy wiecie, jak to się nazywa? - zapytał, ale żaden z nich nie wiedział. W odpowiedzi zaśpiewał piosenkę, chodząc z rzeźbą po pokoju. Obłapiał ją, a potem obsypywał pocałunkami.

Gdybyś moją nigdy zostać nie miała
O, ty perło o piersiach śnieżnobiałych
Niechby mi życie Opatrzność zabrała,
Nim z jarmarku powrócę.

Kiedy stanął przed kominkiem, Josie już wiedziała, co jej mąż zamierza zrobić. Zapewniając zgromadzone towarzystwo, że to drewno da łagodniejszy zapach i więcej iskier niż drewno jabłoniowe, cisnął rzeźbę do ognia i czekał na płomienie, ale doznał zawodu. Dwa drewniane dyski zniknęły, jakby były zrobione z wafla, po prostu roztopiły się i zginęły w strzelistej wieży okopconego sadzą gzymsu nad kominkiem.

- Babska szmira - warknął tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zaczął grzać ręce nad ogniem, po czym ruszył przez pokój w stronę Josie, żeby pokazać, że to on ma do niej prawo. Dotknął najpierw jednej piersi, potem drugiej.

- Szkoda, że sam siebie nie widzisz - zwróciła mu uwagę lodowatym tonem.

- Pieścić je... Karmić je... Tłuc je - zaperzył się znowu.

- No, James... Posuwasz się za daleko - odezwał się Egan, który podszedł do nich, żeby wciągnąć go z powrotem w oszołomienie, rozbawienie i picie.

Gdyby do Francji czy Hiszpanii posłana
Przemierzyła rozszalałe oceany
Żeby znowu ujrzeć twarz jej ukochaną, morzom czoło stawię
A jeśli to wyrok Nieba, że moją nie będzie ma luba
Niech Syn Maryi w swej łasce mnie zbawi.

To właśnie Egan zaśpiewał tę piosenkę, łagodnie i z jakąś niemą prośbą o wybaczenie.

Niedługo potem stanął przed nią całkiem pijany Jamie. Coś bełkotał i charczał, brwi miał zmarszczone, a oczy błędne, nie był nawet pewien czy to ona, czy ktoś inny.

- Muszę się z kimś zobaczyć w sprawie psa - powiedział i zataczając się, wyszedł.

Od tamtej pory zaczęła dziwaczeć. Myliła kwiaty z ptakami, rzeczy ruchome z nieruchomymi, a nasiona kwiatów wydawały jej się pełne piosenek. Stan taki trwał od czerwca aż do końca września. Widywano ją wieczorami na werandzie, jak patrzyła gdzieś w dal i rozmawiała z ptakami. Mąż nie odzywał się do niej, a kiedy ją mijał, wydawał tylko jakieś chrząknięcie, jakieś zwierzęce chrząknięcie. Ludzie wiedzieli o tym, wiedzieli też, że Paud został odprawiony, że ona okryła się hańbą. Spekulowali na temat tego, z kim miała tę schadzkę. Czuli, że był to ktoś obcy. Dostawała anonimowe listy, zawsze z tym samym pytaniem: „Co za nieprzyzwoite rzeczy ten ktoś zamierzał z nią robić i do czego zmusiłby ją jeszcze".

Posiedziawszy na werandzie przez godzinę lub dłużej, wbiegała nagle po schodach na górę, a potem zbiegała na dół. Zrywała pajęczyny z kątów, szarą, tłustą masę, wyładowywała na nich swoją złość, trzepała zasłony, żeby oczyścić je z kurzu i innych śmieci, które na nich osiadły, a potem uciekała na pole kopać ziemniaki, żeby je ugotować dla zwierząt. Innym razem stawała przed długim lustrem w garderobie i stwierdzała, że jej oczy nabiegają krwią. W ustach czuła smak krwi. Widziała swojego księdza jak się gotuje w oleju obdarty ze skóry. Mówiła do siebie z angielskim akcentem: „Ciągle ładnie wyglądasz, moja droga". Zwrot „moja droga" usłyszała od jednej z żon wędkarzy, jęczącej kobiety, która dyrygowała swoim mężem i nosiła taką dużą bransoletkę jak kółko na serwetę.

Czasami Josie wkładała porządną sukienkę, a za chwilę zdejmowała

ją i ubierała się w jakieś stare rzeczy, po czym zbiegała na dół pompować wodę. W kuchni z tyłu domu ustawiała jedno wiadro przy drugim, w szeregu, jakby to był sezon, kiedy mieszkali u nich wędkarze, dla których przygotowywała gorącą kąpiel, gdy wracali wieczorami znad jeziora.

Nosiła do obory albo do kurnika po dwa wiadra naraz i mocnymi chluśnięciami rozlewała wodę po podłodze, wypłukując nieczystości, po czym mówiła sobie, że to pokuta, że pokutuje za grzech, który został udaremniony.

Ten dziwny drozd ciągle tam był. Żył sam, bez towarzyszki, i wydawał jakieś niesamowite, niemelodyjne dźwięki. Jego małe oczka wpatrywały się w nią, dwa małe, cukierkowate oczka utkwione w niej, jakby mówiły: „Moja droga". Zawsze się wtedy załamywała i szła przez ogród kwiatowy do schodów, żeby tam usiąść i odtwarzać kolejność minionych wydarzeń, docierając do tego rozstrzygającego momentu, kiedy spotkali się przy rozwalonej chacie obrośniętej jarzębinami. Jego oczy były takie żałosne, powieki różowo-fioletowe z niewyspania, jakby je ktoś delikatnie pomalował. Mówił: „Widzisz, to niemożliwe... niemożliwe, żebym cię widywał albo żeby ktoś zobaczył mnie z tobą". Wszystko w wyrazie twarzy i ciele pochylonym w jej stronę przeczyło słowom, które wypowiadał. Ich ręce same wyciągały się do siebie, sięgały poza wszelkie granice. Kiedy dłonią jak pajęczyną musnął jej dłoń, ich palce się splotły, a on spojrzał przez pola w kierunku swojego samochodu, czarnego peugeota, którego nazywali Herman i powiedział: „Herman i ja zabierzemy cię na przejażdżkę".

On też musi to wspominać, kiedy siedzieli w samochodzie i wesoło paplali, aż w końcu ich usta zaczęły się rozgniatać nawzajem, jak owoce, usta w środku wrażliwe i drapieżne. Musi wspominać tę dziecinną radość dwojga ludzi pożerających się nawzajem.

Zaczynała pisać listy, których nie kończyła. Uwagi typu: „Nigdy nie sądziłam, że to może skończyć się w ten sposób", a innym razem, gdy spadła jej koronka z zęba, przypomniała sobie, że jemu przydarzyło się to samo, kiedy trafił na pierścionek ukryty w drożdżowej bułeczce z rodzynkami. Napisała wówczas: „Pomyślałam o tobie dziś rano, kiedy gryzłam..." - i na tym zakończyła. W chwili największej słabości pisała: „Wiem, że na pewno czasem o mnie myślisz. Wiem, bo pamiętam, jak zatrzymałeś się na skrzyżowaniu i przełamałeś moją powściągliwość". Zaraz potem paliła karteczki. Trzymała je w szczypcach i patrzyła, jak te wyrwane z kontekstu uczucia, stawały się szarymi strzępami, a potem kupkami popiołu, na końcu zaś czystą nicością. Boże, daj mi chociaż jedno, ostatnie spotkanie - modliła się w duchu.

W miłości dwojga ludzi zawsze jest to coś, co powinni sobie powiedzieć, ale naprawdę mówią albo za dużo, albo za mało.

Wzięła do ręki medalion, do którego włożyła kilka kosmyków jego włosów, było to tamtego ranka, gdy obcinała mu włosy w kuchni.

Czasami krążyły plotki, że ojca Johna przenoszą stąd, a potem ktoś mówił, że to tylko pogłoski. Na Boże Narodzenie zostawiła mu kartkę i zrobione na drutach skarpetki, ale nigdy nie potwierdził, że je otrzymał. Nie podpisała kartki, lecz wierzyła, że będzie pamiętał tego ich menueta z zieloną wełną: kiedyś zastał ją na zwijaniu wełny. Josie założyła motek na oparciach dwóch odsuniętych nieco od siebie krzeseł, a on zaproponował jej w zamian swoje wyciągnięte ręce. Przemaszerowali wtedy przez cały dom, ona zwijała, a on trzymał. Był zaskoczony i zachwycony tym, że oprowadziła go po całym domu, a w końcu znalazł się w jej sypialni, jak paź, rycerz, jak pan młody.

Pułapka na myszy była zrobiona z różowego, giętkiego drewna, kusząca jak ślazowy cukierek. Leżała na ladzie w sklepie z towarami żelaznymi, w tym sklepie, gdzie całe wieki trzeba było czekać, aż

właściciel wyjdzie do klienta, a kiedy się już pojawił, to strofował ludzi, mówiąc, że przecież widzą, że pije herbatę. Spodobała jej się, drewno było takie różowe, a sprężyna taka podatna, że już wyobrażała sobie, jak bardzo będzie użyteczna. Całe chmary myszy grasowały nocami po spiżarni, słyszeli je: ona i Jamie, gdy siadywali w kuchni w milczeniu. Nie używali już dobrych pokojów ani nie rozpalali w nich ognia. Czasami zastanawiała się, o czym myślał, kiedy tak wpatrywał się w płomienie: o innych, lepszych kobietach, o mniej gorzkim przeznaczeniu. Ona też o tym myślała.

Kiedy udało jej się uciec z pułapką na myszy, poczuła, że może ukraść wszystko, była zuchwała i nieskrępowana. Kradła czekoladę, pałeczki lukrecji, magazyny mody i wszystko, co tylko ludzie zostawiali w kaplicy: pojedyncze drobne przedmioty. Wrzucała je do torby jak trofea. Dopiero w sklepie tekstylnym poniosła klęskę. Poczuła zapach nowych materiałów i wyobraziła sobie, że jest gdzie indziej, że jest rozpieszczoną kobietą, która przyszła do przymiarki, że jest znowu w Brooklynie, stoi na podwyższeniu, a kobieta ze szpilkami w ustach każe jej się powoli obracać, sama zaś przypina lamówkę do sukni balowej. Halka, którą dojrzała, miała w sobie coś podobnie kuszącego, turkusowa, wykończona koronką w kolorze kwiatów czarnego bzu. Gdy tylko młoda sprzedawczyni wyszła na zaplecze, żeby przynieść sznurek, Josie postanowiła to zrobić i wsunęła halkę, wraz z opakowaniem do swojej plecionej z sitowia torby.

- Przepraszam... Pani O'Meara - powiedziała dziewczyna, sięgając w stronę jej torby, żeby ją otworzyć, i jednocześnie wołając do swojej szefowej: - Proszę pani, niech pani tu przyjdzie, szybko.

Jakże się przed nimi usprawiedliwiała, przed tymi dwiema nieustępliwymi kobietami, jak tłumaczyła, że to przez te nerwy, przez tabletki, które bierze, że oczywiście zamierzała zapłacić. Cieszyły się, widząc strach i upokorzenie tej, która nigdy nie zaprosiła nikogo do

wielkiego domu, która w kaplicy zawsze siadała na uboczu i nazywała ludzi prostakami. Błagała, żeby nigdzie tego nie rozpowiadały, żeby nie mówiły nikomu.

- Mój mąż będzie musiał się o tym dowiedzieć - odparła właścicielka sklepu, z tryumfem w oczach.

- Ale ja ją oddaję - powiedziała Josie i wywróciła torbę do góry dnem, tak że nie tylko halka, ale cała zawartość wypadła na zewnątrz i rozsypała się na podłodze.

Tej nocy wyjawiła wszystko Jamesowi. Musiała mu powiedzieć, zanim zrobi to kto inny. Wyciągnęła błagalnie rękę i rzekła: „Złapano mnie na kradzieży" - a potem wstała i poprosiła go, żeby ją objął. Sposób, w jaki to zrobił, był w tym wszystkim najokrutniejszy. Zupełna pustka, jakby jedna pusta ściana trzymała drugą pustą ścianę.

- Mogą cię podać do sądu - stwierdził.

- Jasne, że mogą - odparła. Nawet nie zapytał, co to było.

Ile czasu zajęło to wszystko? Ile czasu potrzeba, żeby zamordować najpierw ciało, a potem wyobrażenie o nim, które je przetrwało, które je przeżyło i które uparcie odmawia oddania ducha? Widać to po ubraniu i po butach, po znoszonych butach, w których człowiek potyka się na chodniku. Zabrała je do szewca, zapuściła się do jednoizbowej rudery, gdzie Vinny siedział sam, stukając młotkiem, szyjąc i wiążąc rzemieniem, odporny na smród i ciemność, na zapachy dochodzące z ulic, wiejskich podwórek i ze stodół wypełnionych sianem. W kącie dostrzegła parę balowych pantofelków, srebrno-purpurowych, z masywnymi klamrami pokrytymi sproszkowanym kryształem, jedyne piękne przedmioty w całym pomieszczeniu.

- Proszę naprawić obcasy i czubki - powiedziała.

- Są zupełnie zdarte - odparł, trzymając jeden z butów, a potem wygiął go w kabłąk, żeby jej pokazać, że podeszwa jest tak giętka jak tektura albo mufka.

- Musi pani kupić sobie nowe.

- Niech pan się postara - poprosiła obojętnym tonem i rzuciła je na stertę szpetnego obuwia, powiązanego razem sznurówkami. Nie była nawet pewna czy kiedykolwiek po nie przyjdzie. Gdyby mi dał te balowe trzewiki, gdyby nawet pożyczył mi je na jedną noc, to by mi dodało otuchy, pomyślała. Stała tam jeszcze przez chwilę, jakby szewc mógł odgadnąć tę jej myśl.

Nawiedzały ją sny, w których powracał blady, skruszony, w potrzebie. Raz śniło jej się, że przyjechał na rowerze, przywiózł trzy przebiśniegi w doniczce i powiedział: „Jeden dla ciebie... jeden dla mnie i jeden dla dziecka". Sen ten był tak realistyczny, że niemal fizycznie czuła ciemną, wilgotną glinę w doniczce, która pulsowała tak, jakby były w niej robaki. Białe kwiaty miały w środku plamkę w odcieniu zielonym.

Nadzieje, okruchy nadziei słabły w miarę upływu czasu i pewnego dnia zobaczyła rzeczywistość, i czuła się tak, jakby spostrzegła swoje imię nabazgrane na drodze kroplami własnej krwi.

W niedzielę wychodziła na spacer szukać towarzystwa: dziecka, druciarza, kogokolwiek. Świeżo upieczona mężatka, która właśnie zamieszkała w sąsiedztwie, polubiła ją i często zapraszała do siebie. W wilgotnawym saloniku, który pachniał dojrzałymi i gnijącymi jabłkami, ucinały sobie pogawędkę i częstowały się kawałkami weselnego tortu i okruchami połamanego lukru, które były twarde jak kreda. Gospodyni, nie będąc już młodą kobietą, rozpaczliwie pragnęła zajść w ciążę, a ponieważ powiedziano jej, że zatrzymanie kawałka weselnego tortu aż do chrzcin przynosi szczęście, chciała go zachować do tego czasu, jadły więc tylko okruszyny, a potem herbatniki.

- Czy jest coś, co powinnam brać?... Jakiś środek wzmacniający czy zioła? - zapytała pewnej niedzieli.

- Nic... W ogóle nic nie ma... To leży w rękach Boga - odparła Josie z dezaprobatą.

- Ludzie mówią, że pewna akuszerka w Galway ma jakieś zioła... Daje ludziom narkotyki - powiedziała, jednocześnie zafascynowana i przestraszona tą plotką.

- Skąd mam coś wiedzieć na temat akuszerki z Galway - odparła Josie wstając. Sąsiadka wybuchła gniewem, a ona uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko i nie myliła się, bo nigdy już więcej nie została zaproszona.

To była ciepła niedziela, jesienna, jarzębiny przy rozpadającej się chacie wyglądały jak bezwstydne, czerwone płomienie. Wynajmowane na lato domy opustoszały, nie było w nich znaku życia, jedynie wygasłe ogniska i blachy do pieczenia ciasta wypełnione deszczówką. Postanowiła wybrać się na dłuższy spacer, może nawet iść do wsi i kupić chleb. Jedzenie dużo teraz dla nich znaczyło. Jedli więcej. On przeniósł się do innej sypialni, żeby być blisko Old King Cole'a*, jak to nazywał.

* Old King Cole - bohater bardzo popularnego wierszyka dla dzieci.

Miała nowe buty, bardzo niewygodne. Bolały ją duże palce, zbyt ściśnięte, i obdrapane pięty. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko usiąść przy rowie i czekać, aż zabierze ją ktoś przejeżdżający tędy. Będzie machała, machała jednym z tych nowych butów, jeśli to okaże się konieczne. Usłyszawszy samochód, zupełnie niedaleko, zebrała się w sobie i przygotowała, żeby wstać, ale nie zdążyła. Auto wyjechało zza zakrętu na pełnym gazie. Za kierownicą siedział on. Wyglądał dokładnie tak samo, jak kilka miesięcy temu, jak chłopiec, dalej było w nim to tajemnicze niezdecydowanie. Oczy miał łagodne, dopóki nie zobaczył Josie, a wtedy jego spojrzenie stało się lodowato sztywne, samochód nabrał prędkości i popędził przed siebie, jakby kierował nim człowiek, który zobaczył ducha. Nie poruszyła się, jeszcze nie. Dziękowała Bogu, że przynajmniej nie stała, nie błagała. Przypomniała sobie to łagodne spojrzenie, a potem szok, a może to była nienawiść, kiedy ją zobaczył.

Wezbrała w niej wtedy miłość, którą kiedyś do niego czuła i przepłynęła przez nią jak rzeka, dzika i rwąca, pustosząc jej ciało, któremu nie dane było dla niego się otworzyć. Są takie momenty w życiu, kiedy wielka czułość towarzyszy wielkiej nienawiści. Zaledwie przed chwilą wszystko było miękkie i wilgotne, a potem pojawiło się widmo kostnicy: ich ciała leżące obok siebie.

- Pokazał swoje prawdziwe ja, gruboskórne... Prawdziwe, tchórzliwe ja - powiedziała, masując stopy i zadowolona z jednej rzeczy, że nie stała przy drodze z podniesioną ręką.

- I najpiękniejsze jest to, że nigdy się nie dowiedział, ile to dla mnie znaczyło - tłumaczy Josie młodej dziewczynie, która siedzi oczarowana w koszu na bieliznę machając nogami.

- I najpiękniejsze jest to... - powtarza Creena, ale nie może dokończyć.

Lekko marszczy brwi. Powiedzieć coś takiego oznaczałoby wyrzec się wszystkiego, podeptać własne marzenia, zetrzeć na proch to jedno marzenie, że McGreevy przestanie opłakiwać swoją zmarłą żonę i pewnej nocy zjawi się, by z nią porozmawiać i powie jej, że przyszedł zamieszkać tu na stałe. To była jej jedyna nadzieja podtrzymująca entuzjazm. Ta myśl sprawiała, że Creena była w stanie doić i karmić krowy, chodzić na mszę i grać w bingo, myśleć o kolejce górskiej, nie tej kolorowej, w wesołym miasteczku, ale ich własnej, o jego ramionach, które unoszą ją do góry, wysoko, wysoko, ponad szare szczyty gór, aż do świetlistego nieba.

- Przepraszam za to, co mówiłam o starych ludziach i miłości - powiedziała.

Zjedz solonego śledzia, idąc do łóżka
Postaw przy łóżku filiżankę wody
Przyszły partner przyjdzie o północy i da ci pić.

- Czy to prawda? - pyta Creena.

- Tak mówią - i śmieją się, i myślą, skąd mają wziąć solonego śledzia.

- Za co kochasz McGreevy'ego?

- Za wszystko - mówi Creena, a potem, po chwili refleksji dodaje: - Jest przecież ochotnikiem *.

* Ochotnicy (The Volunteers) - zbrojna organizacja założona przez Eoina MacNeilla w 1913 r., której zadaniem była walka o autonomię Irlandii (Home Rule). W 1914 r. oddzielił się do niej odłam radykalny (Irosh Volunteers), walczący o niepodległą republikę.

Ostatnie dni

Dzikus... Kompletny dzikus. - A do tego jeszcze zboczeniec... Zawlókł tę młodą od Shaughnessych do stodoły... Tę Imeldę.

- I co się stało?

- Krzyczała, wrzeszczała i zwiał.

- Słyszałam, że widziano go, jak z chusteczki do nosa wytrząsał jakieś świństwo do stogu siana.

- Nie może być.

- Zarazki pryszczycy.

- O Boże, dopomóż nam... Jesteśmy zgubieni - szepcze pani Kelly, właścicielka sklepu, i podziękowała Bogu, że przynajmniej już sobie poszedł. Z urywków zasłyszanych zdań dowiedziała się, że miał czelność w przebraniu zapukać do drzwi wikarego. Tłumaczył się, że jest głodny, żeby wejść do środka, a kiedy już się tam znalazł, zapytał księdza, czy ma jakiś stary sweter, gdy zaś ksiądz poszedł tylko na górę, żeby sprawdzić, uciekł z kluczykami do samochodu.

- Nowiuteńki samochód... Kupiony tydzień temu... Biedny wikary jest zrozpaczony - dodaje pani Kelly.

Grupka zaaferowanych kobiet zebrała się wokół Josie, bo słyszały, że policja zrobiła najazd na jej dom, myśląc, że on tam jest i ją więzi.

- Gdyby pani była zakładniczką, zostałaby z pani tylko miazga - mówi właścicielka sklepu, podsuwając jej krzesło i dziwiąc się, że Josie wydaje się zaszokowana, że bardzo się zmieniła, i w ogóle nie wygląda na panią z wielkiego dworu.

- A pani zrobiła sobie małe wakacje? - pyta kierowniczka poczty.

- Tylko kilka dni... Z siostrzeńcem.

- Z tym chłopakiem, co pracuje w ubezpieczeniach?

- Tak, z tym, co pracuje w ubezpieczeniach - potakuje i zaczyna się zastanawiać, dlaczego skłamała. Ile z tych kobiety zrozumiałoby, dlaczego ukrywała McGreevy'ego, jak wiele z nich zrobiłoby to samo i, podobnie jak ona, nie wiedziałoby dlaczego.

Zasypały ją pytaniami na temat pobytu w domu opieki i czy zakonnice były miłe, czy jak diabły, i jak się czuje, kiedy znowu znalazła się w swoim domu, w swojej twierdzy.

- Powinna pani założyć dobre zamki... Zamki na wszystkich drzwiach i wszystkich oknach - radzi pani Kelly i dodaje, że chodzi nie tylko o tych, którzy chcą wolnej Irlandii, ale też o zwykłych przestępców, których całe chmary się tu kręcą.

- Czy ma żonę? - pyta młoda dziewczyna.

- Kto czy ma żonę? - dziwi się Josie. Czuje się od nich wszystkich odseparowana jak wyrzutek.

- Twój siostrzeniec.

- Nie, ale jest zaręczony - i każde kolejne kłamstwo zdaje się ją coraz bardziej oskarżać.

Kiedy wychodzi, strażnicy obserwują ją przez lornetkę z okna w koszarach. Czekali, aż wróci do domu. Cornelius, młody strażnik, który właśnie zamierza ją przesłuchać, kiwa palcem na Rory'ego, żeby podszedł i rzucił na nią okiem. Rory, który nie jest miejscowym policjantem, lecz z posterunku położonego sześć mil stąd, gromadzi i porównuje zebrane informacje, bo świetnie zna tę okolicę, te lasy.

- Jesteś pewien, że to ona? - pyta Corneliusa.

- Tak... Rok temu byłem u niej w sprawie pozwolenia na psa.

- Zabawne... Myślałem, że jest zupełnie inna... Bardziej elegancka... A to ten siostrzeniec?

- Pewnie tak - i obaj patrzą, jak kierowca bierze łubiankę z żywnością oraz worki torfu, i układa to wszystko w bagażniku.

- Daj mi pięć minut na dotarcie do domu - mówi Rory i myśli, jakie to dziwne, że ona wcale nie ma bagażu.

Och, te oschłe słowa, potyczka w milczeniu, kiedy przyglądają się sobie nawzajem. Josie skarży się, że jej dom został splądrowany, a Cornelius w ogóle nie zwraca na to uwagi. Jest to młody policjant, z klamrą przy pasie wrzynającą się w sadło i otwartym notatnikiem, w którym widać dwa starannie włożone arkusze kalki. Wskazując na bałagan: szuflady i obrazy na podłodze, fruwające kartki cennych, starych książek, obdartych z okładek, zmuszona była mu przypomnieć, że nie jest to stan, w jakim normalnie znajduje się jej dom. Ponadto policjanci rozbili jej malutką szylkretową pozytywkę, która teraz wydaje spazmatyczne trzaski, cichutkie i brzęczące, jak szklanki z drinkami ustawione zbyt blisko siebie na tacy.

- Mój dom wygląda jak chlew - oburza się Josie - podłoga zerwana, materace porozpruwane i białe kłaki waty wiszą

- W takim dużym domu, jak ten, praca Gardy * jest bardzo skomplikowana - dodaje policjant, zdejmując zębami skuwkę z pióra. - Chciałbym pani zadać kilka pytań.

* Garda Siochana (ang. Civic Guard), Straż Obywatelska - siły porządkowe w Republice Irlandii, utworzone w 1922 r., zastąpiły Królewską Policję Irlandzką (ang. Royal Irish Constabulary) po powstaniu Wolnego Państwa Irlandzkiego.

- Śmiało.

- Z zaufanego źródła doszły nas pewne wieści, więc radzę pani, żeby podczas odpowiedzi miała pani głowę na karku.

- Głowę na karku - powtarza Josie z sarkazmem.

Za nic na świecie nie wyda go teraz. Po pierwsze, już go tutaj nie ma. A po drugie, odrzuca ją od tego młodzieńca nonszalancja, z jaką porusza się po jej domu nie zdając sobie sprawy z panującego wokół chaosu, ma czelność znowu tu przyjść.

- Jest pani świadoma.

- Świadoma czego?

- Że wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani.

- Tylko że w interesującej pana sprawie nie mam nic do powiedzenia.

- Osoba, która udziela schronienia wywrotowcowi, ponosi za to odpowiedzialność.

- Szukaliście bardzo starannie.

- Czy widziała pani tego człowieka? - pyta policjant, wyciągając ulotkę „Poszukiwany", na której znajdują się dwa zdjęcia McGreevy-'ego, jedno, kiedy był młodszy, z szerokimi brwiami i gęstą czupryną, i bardziej aktualne, z przerzedzonymi włosami i siwymi wąsami, takimi skąpymi, jakby ktoś namalował mu je lakierem. Czyta dane na temat jego wieku, budowy ciała, koloru oczu, akcentu i to, że pali papierosy.

- Nie.

- Oczywiście obecność takiego człowieka mogłaby niekiedy urozmaicić życie.

- Czyżby?
- Komuś samotnemu, jak pani.
- Sprzeciwiam się tego rodzaju uwagom.
- Sprzeciw sprzeciwem, ale wyłania nam się obraz, z którego wynika, że człowiek, którego poszukujemy, był w tej okolicy, a może nawet w tym domu.
- Więc waszym zadaniem jest go znaleźć.
- Garda spełnia swoje zadania i robi to dobrze, i robi wszystko, żeby obywateli uspokoić i odbudować ich zaufanie.
- Nie mogę panu pomóc - mówi Josie i odwraca się, podnosi szufladę i próbuje wepchnąć ją z powrotem do pustego otworu.
- Jeszcze nie skończyłem.
- Nie?
- Zaufany informator opisał panią jako pustelniczkę - czy zgodziłaby się pani z tym?
- Z pewnością żyję sama dla siebie, jeśli o to panu chodzi.
- Jest pani bardzo tajemnicza, pani O'Meara.
- Muszę. Wy, policjanci, macie przeświadczenie, że wolno wam deptać po ludziach.
- Czy pani nie widziała tego człowieka?
- Nie mam telewizora.
- Dobry Jezu! Cały kraj jest w stanie podwyższonej gotowości, a pani wydaje się o niczym nie wiedzieć... Jak w czasach Polyanny.
- Mój siostrzeniec wspominał mi, że ktoś ucieka.
- Ktoś! Ktoś poszukiwany po obu stronach granicy za morderstwa, podkładanie bomb, robi, co mu się podoba, na zewnątrz bardzo spokojny, lecz ma skłonności do gwałtownych wybuchów, nawet w sytuacjach, kiedy nic mu nie grozi... Szaleniec. - Policjant obserwuje, jak wzbiera w niej strach.
- Skąd pan to wie?
- Człowiek, który znalazł się w jego rękach, może być teraz przerabiany na pulpę.

- Proszę, nie - mówi Josie, używając szuflady jako pancerza.

- Niebezpieczny koktajl - kontynuuje policjant i gwiżdże, żeby podkreślić, że jest na nią zły.

- Zostawcie mnie w spokoju - prosi Josie, starając się, żeby jej głos brzmiał pojednawczo.

- Mam obowiązek poinformować panią, że jeśli pani go ukryła, pójdzie pani do więzienia.

Więzienie! To słowo zanadto natarczywe. Josie pamięta pętle drutu kolczastego biegnącego wzdłuż wysokich murów w pewnym miasteczku w centrum kraju i pamięta, jak Jamie powiedział: „Nieszczęsne chłopy, tylko liczą godziny", a kierowca odparł: „Oni wszyscy są pod wpływem narkotyków, podają im narkotyki, żeby się nie buntowali". Więzienie. Rozpełzająca się na wszystkie strony masa zaprawy murarskiej i kamienia, z wysokimi bramami, za którymi stoją następne, podobne bramy, pętla z kolczastego drutu za pętlą, z zardzewiałymi kolcami, które, jak brązowo-czarne robaki przeszywają powietrze.

- Wiem, że tu jesteś - wypowiada te słowa głośno, nieprzestraszona, a jakby pobudzona do działania. Posprzątała kuchnię i jadła właśnie kolację z puszki. Właścicielka sklepu podarowała jej wędzone ostrygi. To była nowość, ostatni krzyk mody i żona lekarza po prostu za nimi szalała. Nie smakowały jej, ale jadła, mocząc sklepowy chleb w aromatycznym, żółtym oleju, który wsiąkał w niego jak w gąbkę.

Odłożyła puszkę powoli, niemal z godnością, kiedy klamka podniosła się trzy razy, a potem coś nią szarpnęło, najwyraźniej jakaś nie nawykła do niej ręka. W gasnącym świetle dnia wydawało jej się, że to on, ale potem zobaczyła, że zamaskowany mężczyzna ma gęstą czuprynę czarnych, kręconych włosów i ręce robotnika. Wyglądał, jakby w ogóle nie miał oczu, tylko same powieki, zaskorupiałe i różowe. Wtedy nagle ogarnęła ją panika, bo pomyślała, że to ktoś, kto przyszedł wyrównać porachunki z McGreevym.

- Kazał ci przekazać, że jeśli policjanci będą cię nękać, to powiedz, że byłaś związana.
- Kto kazał?
- On.
- I co jeszcze?
- Że przeprasza.
- Co jeszcze?
- Chciał, żebyś wiedziała... Miał nadzieję, że będziesz.
- Za co przeprasza?
- Nie wiem.

Ale już w momencie, gdy to mówił, wiedziała. Poznała to po gęsiej skórce i po ciarkach, które przeszły całe jej ciało.

- Coś się szykuje, prawda...? Prawda? - Pyta, ale jego już nie ma, więc Josie biegnie za nim, dopada go przy szczytowej ścianie domu i łapie za rękaw kurtki.
- On zamierza coś zrobić... Właśnie za to przeprasza, prawda...?
- Nie wiem... Ja tylko przekazuję wiadomości - mówi mężczyzna, wyrywa się i podnosi rower, który położył na żwirowej ścieżce.

- O, mój Boże... O, mój Boże - szepce sama do siebie, chodząc tam i z powrotem. Nie wie, do kogo się teraz zwrócić. Jeśli doniesie na policję, będzie to oznaczało, że go zabiją, jeśli nie doniesie, to on kogoś zabije.
- Zrób coś... Zrób coś... - Wszystko, nawet milczący zegar, mówi jej to.
- Jest tylko jedno wyjście - mruczy Josie, idąc do telefonu w korytarzu. Mogła zażegnać to niebezpieczeństwo na samym początku, ale nie, próbowała zrozumieć McGrevy'ego, towarzyszyła mu z jakiegoś powodu.
- Zrobię coś - postanawia, kiedy podnosi słuchawkę i szuka numeru telefonu w notatniku leżącym obok.
- Tak... Możliwe... - odpowiada pielęgniarka na pytanie czy jej

brat Pa mógłby ją, Josie, gdzieś zawieźć. - Teraz je podwieczorek.

- Zapytaj go... To pilne - a kiedy czeka i słyszy, jak oni się śmieją myśli, że śmieją się z niej.

- Na kiedy go potrzebujesz? - pyta pielęgniarka, wracając do telefonu i ciągle się śmiejąc.

- Na teraz... Teraz - wykrzykuje rozdrażniona, że ta kobieta jeszcze tego nie pojęła.

- Tak... Jasne... Będzie na bank - mówi.

- Powiedz mu, że jestem gotowa... Że już teraz jestem gotowa.

Siedzi w płaszczu i w kapeluszu na głowie i słysząc telefon, podchodzi do niego strapiona. Boi się, że to dzwoni kierowca albo pielęgniarka, żeby jej powiedzieć, że jednak nie może przyjechać.

- Czy to pani O'Meara? - słyszy pełen ogłady męski głos. Ściska kurczowo półeczkę pod telefonem i myśli, że to jest właśnie jej kat.

- Kto mówi?

- Tu posterunkowy Purcell z posterunku policji, Rory Purcell, chciałem...

- Proszę posłuchać... Nie mam wam już nic więcej do powiedzenia... Ten młody człowiek wie wszystko, co w tej sprawie miałam wam do przekazania...

- Właśnie dlatego dzwonię, pani O'Meara. Myślę, że nie była pani zbyt zadowolona z przebiegu tej rozmowy.

- Zadowolona?!

- To młodzi chłopcy... Prosto z Tullamore... Nie mają pojęcia o kontaktach z ludźmi, o tym jak ich uspokoić.

- Uspokoić? Nie potrzeba mi tych wszystkich kłopotów, tych wszystkich pytań, w moim wieku... Proszę zapytać księdza, proszę zapytać lekarza.

- Istotnie. Dlatego właśnie dzwonię, żeby w imieniu policji przeprosić panią... Ale teraz sama pani widzi, że możemy poruszyć niebo i ziemię i że pani interes leży nam na sercu, pani bezpieczeństwo, pani dobro.

- Słyszałam w sklepie, że ten człowiek... Ze ten terrorysta wyniósł się stąd.

- Różne rzeczy można usłyszeć w sklepach.

- Czy pan sądzi, że sobie poszedł?

- Byłbym zaskoczony... Wątpię w to... Myślę, że zjawił się tutaj, by załatwić swoje sprawy, a my mamy sprawę do niego.

- Ale skoro zrobiliście nalot na mój dom, to będzie go omijał, prawda? - mówi Josie pośpiesznie.

- Wcale nie musi wiedzieć o tym, no chyba że ktoś mu powiedział... Jakiś jego zwolennik.

- To prawda - wycofuje się Josie, żeby nie powiedzieć czegoś jeszcze, ale jej następna uwaga potwierdza przeczucie Purcella, że starsza pani chyba jednak jest w to zamieszana.

- Mam nadzieję, że dla swojego własnego dobra poszedł sobie stąd.

- Dla swojego dobra? A co z tą masakrą, którą być może planuje?

- Masakrą? - Z każdym słowem Josie mówi coraz bardziej niepewnie.

Gdyby ten policjant był tu teraz, gdyby siedział naprzeciwko niej, chyba by mu powiedziała: „Tak, on tu był... Tkwi w nim coś, co sprawiło, że... Nie mogłam się oprzeć... Być może nie wierzyłam, że on jest w stanie zabić, że zabija". Kiedy policjant rozwodzi się na temat wężowej przebiegłości tych facetów, a ona zgadza się z nim, ma nadzieję, że się z tego wyplątała. Tylko że się myli. Purcell jest prawie pewien, że jego podejrzenie było słuszne. Przeczuł to, kiedy zobaczył ją w mieście, zmartwioną, w wymiętym ubraniu, z włosami w nieładzie - rozglądała się na lewo i prawo, jakby była obserwowana.

- Przy okazji, chciałbym zapytać pani siostrzeńca o numer rejestracyjny samochodu... Jest uderzająco podobny do samochodu widzianego przez naszych ludzi.

- To nie był mój siostrzeniec.

- Nie?

- Nie... Mój siostrzeniec był zbyt zajęty i poprosił studenta, żeby mnie zawiózł.

- Więc muszę zapytać tego studenta.

- Ja to za pana zrobię.

- Porozmawiam z pani siostrzeńcem... Oszczędzę pani kłopotów.

- Wolałabym zapytać go sama... Jeśli usłyszy to od pana, to pomyśli, że postradałam zmysły.

- Świetnie... Zadzwonię do pani jutro - mówi i odkłada słuchawkę. Pełne znaczenie tego wszystkiego dociera do niego po kilku sekundach, kiedy odtwarza sobie każde zdanie z ich rozmowy i wali pięścią w stół ze złości, że nie nagrał jej. Jedno jest pewne. Ta kobieta kłamała. Złapał ją na gorącym uczynku. Być może nawet żaden siostrzeniec nie istnieje. Dlaczego kłamała? Gdzie była?

- Ona coś wie... Ona wie dużo - mówi głośno.

- Dlaczego tak uważasz? - pyta strażnik Lunihan.

Zna tę kobietę, raczej sztywną, w typie elegantki.

- Najpierw kłamała... A potem zaniepokoiła się tym, że chcę dzwonić do jej siostrzeńca i powiedziała, że pomyślałby, że jego ciotka postradała zmysły.

- Jeśli ona jest republikanką, to ja jestem mormonem.

- Gdzie jest jej dom? - pyta Rory, wchodząc do drugiego pokoju, w którym Cornelius właśnie zjada kolację.

- Ruszysz przez miasto, dojedziesz do zakrętu, jest tam stara kuźnia i pub... Trafisz tam albo drogą nad jeziorem, albo przy mleczarni.

- Którą jest szybciej?

- To zależy.

- Która droga jest krótsza, Con?

- Ta przy mleczami - mówi i wstaje, jakby czekał na klapsa.

Rory widzi ją na tylnym siedzeniu samochodu, głowę ma pochyloną do przodu, bo mówi coś do kierowcy, a potem prostuje się i opuszcza rondo kapelusza. Policjant czuje to przez skórę, że alarm został włączony. Jeszcze nie czas, żeby wzywać posiłki, nie czas, żeby cokolwiek robić, teraz trzeba tylko jechać za nią w rozsądnej odległości i zobaczyć, dokąd zmierza, a potem coś postanowić.

- Och, moja mała Aoife... Twój tata już gna - mówi do siebie i jedzie dalej, i myśli, jak zawsze, kiedy jest w niebezpieczeństwie, że to piękna spokojna okolica. Jaki to piękny i tragiczny kraj, nie ma chyba bardziej tragicznego i piękniejszego na świecie.

- To tutaj... - mówi McGreevy i pochyla się, kiedy wchodzi do chaty. Oni już czekają: Brennan, który z trzaskiem włącza i wyłącza kieszonkową latarkę i Cassidy, posłaniec, który był w jej domu.

- Tak... Fir Bolgowie * spali tutaj - kończy jego myśl Brennan, podnosząc swój kaptur.

* Fir Bolgowie - dawni, legendarni osadnicy w Irlandii.

- Czy to byli ci ludzie z wielkimi brzuchami? - pyta Cassidy.
- Spóźniłeś się, McGreevy.
- Musiałem ominąć dwa miasta.
- Po jaką cholerę zabrałeś ją do tego domu?
- Chodzi ci o tę kobietę.
- Tak.
- Nie miałem dokąd jej zabrać... Jej własny dom już był spalony.
- Mogłeś ją tam zostawić.
- Nie mogłem pozwolić jej umrzeć.
- Co ona takiego zrobiła?... Zostawiła ci spadek?
- Przesłuchiwaliby ją, gdybym przyprowadził ją z powrotem do domu... Mogłaby się wygadać.

- Umieszczenie jej w tym domu było szaleństwem.
- Nie wiedziała, gdzie jest... To stare wyjadaczki, Creena i jej matka.
- Mam nadzieję - odzywa się tamten i daje mu pudełko. Wiatr wyje wściekle i luźno położone kawałki ocynkowanej blachy zawzięcie podskakują po dachu.
- Twój prezent gwiazdkowy.
- Po cholerę?
- Jak to po cholerę?
- Powiedziano mi, że on się nie zjawi.
- A on, kurwa, się zjawi.
- Skąd wiesz?

- To bardziej twoja część kraju niż moja.
- Ale to twój przydział.
- Byłem w drodze powrotnej na północ...
- Jednak... Nie chciałbyś, żeby władza wymknęła ci się z rąk.
- Kiedy tu będą?
- Zarzucają wędki w piątek.
- O tej porze roku nie łowi się ryb. - Dziwi się i nagle podskakuje, bo szczur prześliznął mu się po stopie, i spadając wylądował w kałuży pełnej wody, gęstej od napęczniałego torfowego pyłu. Teraz jego buty wyglądają tak, jakby miał na nogach dwa kawałki torfowej darni.
- Tu nie chodzi o ryby... Chodzi o to, żeby jeszcze raz odwiedzić miejsca, w których się często bywało... On ma raka... Raka jelit.
- Więc, tak czy owak, właśnie po to tutaj jestem - słyszy swoje własne słowa.
- Czy ta kobieta dobrała się do ciebie...? Jak ona to zrobiła. Za pomocą herbaty i placuszków, czy tej swojej „szafy grającej"?
- Ta kobieta nie dobrała się do mnie.
- Mam nadzieję, że nie pękasz.
- Nic mnie jeszcze nie załamało, nigdy.
- Tylko my moglibyśmy to zrobić...
- Nie musicie dawać mi tych śmieci.
- Podróżnik, taki jak ty... nie może być stracony dla przedsiębiorcy pogrzebowego. - I wychodzi, pochylając się i utykając. Nie można powiedzieć, czy to utykanie jest prawdziwe, czy tylko udawane.

- Posłuchaj... Nie wiemy... Nie wiemy, a nawet gdybyśmy wiedziały... Nie wtrącałybyśmy się do tego... Nie mogłybyśmy się wtrącać. - Matka Creeny siedzi z założonymi rękami, spokojna, ale poirytowana, że ta kobieta przyszła tutaj w tak zuchwałym celu.

- Ale ja nie mogę... Nie możemy pozwolić, żeby to się stało.

- My możemy. My pozwalamy. Nie jesteśmy tobą. Różnimy się od ciebie. Wiemy, co oni robią... I wiemy, że muszą to robić.

Creena siedzi z jednej strony i czuje się trochę zmieszana, że tak bardzo polubiła tę kobietę, a teraz musi się z tego wycofać i stanąć po stronie matki i McGreevy'ego, i po stronie sprawy.

- Jego żona często mu towarzyszyła.

- Jego żona?

- Była raz tutaj... Czekała tu na niego... Nigdy nie przyszedł... Pamiętam, że czekała przez całą noc... Przez całą noc... Powiedziała wtedy: „Jeśli któreś z nas ma zostać zabite, wolałabym to być ja"... Zabili ją po trzech dniach... Wiedziała, że to nadchodzi... Przeczuwała... Zabili ją, kiedy karmiła dziecko piersią.

- Och, biedna kobieta.

- Kochała go... Wierzyła w niego.

- Wszyscy go kochają... Tylko nie wierzą w to, co robi.

- My wierzymy... Wierzymy - mówi matka. Podnosi się z miejsca, jakby chciała jeszcze powiedzieć: „Dla swojego własnego dobra i dla naszego, wracaj do domu, to nie jest noc, którą możesz spędzić tutaj ani nie jest to noc, podczas której my możemy cię tutaj gościć".

- Sprawisz nam dużą przyjemność, jeśli spędzisz z nami święta - mówi Creena i kropi ją wodą święconą ze specjalnego zbiorniczka.

- Czy ktoś widział, że tu przyjechałaś? - pyta matka.

- Tylko kierowca... Czeka na dole, przy drodze.

- Odprowadź ją do drogi - mówi matka do Creeny, ale sama nie robi w stronę kobiety żadnego pożegnalnego gestu.

Zastrzelili dwa szczury z nadzieją, że pozostałe wyniosą się ze strachu. Cassidy wykopał martwe zwierzaki na zewnątrz butem.

- Zastanawiam się, czy psy je jedzą... Razem z sierścią, całe.
- Byłeś w tym domu? - pyta McGreevy, patrząc na niego przez lornetkę.
- Tak.
- Co powiedziałeś?
- To, co mi kazałeś.
- Co powiedziałeś?
- Że przepraszasz.
- I co?
- Pobiegła za mną i zapytała: „Coś się szykuje, prawda?... On zamierza coś zrobić, zamierza zrobić coś okropnego, dlatego przeprasza".
- Jezu!... Będzie awantura - mówi McGreevy i układa lornetkę tak, żeby się nie poruszała w czasie obserwacji.
- Co mam powiedzieć Brennanowi?
- Powiedz mu...
- Dokąd idziesz?
- Powiedz mu cokolwiek.
- To naprawdę twardy człowiek... Wiem o czymś, co on zrobił... Poprosił faceta, którego o coś podejrzewał, żeby do niego przyszedł i wyprowadził go na pole, gdzie wcześniej wykopał grób... Zastrzelił go z zimną krwią, tak że facet wpadł do własnego grobu...
- Ta robota przyniesie nieszczęście.
- On to powiedział poważnie, Mac.
- Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się nie spać.
- W piątek będzie po wszystkim.
- Nie będzie - mówi McGreevy, przez moment pokazując swoje zdenerwowanie, po czym wychodzi. Nawet nie może porzucić tego wszystkiego i uciec. To inni określali jego życie, inni karali go lub nagradzali za jego czyny, ale nie dla pochwał robił to wszystko, lecz dlatego, że wiele lat temu sam sobie złożył przysięgę, wyssał ją z mlekiem matki.

- Więc już się zaczęło?
- Spotkam się z tobą tam, gdzie się umówiliśmy.

- Chcę mieć wszystkie samochody patrolowe, jakie są dostępne... Jestem dwie mile za tą budką telefoniczną po lewej stronie... Małą dróżkę w górę... Na zakręcie rośnie wielkie drzewo... To znaczy, dwa wielkie drzewa, splątane razem - mówi szorstko, szybko, obawiając się tylko jednego, że Manus tego nie pojmuje, że nie jest wystarczająco bystry.
- Jakie drzewa?
- Dęby, może buki... Ruszaj się, Manus, prędzej... Zbieraj ludzi, zbieraj.
- Czy nie powinienem najpierw zadzwonić do Dublina...? Do inspektora policji, który jest za to odpowiedzialny?
- Do Dublina możesz zadzwonić później...
- Ale to on jest dowódcą.
- Teraz ja dowodzę... Zadzwoń do wszystkich posterunków w promieniu dwudziestu mil... Sprowadź wszystkie samochody patrolowe, jakie tylko mają... Szybko... Zbierz ludzi... Zmobilizuj... Ruszaj się.
- Czy ja też pojadę?
- Nie... Ty jesteś weteranem... Ty pozostaniesz na miejscu.

ze mną współpracować... Wiem, że tu była... Widziałem, jak wchodziła i jak wychodziła... A więc, po co przyszła?

- Z koleżeńską wizytą.
- Nie została długo.
- Nie czuła się najlepiej.
- Jeśli nie czuła się dobrze, to dlaczego nie zadzwoniła i nie odwołała wizyty?
- Ponieważ ta pańska banda założyła podsłuch na nasz telefon.
- Proszę założyć płaszcze i kapelusze.
- Och, czyżbyśmy wybierały się do kina? - pyta Creena.
- Proszę założyć płaszcze i kapelusze - powtarza policjant i w tym samym momencie matka słyszy, jak w dolinie zaczynają wyć syreny i wie, ta kobieta miała rację, że będzie to rozstrzygająca noc. Instynktownie skrapia wodą święconą, najpierw córkę, potem siebie, potem podłogę, starannie unikając miejsca, na którym stoi policjant.
- My kochamy swój kraj - mówi z pogardą.
- Tak jak my wszyscy - odpowiada nieproszony gość.
- Gdybyście go kochali, nie robilibyście tego. - Widok mężczyzny w mundurze jest powtórzeniem wydarzeń sprzed dwudziestu lat, kiedy jej męża wywleczono z bagien na postronku. Przed nim szedł policjant i za nim policjant, a pod domem czekał na niego policyjny samochód. Zapytał wtedy, czy może zamienić słowo z żoną, ale mu nie pozwolono, a ona stała na progu, machała do niego ręką. Mała Creena była kruszynką w jej brzuchu. Kobieta patrzyła, jak go wywożą, dlatego że kochał swój kraj.

- O kurwa, kurwa! - Brennan słyszy syreny i wie, że jego chwile są policzone. Góra aż się od nich roi, syreny wyją z długim, zapierającym dech w piersiach przeraźliwym gwizdem, jedna po drugiej, odpowiadając sobie nawzajem, zdecydowanym, stanowczym morsem głosząc słodycz zemsty. Samochody nadjeżdżają ze wszystkich

kierunków, więc nie może już zawrócić, może tylko jechać dalej. McGreevy, ta świnia, ten donosiciel. Teraz wszystko nabiera sensu, obiekcje, spóźnienie, chęć przekazania dowództwa. O kurwa, kurwa! Z góry, ze skały sterczącej jak dziób statku, widzi, jak w jego stronę nadjeżdża ford i nagle czuje sprzeciw, i myśli, że może zablokować im drogę i zetrzeć ich z powierzchni ziemi, gdy tylko wyłonią się zza ostrego zakrętu serpentyny, która w tym miejscu zmienia kierunek o sto osiemdziesiąt stopni.

- Zwolnij... Zwolnij, Ned - mówi Tommy do młodego strażnika, który siedzi za kierownicą. Po raz pierwszy w życiu jego działanie

robi to na wyczucie, ponieważ nagle zapada ciemność. Idąc w kierunku swojego przeciwnika, widzi, że ciało osunęło się na samochód, ale ciągle drga. „Jeśli muszę strzelać prosto do celu, to strzelam", myśli Tommy. Gasnące życie, nawet w tych ciemnościach, wyglądało jak zanikający prąd elektryczny, nieregularne skurcze ciała stawały się coraz rzadsze, a potem nie było już nic, tylko martwa kłoda.

- Trafiłem go - zwraca się do Neda, który stoi za nim i cały się trzęsie.

- Powinniśmy odmówić akt skruchy.

- Ty odmów - mruknął Tommy i ściąga ciało na ziemię, aby położyć je na nasypie. Wydaje się takie lekkie, niewinne, plecy, jak ciepła paleta rozlewającej się krwi. Jest zbyt ciemno, żeby dostrzec, którędy przeszła kula i Tommy czuje się zadowolony, że tego nie widzi. Coś, wstyd albo litość, każe mu zdjąć kurtkę, żeby przykryć nią pierś i twarz zabitego.

Samochody na sygnale z wyciem wspinają się na wzgórze w ich kierunku, wydając swój nieprzerwany i hałaśliwie radosny zew, a on myśli: „Uderzą w nas, żeby się przedrzeć... Pozabijają nas wszystkich" i zerwawszy się na równe nogi, zdziera z siebie koszulę, po czym zaczyna wściekle nią wymachiwać, żeby ich ostrzec.

Jakiś sierżant, którego Tommy nie zna, widząc na wpół nagiego mężczyznę, który wymachuje czymś, przez chwilę bierze go za kogoś innego i odciąga kurek pistoletu.

- Jestem strażnikiem - krzyczy Tommy, a potem, już nieco mniej rozemocjonowanym głosem dodaje: - Właśnie zastrzeliłem jednego z nich.

- Dobra robota - mówi sierżant, wysiadając z samochodu i rozkazuje jadącemu za nim konwojowi, żeby jakoś przedostał się dalej, podjechał w górę rowem, albo staranował tarasujący drogę pojazd. Ned w tym czasie odciąga ciepłe jeszcze ciało z drogi, żeby uchronić je przed zmiażdżeniem.

- Przyślemy tu karetkę - mówi sierżant, wsiadając do swojego samochodu.

- I księdza - dodaje Ned, kiedy mijają go ze świstem, dźwięki wydają mu się jakieś odczłowieczone, a kształty samochodów przypominają meteory, gdy tak odbijając się i podskakując, przejeżdżają przez przełęcz.

- Muszę zawiadomić żonę - mówi Tommy. - Muszę zadzwonić - i pokazuje na oświetlone okno, z daleka od drogi.

- Pójdę z tobą - mówi Ned. Wolałby nie zostawać sam z trupem. Odgłosy strzelaniny, widok podskakujących luf karabinów były już wystarczająco przykre, ale perspektywa pozostania z nim sam na sam jest jeszcze bardziej przygnębiająca.

- Nie, sam muszę jej to powiedzieć - protestuje Tommy i w biegu zaczyna zakładać koszulę.

Dwa ogromne psy wyskakują z ciemności i rzucają się na nogawkę jego spodni, a w tym czasie w domu ktoś podnosi zasłonkę, ale drzwi pozostają zamknięte, nikt nie reaguje na jego pukania i nawoływania. Próbuje przemówić do właściciela przez okno, podnosi ręce do góry w geście desperacji.

- Jestem strażnikiem - mówi w stronę okna, które odrobinkę się otworzyło, ale mężczyzna mu nie wierzy.

- Proszę mi pokazać swoją legitymację - odpowiada jakiś głos.

- Na drodze była strzelanina - tłumaczy Tommy.

- W przeciwnym razie pana nie wpuszczę...

Grzebiąc w kieszeni znajduje plastikową kartę ze zdjęciem i stopniem służbowym.

W domu jest kilkoro dzieci, które zbijają się w grupkę i patrzą na niego wytrzeszczonymi oczami jak dzieci w filmach grozy.

- Bandycki kraj... Bandycki kraj - powtarza mężczyzna.

- To nie nasza wina, że to bandycki kraj - broni się Tommy. Przeszedł przez ogień piekielny i ani jedna ludzka istota nie zapytała go, jak się czuje. Wie, że słuchają go, kiedy telefonuje. To nie pomaga i nie pomaga też głos żony, zimny i bezosobowy, kiedy mówi jej, że był poważny wypadek i zastrzelono człowieka.

- Czy to ty go zastrzeliłeś? - pyta.

- Tak, to ja go zastrzeliłem - odpowiada powoli, spodziewając się choć cienia współczucia.

- Powiem dzieciom.

- Nie... Ja sam im to jakoś oględnie przekażę - protestuje matowym głosem.

- Mogą to skądinąd usłyszeć... Mogą powiedzieć w wiadomościach.

- Nie włączaj tych cholernych wiadomości! - wybucha Tommy dotknięty, że nie zapytała go nawet: „Jak się czujesz" albo „Czy jest ktoś przy tobie".

Kiedy policjant zbliża się do wyjścia, mężczyzna wyciąga rękę po pieniądze za rozmowę.

- Bandycki kraj - mówi Tommy i rzuca monetę na piec.

Samochody skręcają przez otwartą bramę, jak oszalałe zjeżdżając z drogi, żeby zrobić miejsce następnym, kiedy otaczają chatę. Wielu policjantów, wierząc, że jest tam McGreevy, przeskakuje przez schody i ogródki skalne, rozpędza kury i gęsi, rozrzuca doniczki z kwiatami na wszystkie strony, przygniatając nimi dwa psy.

- Czy moglibyście być tak dobrzy i nie deptać po moich kwiatach? - wykrzykuje pani Burke.

- Przeszukać dom - rozkazuje Rory.

- Zdewastują nowy dywan - żali się Creena.

- To tylko rozwalenie kopniakiem gnijących drzwi, pani Burke - mówi Rory i gestem pokazuje ludziom, żeby się pospieszyli. Jeden z kolegów potakuje znacząco i skinięciem wywołuje go na zewnątrz, a on uświadamia sobie, że coś się wydarzyło, coś wielkiego.

- Mamy jednego z nich.

- McGreevy'ego...?

- Nie McGreevy'ego... Sierżant z Limerick uważa, że ten facet nazywa się Brennan... Rozpoznał go po żelaznej ręce.

i rozejrzysz się uważnie, a potem zdasz mi sprawozdanie.

- A jeśli zobaczę któregoś z nich? - pyta Michael, zbyt speszony, żeby powiedzieć: „Ja nie chcę iść... Nie chcę iść sam".

- Skontaktuj się ze mną przez radio... Wejdziemy na górę.

Odwracając się w stronę domu, bierze pierwszych dwóch ludzi, których widzi. Nie ma czasu do stracenia. Ta góra może aż się roić od zamachowców.

- Ty i ty - mówi szorstko.

Cięższy z mężczyzn, Tobin, mruga do swojego kolegi, Duggana.

- To jego kram - mruczy pod nosem i obaj idą za nim bez przekonania. Stają obok zamaskowanej janowcem części łóżka, która płasko leży na ziemi.

- Czyste szaleństwo - denerwuje się Tobin, kiedy czekają.

Ciemność, zapomniana przez Boga i ludzi ścieżka, a teraz jeszcze rozstępują się chmury i deszcz zaczyna padać na ich głowy i mundury, deszcz, który sprawi, że błotnista ścieżka stanie się nie do przebycia.

Czekając na sygnał od Michaela, Rory szepcze do swojego radia, powtarzając ciągle to samo:

- Jeden, dwa, trzy, Michael, zgłoś się - i klnie, bo nie ma żadnej odpowiedzi.

- W każdym razie strzałów nie słychać - szepcze Duggan, kiedy tak czekają.

- Są inne sposoby zabicia człowieka, oprócz zastrzelenia go... Są noże - mówi Tobin.

- Musimy iść do góry - przerywa mu Rory.

- To cholerna głupota... Nie powinniśmy tego robić - protestuje Tobin i przystaje, jakby mógł odmówić pójścia.

- Jak mamy to zrobić?

- Powinniśmy mieć drużynę ludzi... Helikoptery.

- Nie mamy innego wyjścia i wiecie o tym - przerywa Rory i rusza naprzód.

W oddali rysuje się jakaś sylwetka, albo coś, co wygląda jak postać,

a co może być nawet drzewem, więc Rory określa jej położenie najlepiej jak potrafi, wycelowuje w nią swój karabin i posuwa się w tym kierunku, gotowy w razie potrzeby wystrzelić.

- Stój ! - Słychać bardzo niepewny głos Michaela.

- O kurwa mać, Michael! - odkrzykuje Rory ochryple. - Co się tam dzieje?

- Na szczycie góry tkwi jakiś szałas pasterski.

- Czy jest tam coś, co może nas osłonić?

- Jest tylko to, co widać.

- Pójdziesz pierwszy, Michaelu... Ja będę za tobą... Potem Tobin... A potem Duggan.

- Cholerna głupota w najczystszej postaci - odzywa się znowu Tobin.

Teraz zerwał się silny, zimny i mokry wiatr, miota deszczem prosto w ich twarze, w oczy, podczas gdy oni usiłują utrzymać równowagę na błotnistej stromej ścieżce, która staje się coraz bardziej śliska. Tu i tam sterczą z niej korzenie krzewów janowca.

- Urwista - mówi Duggan.

- Prostopadła - poprawia go Tobin i zatrzymuje się sapiąc.

- No, chodźcież - woła Rory. Porusza się tak szybko, jakby unosił się ponad ziemią w jakichś rytmicznych podskokach jak harcujący kucyk. Wykorzystuje żelazny zapas sił, który trzyma na takie chwile.

- Co to? - pyta Michael. Buszujący w paprociach wiatr wygląda jakby przesuwał się tam skulony człowiek albo jakieś zwierzę.

- Nic - mówi Rory i poklepuje chłopaka przyjaźnie, żeby go trochę popędzić, a wtedy z tyłu słyszy: „O Święty Mojżeszu!" Tobin właśnie się potknął i upadł.

- Pomóżcie mi... Pomóżcie mi - krzyczy Tobin.

- O kurwa... Jesteś na służbie... Życie ludzkie od tego zależy - mówi Rory, ale czeka, dopóki mężczyzna nie wstanie, żeby się upewnić, czy może chodzić.

- Potknąłem się.

- No to się nie potykaj - niecierpliwi się Rory i gna naprzód, żeby

dopędzić Michaela, w którym teraz gorliwość bierze górę, tak jak przed chwilą wzięło górę roztrzęsienie. Zatrzymuje ich i zbiera całą czwórkę pod jedynym rosnącym tutaj drzewem.

- Jeśli coś będzie nie w porządku... Umawiamy się tutaj.

- Być może nie będziemy w stanie wrócić w to miejsce - mówi Duggan rzeczowo.

- Umawiamy się tutaj - powtarza bezceremonialnie.

- To drzewo ma kolce... One przynoszą nieszczęście - szepcze Michael, ale prawie do siebie.

- Jeśli któryś z was usłyszy strzały i będzie sam, niech nie próbuje zgrywać bohatera... I nie wystrzelajcie się nawzajem - upomina ich, chcąc dodać kolegom trochę odwagi.

Kiedy się zbliżają do szałasu, Rory widzi czarną, wyłaniającą się z ciemności bryłę.

- Osłaniajcie nas - mówi, wysyłając ludzi na obie strony, podczas gdy on z Michaelem dalej posuwają się w górę, w takim napięciu, że prawie nie oddychają.

- Trzymaj się cały czas blisko mnie, Michaelu - szepcze.

Potem czekają, aż dwaj pozostali ludzie zajmą swoje pozycje i Rory dotykając ramienia Michaela, udziela mu ostatniej rady:

- Jeśli będziesz musiał strzelać, upewnij się, czy linia ognia jest wolna.

- Na szkoleniu uczyłem się tego tylko przez tydzień.

- Michaelu, nie myśl teraz o tym... Ruszamy do szałasu... Ja kładę się na ziemi... Ty idziesz naprzód... Ty kładziesz się na ziemi... Ja idę naprzód... Jeśli ktoś zacznie strzelać... Strzelaj do niego... Kiedy zbliżymy się do chaty na dwadzieścia stóp, ty się położysz i tak zostaniesz... Ja wejdę do niej... Sam.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien... Ty osłaniasz drzwi, a ja wchodzę do środka.

Rory kopniakiem otwiera drzwi i w świetle latarki Michaela widzi torfową podłogę, kawałek workowego materiału zasłaniającego

otwór w ścianie i młodego człowieka smacznie śpiącego pod tym prowizorycznym oknem.

Cassidy siada, trzymając się za rozporek, i myśli, że to McGreevy i że będzie musiał znaleźć jakąś wymówkę, dlaczego się zdrzemnął. Czując, że jakaś obca twarz pochyla się nad nim, sięga po karabin, ale w ciemności jakiś paraliżujący chwyt krępuje mu rękę.

- Wejdź do środka, Michaelu, szybko... szybko - krzyczy Rory i teraz już w pełnym świetle latarki widzi tęgiego, krzepkiego faceta z gęstą czupryną czarnych włosów.

- Gówno! - krzyczy rozczarowany, że to nie McGreevy.

- Kim jesteś... Co tutaj robisz... Do jakiej organizacji należysz? - pyta Rory.

- ***Ni Tuigim Bearla*** - odpowiada mężczyzna.

- O Jezu... Ktoś z bractwa Patricka Pearse'a - mówi Rory i prosi Michaela, żeby wykorzystał swoją znajomość irlandzkiego.

- Zbyt wiele nie umiem.

Cassidy zasypuje ich gradem patriotycznych haseł i wierszy, dając im do zrozumienia, że to on dochował wierności temu krajowi.

- ***Ni Fuinim, ni ta blasmaireact orainn U ar an Bas... On***

jego gramatyka, filologia i ta kryjówka na nic już mu się nie zdadzą.

- ***Bás no Onóir*** - krzyczy Cassidy, raz za razem ciskając im w twarz obelgi, a potem przez otwór pełniący rolę okna, wykrzykuje swoje hasło na zewnątrz, w kierunku mokrej i dzikiej okolicy.

- Co to znaczy?

- Śmierć albo chwała - tłumaczy Michael.

- Wyprowadź go... Załóż mu kajdanki... Duggan i ty zaprowadzicie go na dół, na posterunek, i dopilnujecie, żeby po drodze nie zamienił się w krasnoludka.

Kiedy Rory zostaje sam, przeszukuje szałas i w przeciągu tych kilku krótkich, pełnych napięcia sekund objawia mu się ich strategia: lornetka, stos kamieni, tam gdzie niedawno rozbijano ścianę, widok na ciągnącą się daleko nizinę, na nieprzerwaną, rozległą przestrzeń porośniętą wrzosami i paprociami, zbiegającą w dół, aż do jeziora o kilka mil poniżej.

- Jezioro jest ich celem... Cel znajduje się na jeziorze... - mówi sam do siebie i klepie się po piersiach, po czym woła Michaela. Musi przeszukać dom po domu i łódź po łodzi.

- Ja zejdę na dół z Dugganem... Ty zostań tutaj.

- Co znalazłeś?

- Jezioro jest ich celem.

- Skąd wiesz...

- Jutro ci powiem... Wyjdź na zewnątrz.

- Na zewnątrz?

- Tak... Obserwuj szałas z zewnątrz i miej światło przyciemnione, i nie wchodź więcej do środka.

- Dlaczego nie?

- Teraz jest tu najbardziej niebezpiecznie.

- Teraz?

- Tak, w momencie, gdy kopniakiem otworzyłem te drzwi, mogłem uruchomić pułapkę i w następnych kilku minutach cała ta malutka budowla może z dymem wylecieć w powietrze.

- O mój Boże! - dziwi się Michael i żegna się, kiedy pospiesznie wychodzą na zewnątrz.

- A więc on poszedł na dół, do cywilizacji, podczas gdy my ryzykujemy życie tu na górze, na tym odludziu - zastanawia się John.

- Jednak jest odważny - mówi Michael i przypomina sobie, jak Rory wszedł do środka bez lęku, bez przesadnego pośpiechu, cicho jak pantera. Michael nie przejmuje się teraz tym, że przemókł do suchej nitki, myśli, że ta noc i niebezpieczeństwo uczyniły go dzielniejszym. Nie jest już tym samym człowiekiem, który wszedł tutaj na górę, dygocącym, niemającym zielonego pojęcia o niczym, nawet o tym, jak działają pułapki.

- Jest odważny... Chciałbym być taki odważny - stwierdza, ale John nie odpowiada.

Pada deszcz i wieje wiatr, bryzgi deszczu lecą na głazy i na dwóch mężczyzn czekających przy drodze. Złowieszcze zawodzenie wiatru jest ostatnią rzeczą, którą Tommy chciałby usłyszeć. Na przemian czuje się lepki i wilgotny od potu, a potem zmarznięty. Następstwa. Szok. Nie może z powrotem wziąć swojej kurtki.

Gdy tylko przyjedzie karetka i ksiądz, wydostaną się stąd i zjadą do miasta napić się brandy.

- Wkrótce powinni tu być - odzywa się Ned, żeby coś powiedzieć i myśli, że chyba samochód księdza nie może przejechać z powodu zmiażdżonych pojazdów na drodze.

- Ciarki przechodzą od tego po grzbiecie - mówi Tommy. Zatrzymuje się co jakiś czas i nadsłuchuje.

- Wspaniale go trafiłeś.

- Szczęście. Czyste szczęście.

- Ta góra nie znała dotąd takiego ożywienia... Boże, to było przerażające... Ten grad pocisków...

- Dobrze się ukryli - stwierdza Tommy, wskazując jasne, nisko położone okienka domostw, porozrzucanych po całej górze, ich światła są wesołe i uroczyste, jakby to świąteczne świeczki promieniowały światłem na szaroczarnym posępnym masywie.

- Boże Narodzenie już blisko - przypomina sobie Ned.

- Przestań - mówi Tommy. Nie jest w stanie wybiec myślami poza to, co się wydarzyło i poza fakt, że oni dwaj chodzą tam i z powrotem, tamten zaś leży w rowie, a deszcz zdaje mu się udzielać ostatniego namaszczenia.

- Facet od którego dzwoniłem o mało mnie nie zjadł - mówi.

- Czy był cudzoziemcem?

- Nie - odpowiada Tommy z goryczą.

- Czy widziałeś kiedyś stężenie pośmiertne? - pyta Ned, myśląc, że może ciało zmarłego zamarza na mrozie.

- Zamknij się! - krzyczy Tommy i zaczyna biec, jakby mógł uciec od tego widoku i szaleństwa, które w nim wzbiera. Dlaczego z dwudziestu wezwanych policjantów musiał to zrobić właśnie on, który nigdy w życiu nikogo nie zabił.

- Wracaj, wracaj! - woła Ned, biegnąc za nim.

- Rozmawiaj ze mną o czymś innym, o czymkolwiek - prosi Tommy.

- W porządku - odpowiada Ned, lecz myśli: „Nie wiem, czym on się interesuje - psami, końmi, łowieniem ryb, czy kobietami". I nagle ku własnemu zaskoczeniu zaczyna recytować szkolny wiersz, a jego głos brzmi wysoko i nienaturalnie.

Jego kwiatu smukły kielich
Zostawili pod Glansneven * drżącą darnią
Jego dusza, jak zachodu słońca przepych
Odleciała ku Bogu martwych Fiannów **.

* Glansneven - cmentarz w Dublinie.

** Fianna - super młodzieńcy, opisywani w literaturze celtyckiej, wojownicy, nadludzie. Od nich wzięli nazwę skauci, którym przewodziła Constance Markievicz - Fianna Éireann (Żołnierze Irlandzcy) - rok założenia 1909 oraz partia założona przez Eamona de Valere w 1926 r. - Fianna Fail (Żołnierze Przeznaczenia).

Michaelu Collinsie, niech ci szczęście sprzyja
Gdzieś daleko odejdź albo zostań z nami
Albo zostań pośród ludu z bajek
Albo przybądź do nas kiedyś wraz z duchami.

- ***Beal na blát*** - Kwieciste Usta - wyjaśnia.
- Kwieciste Usta - powtarza Tommy i zastanawia się, jakie to były kwiaty. Może bagienne lilie, żółte i niebieskie bagienne lilie.
- Wkrótce o tym też powstanie wiersz - mówi Ned.
- O Jezu! - jęczy Tommy i otwiera usta szeroko, jakby zamierzał krzyczeć, ale wydobywają się z nich tylko słowa ciche, poważne i pełne udręki. - Nie... Nie czuję się dobrze i już nigdy nie będę się dobrze czuł. - Przechodząc obok ciała zabitego, zrywa z niego kurtkę i patrząc na rysy twarzy, zastygłe w wiecznym śnie, mówi łamiącym się szeptem, jakby mieli go słyszeć tylko oni trzej: - Połowa mnie ma nadzieję, że go trafiłem, a ta druga, że nie - potem kładzie kurtkę z powrotem, krople deszczu spadając na nią, wydają smutne odgłosy, jak łagodnie modulowane dźwięki pogrzebowych dzwonów.
- Wiem... Czułbym się tak samo... W głębi duszy wszyscy jesteśmy Irlandczykami - przyznaje cicho Ned.
- Mówią, że coś takiego człowieka wykańcza... Jak narkotyki... Pijaństwo... Rozwód.
- Zdaje się, że słyszę księdza - przerywa mu Ned i idzie w kierunku zakrętu, gdzie zatrzymał się jakiś samochód.
- Ojcze... - Tommy odzywa się pierwszy, z nadzieją, że dostanie rozgrzeszenie. Ksiądz jest starszym mężczyzną, wiatr łopocze jego sutanną i unosi serwetę, która nakrywa kielich ze świętymi olejami.
- Gdzie są zwłoki? - pyta szorstko.
- Tutaj.
- Ten kraj sam siebie wyniszcza.

Tommy nie jest pewien, co ksiądz miał na myśli ani też do kogo

się zwracał, czy do siebie samego, czy do tego kształtu, żałośnie i niewinnie rozciągniętego w podmokłym rowie.

- Będę potrzebował trochę światła.

- Nie mamy światła... Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego - mówi cierpko Tommy. Musiało im wystarczyć migotanie zapałek krzesanych jedna po drugiej. Wilgoć tak szybko tłumiła płomień, że nie musiał przyglądać się twarzy namaszczanej świętymi olejami. Nigdy dokładnie nie zobaczy tej twarzy, nie widział jej, kiedy w ogniu krzyżowym nawzajem próbowali się zabić, i nie widzi jej teraz. Pomruk łacińskich modlitw wydaje się taki niestosowny w przypadku człowieka, o śmierci którego jego bliscy ciągle nic nie wiedzą. Kim oni są? Komu będzie go brakowało? Kto go pochowa?

Kiedy szli drogą w kierunku swojego samochodu, mocno uchwycił Neda. Jakaś postać wyłoniła się z zarośli, a potem powoli zbliżała się do niego, i przez chwilę myślał, że jest to jeden z nich, że przyszedł się zemścić. Zanim zdążył się zastanowić, postać złapała go za rękę, ścisnęła ją i powiedziała: „Jestem z ciebie dumny... Jestem dumny z tego, co dziś w nocy zrobiłeś dla Irlandii", a potem zniknęła w ciemności. Ten człowiek był duchem albo zjawą, która przybyła, żeby dodać im otuchy.

- Jak myślisz, kto to? - zapytał Tommy.

- Jakiś pasterz... Niesamowite.

- Nieraz słyszałem, że tę część hrabstwa zamieszkują moce ciemności.

- Duchy i takie rzeczy.

- I my mieliśmy szczęście natknąć się na nie.

- Nie powinniśmy tracić ze sobą kontaktu, Tommy - mówi Ned.

- O tak - odpowiada Tommy.

Może się tylko domyślać, jakie kłopoty i jaka izolacja czekają go w przyszłości. Zniszczone życie rodzinne, zimne poty w nocy i telefony: „Wiemy, kim jesteś i dopadniemy cię". Zapewne tak będzie.

- Słyszałaś to? - pyta samą siebie. To zły wiatr niosący ostrzeżenie, wiatr sprowadzony przez Furie. Miota się po całym domu, po każdym gwałtownym podmuchu następuje kolejny, a jego wycie zwiastuje zniszczenie. Wszystko klekocze na podwórku - wiadro, kawałek oberwanej rynny i nadstawka kominowa, wszystko to porwane do brzucha wiatru.

- Tak - odpowiada na pukanie do drzwi. Nikt nie wchodzi. Zagląda do korytarza, gdzie na bambusowym stoliku stoją sztuczne, herbaciane róże i Dzieciątko Jezus z Pragi, łącząc się w drżeniu.

- Mac - woła, ale on się nie odzywa. Wygląda więc przez okno na półpiętrze i wydaje się jej, że coś z potężną siłą wyrwie cedr z korzeniami. Drzewo upadnie na dom i uszkodzi go, choć, jak wierzył jej mąż, miało strzec domostwa. Wierzchołki wiecznie zielonych drzew toczą ze sobą boje, a potem zwierają się we wzajemnym kurczowym uścisku. Gdzie jest teraz McGreevy? Ile jeszcze pól przemierzy, zanim go dopadną. Chciałaby widzieć, jak on już na wieki wieków idzie w ciemności nocy, mokrej, wietrznej, obślizgłej nocy, ponieważ w ten sposób nikt nie mógłby go skrzywdzić ani on nie mógłby nikogo skrzywdzić.

Siedząc na łóżku przy zapalonym świetle, myśli, że szybki w ramie okiennej znowu się obluzują. Obserwuje, jak każda z nich kołysze się na wietrze i zastanawia się, która z dwunastu ręcznie dmuchanych, zabarwionych na agrestowo tafelek szkła, ustąpi pierwsza. Okno wychodzące na północ lepiej opiera się uderzeniom wiatru. Josie dzieli swój czas pomiędzy dwa okna, uważnie je obserwując.

Drzwi otwierają się gwałtownie, więc myśląc, że tym razem przyszedł, owija się kołdrą i idzie go przywitać. Właśnie w chwili, gdy wypowiada jego imię, gasną światła i teraz zarówno ciemność, jak i wahanie każą jej pospiesznie przeszukać dom. W korytarzu, kiedy osłania płomyk świecy, własna ręka wydaje jej się niezmiernie duża i niezdarna jak ręka mężczyzny. Pokój, który zajmował McGreevy, jest

tak samo pusty jak kilka godzin temu, pokój, w którym straszy, a jednak pozostała w nim gdzieś jego obecność.

Z oczu leją jej się łzy - pielęgniarka mówiła, że ma pozwolić im płynąć. Kiedy siedzi na jego łóżku, myśli, że powinien zostawić karteczkę z pożegnaniem u Creeny. Nieustannie przypomina go sobie, szczególnie ręce, wielokrotnie myte, różowe na tle piaskowego koloru twarzy, kiedy uniósł je, żeby zebrać myśli i odpowiedzieć na jedno z jej pytań, albo ukryć się przed nią. Co do jednej rzeczy podjęła decyzję. Odda ten dom w ręce młodych ludzi, przeznaczy na schronisko młodzieżowe dla turystów. Czy to on sprawił, że postanowiła tak zrobić, czy ta noc? To nie noc.

Słyszy odgłos jego kroków, potem dostrzega kurtkę i jego osłupiałą twarz.

- Wystraszyłem cię? - pyta.
- Myślałam, że... że...
- To wstrząsająca noc.
- Ale wróciłeś.
- Za dwa czy trzy dni już mnie nie będzie.
- Przeraziłam się... Zaczęłam sobie wyobrażać różne rzeczy... Przeróżne - wzdycha Josie, ale postanawia nie mówić mu, że wróciła do chaty, żeby wypytywać o jego posunięcia.
- Chyba złapałem zapalenie płuc.
- Zrobię ci coś gorącego do picia.
- Nie, pójdę spać. Prześpię to.
- Creena i jej matka były bardzo miłe.
- Są miłe.
- Powiedziały mi... Coś na temat twojego... Życia... Że straciłeś żonę.
- Straciłem.
- Że ją zastrzelono.
- Zastrzelono.
- I że dziecko, które karmiła piersią, kurczowo przywarło do jej bransoletki.
- Przywarło.

- Czy to wtedy wpadłeś w panikę?
- Nie - mówi, a potem na przekór samemu sobie opowiada o tym, jak spał w celi, a naczelnik więzienia i strażnicy nie mogli go obudzić, jak opisali mu całe zdarzenie, a on im nie uwierzył, sądził, że to jedno z ich kłamstw, i jak poprosił, żeby przynieśli mu radio i potem usłyszał w wiadomościach o szóstej rano, po sygnale czasu, że jego żona, lat trzydzieści, została zabita przez dwóch zamaskowanych mężczyzn.
- Dobry Boże, to okropne!
- Tak... Ale to, co naprawdę się liczy, to jakość życia - mówi cicho.
- Dlaczego myślałeś, że wtedy w więzieniu kłamali?
- Zawsze cię sprawdzają... Zawsze próbują cię złamać... To był ich zamiar.

Wyciąga rękę, jakby chciała go dotknąć, tylko ten jeden raz, a on, widząc to, przesuwa się, potem odwraca tyłem i wyjmuje papierosa. Wszystko go denerwuje, płynne granice między nocą a dniem, Brennan ze swoim gadaniem w stylu przedsiębiorcy pogrzebowego, burza, a teraz ta dygocąca kobieta i jej pytania.

- A potem straciłeś swoją małą córeczkę?
- Tak.
- Jak się nazywała?
- Kitty - wypowiada jej imię niezdecydowanie, jakby niechętnie przyznawał sobie prawo do tego.
- Zeszłam tu na dół... Byłam... Byłam niespokojna... Ta burza, ten młody człowiek, którego do mnie przysłałeś i ten pusty dom - mówi Josie, ciągle mając nadzieję, że się do niej odwróci.
- W tym domu są dobre duchy.
- Mam nadzieję, że tak. Na co umarła twoja mała córeczka?
- Serce nie wytrzymało.
- Byłeś przy niej?
- Nie... Była z krewną.
- Czy byłeś dobrym ojcem?
- Mam nadzieję, że tak - odpowiada i zasłania oczy rękoma,

jakby chciał powiedzieć, żeby nie zadawała mu takich pytań, aby nie wyważała drzwi, których sam nie zauważył, a które pewnego dnia będzie musiał dostrzec i stanąć po którejś ich stronie.

- Za dwa albo trzy dni już mnie nie będzie - powtarza jeszcze raz, żeby ją uciszyć. Ale to jej nie satysfakcjonuje. Skąd się wzięło to drżenie, czemu tak trudno mu mówić? Gdzie był? Czy

obramowaniu kominka, duży pokój wypełnia bożonarodzeniowa atmosfera, a pledy tylko czekają, żeby położyli je sobie na kolanach.

Dwa razy w ciągu dnia pukała, zostawiwszy mu herbatę i coś do jedzenia, a za trzecim razem zajrzała do środka i zobaczyła go takiego, jak jeszcze nigdy: bezbronnego, mruczącego coś pod nosem i słabego. Zrobił sobie legowisko w szafce na buty i leżał pod półką, zgięty we dwoje, otoczony ze wszystkich stron przez buty i pleśń. Po zapadnięciu zmroku poprosiła go, żeby wyszedł.

- Jest bardzo spokojnie - mówi Cormac i zastanawia się, że dziura w ziemi nakryta u góry krzakami i gałęziami dzikiej róży, mokry głaz narzutowy jako miejsce do siedzenia i osiem lub dziewięć godzin obserwacji, które mają przed sobą, to nie jest najwspanialszy sposób spędzenia zimowej nocy.

- Piękny księżyc - dodaje trochę później. W jego przełożonym Matcie, jest coś takiego, co każe Cormacowi wygadywać takie bzdury. Księżyc wcale im nie pomaga. Potrzebują ciemności, żeby mieli wyraźniejszy obraz tego, co dzieje się w domu.

- Wypchaj się tym księżycem - burczy Matt i ustawia teleskop w takiej pozycji, żeby mógł patrzeć bez konieczności ponownego przesuwania go. Ostrzega, żeby nie dotykać bez potrzeby urządzenia, gdyż jak każdy przedmiot może człowieka zawieść.

- To dobre szkła - mówi Cormac, mając wielką ochotę dotknąć teleskopu. Matt odchyla się do tyłu, pozwalając koledze popatrzeć w teleskop, żeby się połapał, jak to działa. Cormac widzi tylko nieco zamazany pokój, jakby patrzył przez przycisk do papieru, w którym wirują sztuczne płatki śniegu, tylko że teraz płatki są zielone, wszystko jest zielone.

- Sądzisz, że on tam jest? - pyta Cormac szeptem.

- Trudno się tu czegoś domyślać.

- Chyba nie byłby tak szalony, żeby wrócić w to miejsce.

- Szaleńcy robią szalone rzeczy - mówi Matt.

- Dlaczego wszystko jest zielone - zastanawia się Cormac.

- Wyłącz to cholerstwo... Nie ma sensu marnować baterii... Będziemy jej potrzebować.

- Myślisz, że będziemy?

- Jak Bóg da.

Siedzą obok siebie, Matt rozpycha się łokciami, jakby to były wiosła, układa się i znowu zmienia pozycję, żeby mieć tyle miejsca, ile mu potrzeba i żeby mu było wygodnie. Młodzi chłopcy muszą nauczyć się iść innym na rękę i kurczyć się w ciasnych pomieszczeniach.

- Mówią, że jest bardzo spokojnym człowiekiem... Strażnik więzienny powiedział w jednym z wywiadów, że był wzorowym więźniem... Nie sprawiał żadnych kłopotów... Naprawiał innym ubrania, przyszywał guziki i łatał dżinsy...

- Tak, zorganizował też wyłączenie prądu w całym mieście. Dostarczyli mu wtedy do więzienia materiały wybuchowe w koparce, żeby mógł uciec.

- I co się stało?

- Co się stało! Złapano go w ciemności.

- Pewna nauczycielka szalała na jego punkcie.

- Czy mógłbyś skończyć tę cholerną paplaninę?

- Przepraszam.

W ciemności słyszą pasące się krowy, to łagodne, miarowe skubanie trawy i czasami jakieś sapnięcie albo jęk.

- Przepraszam, Matt - mówi Cormac po chwili, która wydaje się wiekiem. Lubi tego człowieka i chce, żeby on go lubił, wie, że wybrano go do tej roboty tylko dlatego, że Eamona zmogła grypa.

- Aa, to przeze mnie... Zawsze jestem bardzo napięty podczas takiej roboty - tłumaczy się Matt i w ramach rekompensaty wskazuje na butelkę zupy i zaprasza burkliwie: - Pociągnij sobie łyka.

- Eamon byłby lepszy - mówi Cormac chytrze.

- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że wolałbyś tu teraz nie siedzieć?

- Nie wiem.

- Dalej... Przyznaj się... Lubisz to zamieszanie.

- Przypuszczam, że tak... ale znam facetów, którzy wolą raczej siedzieć w pokoju i uczyć się, wkuwać.

- Jakbym ja nie znał ich doskonale... Idioci... Awansują w jednej chwili... Zemdleliby na takiej robocie... W ogóle by się do niej nie nadawali... Są tylko workami teorii... Ustawa o Ruchu Drogowym i Bóg wie jeszcze jakie inne Ustawy... Znają je na pamięć. Tak jak rozmaite rodzaje dowodów poszlakowych, charakterystyczne cechy kleptomanów, pytania, które należy zadać, kiedy jest zgłoszenie o bombie - kiedy ta bomba ma wybuchnąć, gdzie teraz jest, jak wygląda, jakiego jest typu, cholerne bzdury.

- Jesteś monterem - mówi Cormac i myśli, że atmosfera się poprawia i że spróbuje tej zupy.

- Potem, oczywiście, wymieniają cechy głosu osoby przekazującej zgłoszenie - czy jest spokojny, nosowy, gniewny, podniecony, zgrzytliwy, skrzypiący, wyraźny, niewyraźny i tak dalej, podczas gdy tak naprawdę trzeba tylko dotrzeć tam i złapać tych zboczeńców, a dopiero potem dowiadywać się, jakie, mają głosy.

- Jednak i tak ci, co się dużo uczą, awansują.

- Jasne, że tak. Ale gdybyś postawił ich na pierwszej linii, nie wykonaliby zadania... Żadnych zdolności... Absolutnie żadnych.

- Zawsze obawiam się, że zawiodę.

- Eeee tam... Ty masz w sobie, tę odwagę, Cormac.

- Dziękuję. Dziękuję, Matt. Ciekawe, czy on jest takim straceńcem jak mówią.

- No cóż, nie jest Świętym Mikołajem.

- Miałem dziewczynę z Północy, która widziała okropne rzeczy... Była w samochodzie z facetem, wybierali się na tańce, kiedy ich zatrzymali, jego ciągnęli za włosy, na wpół go wywlekli przez okno... Potem wyprowadzili z samochodu, skopali, pobili i zostawili na pewną śmierć. Gdy następnego dnia wróciła tam, żeby zgłosić to na

policji, powiedziano jej, że o tej godzinie w nocy nie było żadnego samochodu patrolowego na tej drodze.

- Och, tam jest otwarta wojna, a na wpół otwarta wojna tutaj - mówi Matt, po czym odkręca butelkę i nalewa zupy do plastikowego kubka.
- Pij pierwszy.
- Dalej, nie certuj się... Zmarzłeś na kość.. Cały się trzęsiesz.
- A tobie nie zimno?
- Ta kurtka jest jak inkubator.
- Właśnie ją podziwiałem.
- Wiesz, ile kosztowała? Trzysta funciaków.
- O Boże!
- Dostaniesz taką, kiedy odsłużysz ze dwadzieścia lat.
- Jest zielona czy czarna? - pyta Cormac, dotykając jej.
- Zielona, żeby zlewała się z drzewami.
- Ciepła?
- Strasznie gorąca... W moim wieku nie zamierzam moczyć sobie tyłka.
- Rozsądnie - mówi Cormac i chwali zupę, zanim zdążył jej dotknąć.
- Jesteś głodny?
- Zawsze jestem głodny. Niedawno w hotelu jadłem mięso z jagnięcia w sosie prowansalskim.
- Co tam robiłeś?
- Byłem na pokazie mody.
- Coś podobnego.
- Sałatę przybrali sosem malinowym, a krem z mleka i jaj był na wierzchu przypalony... Specjalnie. Czy twoja żona dobrze gotuje?
- Dobre, proste potrawy.
- To rozumiem.
- Cormac, jesteś sympatycznym chłopakiem, ale czasami myślę, że brakuje ci piątej klepki, co do cholery robiłeś na pokazie mody?

- Siostra mnie namówiła... Chciała, żeby konferansjer był zazdrosny.

- Jezu, nie czułem nic takiego od lat.

- Jest teraz w Niemczech... Wyszła za mąż za Anglika... Za żołnierza... Moi rodzice byli źli... Nic nie mówili, ale nie śmiali się podczas wesela ani nie uśmiechali się na grupowym zdjęciu.

- Gorzej byłoby, gdyby wyszła za mąż za jednego z tych maniaków, których teraz śledzimy - mówi Matt i gestem daje Cormacowi do zrozumienia, że czas popatrzeć przez teleskop.

Cormac dostrzega jakąś plamę jak mydliny, a potem w polu widzenia pojawia się postać.

- Widzę kogoś.

- Dalej.

- Postać ludzką... Poruszającą się postać ludzką.

- Ty głupku... Dwie ręce... Dwie nogi i głowę - mówi Matt i odpycha go na bok. Kobieta, z rozplecionymi włosami, stawia lampę na stole, po czym idzie przez pokój, żeby zasunąć żaluzje. Matt klnie, ale za chwilę oddycha z ulgą, ponieważ zaciągnęła je tylko do połowy. Kobieta siedzi w niskim fotelu w dziwnej pozycji i wygląda tak, jakby oczekiwała na wieści od Archanioła Gabriela.

- Zdaje się, że będzie miała towarzystwo - zaciera ręce Matt.

- Mogę spojrzeć - prosi Cormac, drżąc na samą myśl, że coś mają.

- No cóż, przynajmniej nie jest związana - mówi, zahipnotyzowany tym, że tak wyraźnie może rozróżnić szczegóły w pokoju.

- Nie jest związana, bo dobrowolnie bierze udział w przestępstwie.

- Dziwne.

- To nie jest dziwne... To makabryczne - protestuje Matt i usiłuje zobaczyć, czy jest tam coś więcej.

- Ale gdybyś był z nimi w 1916 roku*, teraz trzymałbyś z nimi.

* 1916 r. - w tym roku (24.04.1916) wybuchło powstanie, zwane dublińskim lub wielkanocnym, zorganizowane przez Ochotników Irlandzkich (ang. Irish Volunteers), przywódcy którego proklamowali niepodległość i utworzyli rząd tymczasowy. Zostało krwawo stłumione _przez władze brytyjskie (30.04.1916).

- Teraz jest inaczej... Teraz to zupełnie inna sprawa... Ci faceci nie mają sumienia, nie mają ideałów tylko jedną odezwę, pieniądze, karabiny i morderstwa. Pieniądze i karabiny.

- Tak czy inaczej, to bardzo smutne.

- To potworne. Pomyśl tylko o zabitych, okaleczonych, o rozbitych rodzinach, wypalonych domach... O sobie, o mnie i tych wszystkich chłopcach, którzy tutaj narażają życie... Pomyśl o tym.

- Jednak ci, co brali udział w strajku głodowym **, przeżyli ciężkie chwile... Sam papież do nich napisał.

** strajk głodowy - irlandzcy więźniowie polityczni wielokrotnie w historii umierali podczas strajków głodowych w angielskich więzieniach, na przykład Thomas Ashe, skazany za udział w akcji wywrotowej w 1918 r., Terence Mac Swiney, burmistrz Corcaigh, w 1920 r., czy 10 członków IRA walczących o status więźnia politycznego w 1981 r.

- To źli ludzie, Cormac... Źli ludzie... - przekonuje go Matt, odgryzając ogromny kęs kanapki, a potem drugi zachłanny kęs, zanim przeżuł ten pierwszy.

- Myślisz, że to kiedykolwiek wygaśnie?

- Jedna tylko rzecz uciszy tych awanturników, a mianowicie, gdy zwyczajni ludzi powiedzą: „Dość”... Wciągają do tego zwyczajnych ludzi.... Strachem... Groźbą... A oni ulegają terrorowi robactwa.

Cormac buntuje się przeciw temu słowu. W jego domu, w Kerry, jest złotozielony obraz przedstawiający bohaterów z 1916 roku, widzi go teraz przed oczami, pożółkły od ognia, trochę czarny od dymu, i przypomina sobie jak w dzieciństwie podnoszono go do góry i kazano mu recytować listę powstańców i chwalono go za to.

- O Jezu... On jest w pokoju... Wiedziałem... Chłopcy mówili mi, że poszedł w góry... A on jest w tym pokoju... Kurwa, jest w tym pokoju - gorączkuje się Matt, a ograniczona przestrzeń pieca do wypalania wapna i jego mundur są zbyt duszne, kiedy chwyta radiotelefon i mówi, szybko wyrzucając słowa, a ton jego głosu jest czymś pośrednim między mową i śpiewem.

- Tango, raz, dwa, trzy, odbiór...! - wykrzykuje.

- Chcę go zobaczyć - mówi Cormac i unosi się tak, żeby mógł spojrzeć na tę legendę, na tego Cúchulainna. Widzi mężczyznę niższego od siebie - stoi na środku pokoju, w koszulce z krótkim rękawem, niepewny wśród otaczających go wspaniałości.

Najpierw odmawia drinka, mówi, że to wbrew regulaminowi i ustępuje dopiero wtedy, gdy Josie nakłania go, mówiąc, że samotne picie przynosi jej nieszczęście. To tylko niewinny drink, goździki zalane gorącą wodą z odrobiną porto. Szklanki parzą ich w dłonie, trudno je utrzymać. On dmucha na swoją, ale ciągle patrzy na nią, tym swoim chłopięcym, pytającym spojrzeniem, żeby upewnić się, czy przypadkiem nie jest to niestosowne. Josie zerka na jego biodro. Nie ma pistoletu. Bezbronny, myśli. Jego ciało, któremu nigdy przedtem nie przyglądała się uważnie, jest chude, mężczyzna sprawia wrażenie niedożywionego. Siedzi w fotelu wyprostowana jak strzała i ma nadzieję, że on też usiądzie. Szyję owinął szalikiem z powodu bólu gardła, jednym z jej szalików, kremowym z czarnymi frędzlami, który znalazł pod schodami. Ciepły i słodki napój pije się łatwo, ale uderza szybko do głowy, wzbudzając w niej coś w rodzaju brawury.

- Rozniecіłam ogień i zapaliłam lampę, bo jest to znowu mój dom... Odszedłeś - mówi.

- Nie powinienem tu wracać - odpowiada poważnie i wspomina o kaszlu, który go zatrzymał.

- Wyobraź sobie, że była tutaj przez te wszystkie lata - mówi Josie, unosząc do góry butelkę porto, szaroczarną od pleśni i oplecioną grubą, lepką warstwą pajęczyny.

- Gdzie była?

- Bóg jeden wie... Chowałam alkohol przed mężem - przyznaje Josie z żalem.

- Czy James dużo pił? - pyta McGreevy, a potem, wznosząc jakiś niesłyszalny toast, pociąga pierwszy łyk.

- Pił dużo i nie umiał pić - odpowiada i potrząsając głową, jeszcze raz przypomina sobie wszystkie te ich bezsensowne lata.

- Widziałem to... byłem w takich domach, gdzie kobieta cieszyła się, że przyszedłem... To powstrzymywało męża przed wyrządzaniem jej krzywdy.

- Wracasz do tych domów?

- Do niektórych.

- Do tych kobiet?

Przez chwilę wygląda na obrażonego, po czym potrząsa głową i mówi:

- Nie, nic z tych rzeczy...

- Nigdy?

- Widzisz, ja ciągle myślę o żonie... Ona jest... - zaczyna ale nie znajduje w sobie dość siły, żeby mówić dalej. Patrzy tylko gdzieś w siebie.

- Skąd znasz imię mojego męża? - pyta Josie, a on przez chwilę czuje się zakłopotany, cienkie, kształtne linie na jego czole tworzą delikatną siateczkę, jakby były draśnięte nożem.

- Młody chłopak... Przybył gdzieś stąd... Padraig... On mi powiedział, że ty i twój mąż zostaliście zabici.

- Padraig?

- Paud... Przedostał się na Północ... Rudawe włosy... Pobudliwy... Był kiedyś w tym samym domu, co ja... Bardzo dobrze opisał twój dom... Nawet ten pokój... Powiedział, że go adoptowałaś... Byłaś jego drugą matką... Nazywał cię Cliadhna, Królowa Wróżek z Munsteru... Uwielbiał cię.

- On wszystko rozumiał opacznie.
- Ale serce miał na swoim miejscu.
- A gdzie jest twoje? - pyta Josie obcesowo.
- W kraju... Żeby być w kraju, na północy... Żeby tam wrócić.
- Nie możesz wrócić do kraju?
- Nie - mówi bezbarwnym głosem.
- Co tam jest...?
- Wszystkie groby... Ojca, żony, dziecka, brata... Wszystko jest tam.
- Więc zostałeś zupełnie sam.
- Przyzwyczaiłem się do tego. - Nagle zaczyna gwizdać. Gwiżdże długo, nieprzerwanie jakąś bogatą porywającą i żałosną melodię, którą Josie niejasno rozpoznaje.
- Jak to się nazywa? - pyta i lekko pochyla głowę na znak wdzięczności.
- „Święta Ziemia".

Przez bezkresne, słone morza pożeglujesz
Lecz na pewno poprzez morskie odmęty
Wrócisz ujrzeć znowu tych, których miłujesz
I raz jeszcze ujrzeć Ziemię swą Świętą.

- Mógłbyś rzucić to wszystko... I prowadzić normalne życie.
- Wiem o tym - mówi i przerywa, jakby po to, żeby pomyśleć o tych dwóch różnych formach swojego istnienia, pola, stodoły i karabiny, albo wnętrze domu, bezpieczne wnętrze.
- Zjedz coś - proponuje Josie, popychając talerz kanapek do przodu.
- Tysięczne dzięki - odpowiada, ale nawet ich nie dotyka.
- Jesz jak ptaszek.
- Głód jest jedną z ostatnich rzeczy, które się odczuwa.
- A co jest jedną z pierwszych?

- Wytrącasz mnie z równowagi - mówi Mcgreevy, ale nie odpowiada na pytanie. Potem, nie spuszczając z niej oczu, dodaje: - Nie myśl, że nie podobałoby mi się coś takiego... Ciepło, jedzenie i towarzystwo... Podoba mi się tutaj, teraz... Często w nocy przechodziłem obok jakiegoś domu, zaglądałem do środka i żałowałem, że nie mogę tam być.

- Czujesz nienawiść?

- Nie nazwałbym tego nienawiścią. Ale żołnierze brytyjscy chodzą po naszych ulicach, a to jest niesprawiedliwe... Możesz mówić, co chcesz, ale to jest niesłuszne... Jak myślisz, co by się stało, gdyby żołnierze irlandzcy patrolowali ich ulice i hrabstwa?

- Co to? - zaniepokoili się jednocześnie. McGreevy zrywa się z prędkością błyskawicy, chwyta ją i ciągnie w kierunku podłogi. Słyszą znowu skrzypienie otwieranej klamki od okna.

- Będą strzelać czy każą wyjść z domu? - szepcze Josie.

- Nic ci się nie stało? - pyta McGreevy i przytrzymuje ją gołymi, silnymi i prężnymi ramionami. Oddech ma lekki i świeży.

Z gipsowego gzymsu wylatują dwie osy, brzęcząc i goniąc się nawzajem w zwariowanym, na wpół sennym szaleństwie.

- Och, ale z nas głupcy - mówi Josie, lecz przez chwilę pozostaje w jego uścisku, w zasięgu jego pomruku.

- O Boże, Matt - mówi Cormac, zmieszany.

- Co?

- On jej dotyka.

- Co? Gdzie?

Teraz obaj walczą o korzystną pozycję, odpychając się nawzajem na bok, żeby przelotnie spojrzeć w teleskop, żeby móc upewnić się, że tamci leżą na ziemi, stara kobieta i ten mężczyzna, który ma właśnie popełnić groźny i przerażający czyn, w ostatniej chwili zabawia się z kobietą.

- O do licha... O do licha - powtarza Matt, widząc, jak przewracają się na podłogę i mężczyzna obejmuje ją ramionami.

- Chcę to zobaczyć - mówi Cormac, obrażony, że został odepchnięty.

- Jesteś żonaty?

- Mam dziewczynę.

- Rozumiesz, o co cię pytam... Jesteś żonaty?

- Coś w tym rodzaju - odpowiada Cormac i nuci piosenkę o tym, że ptaszki to robią, pszczółki to robią.

- To odrażające - otrząsa się Matt i w niepohamowanym gniewie wali w urządzenie ręką.

- To jakiś cholerny amant - mówi Cormac, wciskając nos, żeby jeszcze raz na to spojrzeć.

- To orgia... Orgia - emocjonuje się Matt i obaj patrzą razem, jak dwa ciała podnoszą się, a potem pląsają po pokoju, spotykając się i przekomarzając jak kochankowie.

- Przygotuj się - rozkazuje Matt, pozbywając się ciężkiej, ograniczającej ruchy kurtki i przeciąga się, żeby rozruszać ścierpniętą nogę.

- Co zrobimy, Matt?

- Wystrzelasz wszystkie naboje... To właśnie zrobisz, za to ci płacą - mówi, wyciągając rewolwer z futerału, a wolną ręką odrzuca dach z gałęzi i krzaków dzikich róż, który maskował ich kryjówkę.

- Lepiej je wypuśćmy - proponuje McGreevy i skręcając kawałek gazety goni osy, a one szybują w dół, potem znów do góry, kreśląc smugi w powietrzu, znikają w gipsowych ślimacznicach i girlandach gzymsu, skacząc i wirując w gwałtownym oburzeniu, już są w jednej linii z otwartym oknem, ale uciekają od zimna, potem giną mu z oczu, więc on ostro rusza do przodu, nurkując i podskakując bez sensu, przez cały czas złorzecząc im i swojej własnej nieudolności.

- Kiedyś użądliło mnie z kilkadziesiąt pszczół - mówi.

- Gdzie to było?

- W West Meath. Zdarzenie to, opowiedziane w ten sposób, mogło dotyczyć jakiegokolwiek mężczyzny, który wyszedł z domu wieczorem, na tańce albo partyjkę kart.

Zimne powietrze orzeźwiło ich. Samo to, że byli tacy zaniepokojeni, wystraszeni sprawiło, że nagle stali się rozmowni. Teraz łatwiej im wypowiadać myśli:

- Czy kiedy straciłeś żonę, to był ten moment, gdy wpadłeś w panikę?

- Nie... To było wtedy, kiedy w kajdankach przyprowadzono mnie, żebym zobaczył moją Kitty... Najpierw przetrząsnęli trumnę i ubranko dziecka w poszukiwaniu materiałów wybuchowych, a potem pozwolili mi zajrzeć do środka i pożegnać się z żoną, ale nie mogłem. Zastanawiałem się, że jeśli tak chcą mi okazać swoje współczucie, to muszą wymyślić coś lepszego.

- Czy żona i córka były dla ciebie najbliższe?

- O, nie... Widzisz, matka... - i w czułości tego wyznania przelotnie dostrzega tę tajemniczą istotę, która go ukształtowała.

- Ile lat byłeś w więzieniu?

- Piętnaście, prawie szesnaście... Na razie.

- Irlandia, którą ścigasz, jest tylko marzeniem... Już nie istnieje... Odeszła... „Jest w grobie z O'Learym*".

- Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby żyć tak jak ja, a mimo to jestem przy zdrowych zmysłach - mówi Mcgreevy. Jest w nim coś upartego, młodego, samotnego i delikatnego, kiedy patrzy na nią z uśmiechem, jakby istniało coś, co szczególnie chciałby powiedzieć. Co to było?

* O'Leary, John - jeden z przywódców Fenian, założyciel gazety „Irish People" (listopad 1863 r.), aresztowany i skazany na długoletnie wiezienie za wywrotowy charakter tej gazety (1865 r.)

Olej w lampie prawie się wyczerpał, kawałek galaretowatej piany przylgnął do szklanego dna, a Josie myśli, że światło zaraz zgaśnie. Teraz musi go o to poprosić.

- Nie odchodź przed świtem.
- Dlaczego?
- Proszę cię.
- Nie proś mnie - ton jego głosu jest teraz szorstki, oczy nieobecne, wyziera z nich samotność, kiedy myśli, że jego robota i ucieczka są niepokojąco pełne ryzyka i niepewności.
- Boję się, Ger.
- O nic mnie nie proś.
- Niemożliwe, żeby ktoś zbliżył się do ciebie... Choćby nie wiem jak bardzo się starał.
- Może nie... Nie mamy nikogo, prócz siebie samych - jego głos jest teraz cichy, pełen smutku i melancholii, jak głos samotnego kapłana. Wydaje jej się, że dreszcz, który ją przeszedł, odrywa się od niej, dociera do niego i powraca jeszcze bardziej przenikliwy.
- Zimno ci? - pyta McGreevy.
- To nie zimno - mówi Josie odchodząc.

Usłyszała łańcuchy na schodach, usłyszała je, choć wcale nie wytężała słuchu, dotarł do niej ten cichy szczęk i brzęk, który nagle rozległ się w lodowatym powietrzu.

Śmierć już weszła, z takim odgłosem, jakby czarną gwiazdę, miękką, czarną gwiazdę wlokła do góry po schodach na swoich żelaznych łydkach.

Josie siedzi w sypialni i obcina włosy. Nożyczki są zupełnie tępe, a ona tnie pospiesznie i na chybił trafił. Siwoczarne kosmyki spadają na łóżko. Wyglądają tak, jakby należały do kogoś innego, do jakiegoś przodka, do jednego z tych dziwacznych i ckliwych ludzi, od których zawsze starała się uciec.

Tnie i tnie, palcami drugiej ręki łapie wielkie, nieregularne pukle, chwyta je nożyczkami, odcina, a następnie powierza je łóżku.

Z początku nie zadaje sobie pytania, dlaczego to robi, choć wie. Chodzi o coś, co powiedział McGreevy, że kiedy walka się skończy i kraj będzie zjednoczony, chciałby mieć dzieci, malutkie dzieci. Jego wyznanie nie brzmiało wcale nieprawdziwie, ale też nie wydawało jej się, że kiedykolwiek to może nastąpić. Słysząc to poczuła ogromne, wariackie pragnienie, żeby znowu być młodą, żeby mieć malutkie dzieci.

- Właśnie dlatego obcinam włosy - mówi do zamierającego światła we własnym wnętrzu i do cieni w pokoju, do świata, który pędem ucieka nie dając czasu starym, ale też niewiele czasu zostawia młodym. Wyzwanie. Kara. A może było to pożegnanie.

Bez zastanowienia wybiera jedno pasmo, wkłada je do metalowego pudełka, w którym schowała kopertę z napisem: OTWORZYĆ PO MOJEJ ŚMIERCI. Policja przetrząsnęła je, ale zobaczywszy tylko kartki z mszy, nie zawracała sobie głowy, żeby je zabierać. Josie ma nadzieję, że pewnego dnia ktoś to przeczyta. Ktoś usiądzie na parapecie i będzie czytał:

Nie byłam gotowa do tego, żeby mieć dziecko. Kołyska, którą Jamie przyniósł z piwnicy, wyglądała na najbardziej opuszczoną ze wszystkich rzeczy. Należała do jego rodziny. Była dla mnie czymś obcym. Nie mogłam sobie wyobrazić, że jej używam. Kobieta, do której poszłam, mieszkała dwadzieścia mil stąd. Nie pytała mnie otwarcie, po co przychodzę, już wiedziała. Nazywali ją Onnie. Nie miała nazwiska. Komin jej domostwa kopcił. Powiedziano mi, że właśnie w ten sposób rozpoznam jej dom: brama ze stróżówką, osłonięta drzewami i komin, który kopci. Pojechałam tam na rowerze, ale już na nim nie wróciłam. Wewnątrz też śmierdziało dymem. Onnie dała mi jakiś środek, coś podobnego do brązowych indyczych korali, które wypiłam z emaliowanego kubka. Potem

położyłam się na łóżku, a ona wzięła drut i zaczęła we mnie grzebać i wywracać wszystko do góry nogami. Powiedziała, że jeśli będę ryczała z bólu, to przestanie. Dała mi jakiś przedmiot do trzymania. Był to siatkowy koszyk ze sztuczną skorupką jaja w środku, a kiedy na niego naciskałam, skorupka otwierała się i wyskakiwało z niej kurczątko i piszczało, żółte kurczątko z materiału. Starałam się wyobrażać sobie, że ten drut przeszywa jego gardło, a nie mnie. Wszystko we mnie było krwawiącą raną. Gdybym krzyczała albo wyła, miała przestać. Tak mi powiedziała. Naciskałam na siateczkę dziesiątki razy i kurczątko śpiewało piskliwym głosikiem. Potem usłyszałam, jak coś we mnie chlusnęło, niczym woda w świeżo wykopanej studni. Nie myślałam o mężu. Był daleko. Kazała jakiemuś mężczyźnie odwieźć mnie do domu samochodem, rower przywiązali na dachu.

Jedynie Brid wyczuła pismo nosem. Zobaczyła, jak wchodzę niepewnym krokiem i nic się nie odezwała. Polerowała przybory do palenia w kominku. Zapukała do drzwi WC i powiedziała, że na dworze czeka ktoś, kto chce mnie widzieć.

Pierwsza kropla krwi była gęsta i ciemna, jak karaluch, nie chciała spłynąć. Za każdym chluśnięciem krew stawała się coraz bardziej brązowo-fioletowa. A potem zbiornik wysechł.

„Nigdy nie byłoby normalne" - tak właśnie powiedziałam. Na dworze czekała na mnie Cyganka, ta sama, która już kiedyś do mnie przyszła. Dałam jej wtedy sandały i stare ubrania. Brid powiedziała, że mam wyjść i dać jej trochę pieniędzy. Dodała że to, co właśnie się dzieje, skończy się dobrze, jeśli na dłoni Cyganki nakreślę krzyż monetą.

„Daj jej szylinga", poprosiłam, ale Brid odparła, że nie ma szylinga.

„Daj jej zatem cokolwiek, co tylko mamy", zdecydowałam.

Potem Brid chodziła do pompy, napełniała wiadra wodą i zostawiała je za drzwiami. Wiedziała.

„Niech pani wyjdzie, proszę pani", błagała.

Krwawiłam jak zarzynane prosię. Przynosiła ręczniki, najpierw jeden, potem następny. Pomogła mi wejść na górę. Pościeliłyśmy łóżka i położyłyśmy się w nich, w tych naszych namokłych łóżkach.

Przemierzają mila za milą dwupasmowe szosy, asfaltowe, polne, a potem górskie drogi nie dość szerokie, żeby mogły się minąć dwie furmanki. Ross nienawidził tego krajobrazu. W momencie, gdy wyjeżdżał z miasta lub przedmieść, czuł się do niczego, brakowało mu sklepów i dziecinnych wózków, i zapachu ryby z frytkami. Nie miał pojęcia dokąd jedzie. Zmobilizowano go w bardzo krótkim terminie; zawsze tak jest, kiedy wzywają go do trudnej roboty. Dzika okolica i z każdą chwilą staje się coraz dziksza. Dlaczego ktokolwiek chce tutaj mieszkać, dlaczego opuściwszy to miejsce, chce tutaj wracać? Chaty, pogrążone w ciemności, i psy, jak wściekłe hieny biegną za jeepem, obszczekują go, a potem dają za wygraną. Wielkie składowisko śmieci. Góry sięgające nieba. Żadnych świateł, tylko ciemność i mrok. Cmentarz z wysokimi nagrobkami, stłoczonymi jak domy w mieście. Siedzą naprzeciwko siebie: ośmiu mężczyzn po czterech na każdej wąskiej ławce. Strażnik Foley, który zna tę okolicę, wskazuje punkty orientacyjne - wodospady, przytułek, puby nazwane imieniem sławnych ludzi graczy w hurley lub patriotów.

- Widzicie ten pub - mówi i pokazuje palcem na ponury, żółty, porysowany budynek na zapomnianym przez Boga i ludzi skrzyżowaniu. Patrzą.

- Są w nim dwie dziury po kulach, tam gdzie Czarno-Brunatni strzelali przez drzwi do ubikacji... Zastrzelili człowieka na miejscu.

To są fragmenty historii, fragmenty folkloru. Każdy z mężczyzn napięty z powodu niepewności, ale nie okazują tego otwarcie, lecz na różne pośrednie sposoby - nerwowy tik, ostry śmiech, doprowadzające

do szału zgniatanie puszki po coca-coli. Jeden z nich właśnie niedawno wziął ślub i wolałby być w domu, w łóżku z żoną, inni, którzy nie chcieliby przegapić tej okazji, czują przypływ adrenaliny. Niskie wzgórza i pola wyglądają jak szachownica złożona z kawałków ziemi, oddzielonych kamiennymi murami. Zapomniane przez Boga i ludzi miejsce.

Ross siedzi obok młodego policjanta, jest w tym samym wieku, co on, ale jeszcze ze sobą nie rozmawiali. Mężczyzna siedzący naprzeciwko, sierżant Cleary wygląda tak, jakby rozmyślał nad czymś bardzo istotnym. Pozostali są pełni szacunku dla niego, ciągle powtarzają jego nazwisko, on jednak milczy. Nie może mówić. Myśli o tym, jak było ostatnim razem i co się stanie teraz. Dwie misje w przeciągu kilku miesięcy.

- Jestem tutaj jedynym człowiekiem, który zastrzelił jednego z nich - mówi sam do siebie i wie, że Foley zdaje sobie z tego sprawę i że go za to szanuje. Ale Foley nie wie wszystkiego. Nie wie, na przykład, że jego córeczka, Dolores, zapytała go, czy używał prawdziwych kul i rozpłakała się, gdy powiedział, że tak. Nikt nie wie, co czuł, kiedy to robił i co czuł zaraz potem, gdy zobaczyli tego faceta na drodze, martwego i żywego jednocześnie, mózg był martwy, ale ciało poruszało się i oddychało. Starał się wyrzucić wszystko z pamięci, wykreślić na zawsze i nawet mu się to udało. Kiedyś tylko podczas wesela, na którym zbyt dużo wypił i ktoś zaśpiewał piosenkę o Kevinie Barrym, zaczął myśleć o tym na nowo:

Kevin Barry człowiekiem był młodym,
Młodym człowiekiem, nic więcej.
Kevin Barry swoje życie młode,
Sprawie wolności poświęcił.

Te piosenki wytrącają człowieka z równowagi. Zrobi to znowu. Być może będzie musiał to zrobić przed świtem. Naczelny inspektor wybrał go, ponieważ jest takim dobrym strzelcem. Jeden uzbrojony mężczyzna i kobieta. Czterech Anglików i dwudziestu do trzydziestu Irlandczyków zmierza w kierunku strefy bitwy. A tam samotny mężczyzna z bronią i kobieta. Może użyć jej jako tarczy, może wyprowadzić ją na podest albo wywlec na dach. Polubiła go. Zdarza się od czasu do czasu. Kobiety. Głupio sentymentalne stworzenia. Naczelny inspektor wyznaczył go do tego zadania. Zadzwonił do niego tuż przed północą, żeby powiedzieć, że śniadanie jest na stole. Śniadanie. To był szyfr. Było mu niedobrze.

- Widzisz to jezioro... Złapałem tam małża... Ale był to małż niejadalny... Nie mogłem go zjeść - mówi strażnik Foley.

- Pomóżcie mi rozwiązać parę haseł w krzyżówce - prosi policjant Fogarty.

- Zdaje się, że jest tu bardzo dużo jezior? - pyta nieznajomy policjant.

- Całe mnóstwo... Słyniemy z tego... - wyjaśnia strażnik Foley i wskazuje na wodę, ptactwo wodne i młode trzciny, każe im podziwiać piękno tego wszystkiego.

- Bóg morza. Mały kawałek grzanki albo suchara z aromatycznymi dodatkami na wierzchu. Ko the Ma, który chodził samopas w swym szaleństwie - mówi strażnik Fogarty, odczytując trzy pierwsze hasła.

- Neptun - wykrzykuje strażnik Hanrahan i imię boga morza zostaje wpisane we właściwe miejsce.

- Jak się nazywasz? - cicho pyta Ross swojego kolegi.

- Connor...

- Gdzie się urodziłeś?

- W Ballyglass... W West Cork.

- Czy to Gaeltach *?

* Gaeltach - w Irlandii, obszar, gdzie znaczna część ludności mówi po irlandzku.

- Nie, ale niedaleko.

- Moja ciotka pojechała kiedyś do Gaeltach i przywiozła pobrzeżki *... Mieliśmy tam kuzynkę, zakonnicę.

- ***Canapés*** - krzyczy ktoś inny i drugie hasło zostaje wpisane we właściwe miejsce.

* pobrzeżek (ang. periwinkle) - gatunek jadalnego małża.

** canapés - rodzaj kanapek.

- Co to, do diabła, są ***canapés...*** Czy to jakieś owoce?

- Nigdy nie słyszałeś o ***canapés...*** Jesteś człowiekiem z bagien.

- To takie coś z czymś na wierzchu... Moja ulubiona to krewetkowa... Z krewetkami z Zatoki Dublińskiej - mówi ten, który rozwiązuje krzyżówkę i zwilża swój brązowo-fioletowy ołówek, jednocześnie rozpływając się w zachwytach nad nieskazitelnym, dziewczęcym kolorem i zalotnym wyglądem tego małego, różowego żyjątka, skręconego spiralnie, które nie wydaje się ani martwe, ani żywe.

- Nie ma już krewetek z Zatoki Dublińskiej - mówi mu ktoś.

- Skąd wiesz?

- Cała ta woda to tylko ściek... Cuchnie.

- Krewetki á la haut - oblizuje się strażnik Fogarty i zastanawia się nad trzecim hasłem, które jest diabelnie kretyńskie.

- Kurwa!

- Jezusie Nazareński!

- O Matko Boska!

Zewsząd padają okrzyki zaskoczenia, bo jak jeden mąż zwalają się na podłogę, jeep utknął w rowie, a czoło kierowcy przylepiło się do przedniej szyby. Wszyscy myślą o tym samym. Dowódca rozwalił się przed nimi. Connor jest pierwszym, który zauważył, że na masce leży rozciągnięte duże zwierzę, sarna albo łania, która przeskakiwała przez drogę od jednego żywopłotu do drugiego, najpewniej tak, jak robiła każdego ranka, wierząc, że ta odludna okolica jest jej własnym środowiskiem.

- Nic ci się nie stało, Mossie? - pyta, kiedy ciągnie kierowcę do pozycji pionowej i klepie go po twarzy, a Mossie przez cały ten czas recytuje swoje przeprosiny, że zwierzę wyskoczyło tak nagle, było niewidoczne, jak jakaś zjawa.

- Nic ci się nie stało? - powtarza Connor raz za razem i proponuje, że pomoże mu wyjść na zewnątrz.

Okrzyki są takie same jak wtedy, gdy zwalili się na kupę, ale teraz wyrażają pełną zdumienia ulgę.

- To przechodzi ludzkie pojęcie... Przechodzi ludzkie pojęcie. - Wpatrują się w młodą łanię, ogłuszoną, ale wierzgającą nogami, w jej czerwone oczy wezbrane jakąś idiotyczną ufnością.

- Jest ciężko ranna - mówi Connor.

- Zdejmijcie ją z maski - rozkazuje sierżant Cleary.

- Jeśli pan pozwoli, sierżancie... - Connor przerywa na chwilę, żeby się upewnić, czy to nie jest z jego strony bezczelne, a potem wypowiada swoje zdanie, że należy ją natychmiast dobić.

- Dlaczego? - pyta sierżant.

- Ma krwotok wewnętrzny... Umiera w środku - tłumaczy i dostaje pozwolenie od sierżanta, żeby to zrobić.

Nie musi się zastanawiać jaką wybrać broń, i podtrzymując karabin ramieniem, celuje w serce łani. Patrzy na nią łagodnie, czule, jak młody myśliwy z wiejskiego landszaftu. Dźwięk wystrzałów kojarzy się Rossowi z odgłosem rozrywanego świńskiego pęcherza, dwie łuski spadają na ziemię, a samo zwierzę nieruchomieje, nie mając nawet czasu na to, żeby się szamotać czy wierzgać.

- Teraz ją wypatroszę.

Nóż muska zamsz na brzuchu łani, Connor tnie zręcznie, a szybkie, delikatne bryzgi krwi, które wypływają na zewnątrz, w ogóle nie sprawiają wrażenia, że są konsekwencją śmierci, ale jak życiodajne strumienie wsiąkają z powrotem w drogę, odświeżoną przez górskie deszcze.

Zwymiotowawszy, Ross ukrywa twarz w żywopłocie, nasycasię jego zapachem, kocha jego niewinny dotyk, jakby zanurzył ręce w kasetce z diamentami.

- Czy to zawsze wydaje taki dźwięk, Connor? - pyta, kiedy młody człowiek podchodzi sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.
- Jaki dźwięk?
- To głuche uderzenie.
- Jakie głuche uderzenie?
- Kiedy pocisk wchodzi w ciało.
- Nie wiem... Pewnie tak.
- To brzmiało tak dziwnie... Było takie stłumione.
- To dlatego ci się tak wydawało, że ogień artyleryjski jest głośny i ciężki.
- Dużo wiesz o broni palnej.
- Jako dzieci mieliśmy karabiny w domu... Strzelaliśmy do bekasów... Nic nie czuła, ta łania.
- Skąd wiesz?
- ...Kula jest w ciele, zanim zwierzę zdąży się zorientować.
- Czy z ludźmi jest tak samo?
- Daj Boże! - wzdycha i obaj schylają się, żeby umyć twarze i ręce w strumieniu. W tej pozycji wyglądają jak pokutnicy, którzy dziękują za coś wielkiego i proszą o wspomożenie w sprawach nieuchronnych, jakie dopiero mają nastąpić.

Stoją teraz w zatłoczonym pokoju, podczas gdy inspektor śledczy udziela im ostatnich wskazówek. Ten wysoki, siwowłosy, znękany, niespokojny człowiek cały czas spaceruje po pokoju i za każdym razem, gdy napotyka krzesło lub stół, przeskakuje na drugą stronę jak pies. Wszędzie leżą mapy i zdjęcia lotnicze, na których inspektor pokazuje istotne szczegóły. Opisuje położenie okien w tym domu, rozkład drzwi i teren, który go otacza - drzewa, stary las, a potem symetryczne linie młodego lasu, gdzie ten wywrotowiec mógłby zbiec. Ale żeby uciec musiałby się okazać niezłym spryciarzem.

żeby przyszedł na górę, do cieplejszego pokoju i przypomina sobie łóżko bez prześcieradła i kobietę, która narzuciła coś na materac, a potem przyniosła kołdrę i stanęła nad nim z lampą i budzikiem, jak pielęgniarka, jak przybrana matka. Odpowiednia kobieta dla niego.

Czas iść. Zatrzymuje go tylko Shiona. Czeka, żeby go dotknęła, żeby była jego osłoną. Myśli, że wstał, ale ciągle śpi.

- Ostatnie dwieście metrów - mówi sierżant Slattery, otoczony przez swoją czteroosobową drużynę. Ross jest wśród nich.

Skradają się cicho. Przywierają do żywopłotów jak zjawy, do żywopłotów otoczonych pierścieniem dzikich róż, powleczonych i obrysowanych mgłą. Jest tak mało światła, że wrony wzbijające się do lotu, mknące naprzód, a potem drepcące po trawie, wyglądają jak silne, młode indyki. Po jednej stronie ciągnie się nieprzerwany pas bezlistnych drzew nakładających się na siebie nawzajem, pogrążonych w jakiejś zabarwionej na śliwkowo mgiełce, a dalej drzewa wiecznie zielone, mila za milą, rozciąga się młody las, i jeśli uda mu się do niego dotrzeć, to znajdzie w nim świetne schronienie.

Ross myśli, że krople rosy na drutach telefonicznych są podobne do różańca, który przysłała mu pewna zakonnica. Rozdzielono go z Connorem, a wolałby, żeby tak się nie stało. Mogliby nawzajem dodawać sobie animuszu. Karabin wydaje mu się lekki, głowa też, jakby mu ktoś wpuszczał do niej nasiona dmuchawca. Modli się, żeby się nie zhańbił, kiedy nadejdzie decydująca chwila.

Zbliżając się do tego domu, który jest taki błękitny i piękny, ale samotny, bo nie używany, czuje jak dech mu zamiera w piersiach. Wszędzie panuje cisza - ściany domu są poplamione, zniszczone przez deszcze i mrozy, z okapu zwisają ptasie gniazda, a pnącza są takie wytrwałe, że ich drobne, ciemne nici, przyczepiające się do tynku,

są jak wypukłe ozdoby rejestrujące sponiewieraną historię tego domu, którą dzisiejszy poranek jeszcze bardziej uwierzytelni.

- Szkoda go niszczyć - mówi, wpatrując się w dom.

- Tego właśnie chcą ci psychopaci, chcą zdewastować wszystkie piękne rzeczy, jakie posiadamy - złości się Foley.

- Ciii, bezszelestnie, chłopcy - ucisza ich sierżant.

Kos z rozchylonym, żółtawym dziobem pełni straż na dolnej gałęzi drzewa, a w domu dwoje śpiących ludzi dalej śni swoje nieposkromione sny.

Sny odeszły, zniweczone przez rozkaz otwarcia ognia. Oddział mężczyzn jest jak grupa myśliwych, tylko bez naganiaczy i psów. Szczęki mają zaciśnięte z determinacją i powagą, z jaką idzie się na spotkanie śmierci. Jakże niespójne wydaje się to wszystko: naładowane karabiny maszynowe i strzelby, olśniewający blask szronu, miękkie, zapleśniałe owoce, wiszące na drzewach jak cukierki, i mężczyźni niczym zjawy zajmujący swoje pozycje. Jak długo to będzie trwać? Dwie, trzy minuty szaleńczej wymiany ognia, czy może on się podda?

Zawiasy frontowych drzwi ustępują pod uderzeniami młota, a same drzwi, niczym pijana kukła, odchylają się cicho do tyłu, wpuszczając sierżanta Cleary'ego i Browne'a oraz dwóch mężczyzn, którzy mają ich osłaniać.

- Zejdź na dół, McGreevy... Zejdź na dół... wiemy, że tam jesteś. - Na dźwięk tych słów budzi się. Brzmienie tego przyjemnego, wiejskiego głosu, który dochodzi do niego przez tubę, przypomina sobie poprzednią noc - kobietę, ich rozmowę, gorący poncz, wreszcie wyskakuje z tego obcego łóżka. Miałem szansę... Kurwa, miałem szansę i zmarnowałem ją, myśli.

Pierwsze trzy strzały z jego rewolweru przebijają malowaną boazerię w pokoju męża Josie i odbijają się w kierunku podestu.

- Jeśli strzelisz jeszcze raz, będziemy zmuszeni odpowiedzieć ogniem.

Z charakterystyczną dla siebie szybkością reakcji, z naturalną, graniczącą z magią zręcznością naciska spust karabinu i wystrzeliwuje cały magazynek jednym ciągłym strumieniem, celując w różnych, całkowicie rozbieżnych kierunkach, żeby stracili orientacje. Być może jest jeszcze jedna, ostatnia szansa, myśli - wczołgać się do rynny na dachu, ukrytej pod stertą dachówek.

- Wypłoszyć go stamtąd.
- Wypłoszyć go stamtąd.
- Obsadzić świetlik w dachu.

Mężczyźni w korytarzu, na schodach, wdzierają się wszędzie. Ich głosy są jednocześnie zuchwałe, popędliwe i dzikie. Wszędzie słychać ostre dźwięki wystrzałów, ta-ta-ta, ta-ta-ta, po jednym, po dwa, po trzy, w regularnym, szybkim i radosnym rytmie. Potem ciężko, gwałtownie osuwa się spadający gips i zrywają się ze snu nietoperze, poruszające się w milczącym, niemal nadprzyrodzonym układzie choreograficznym.

Kiedy się budzi, już wie, co musi zrobić. Naciągnąwszy stary płaszcz przeciwdeszczowy, pośpiesznie rusza do wyjścia, boso. Musi upomnieć ich, musi pośredniczyć między nimi, bo chyba właśnie dlatego przyszedł do niej, a nie do kogoś innego. Dopilnuje, żeby się poddał. Nie przeraża jej wcale zasłona z dymu wystrzałów na górnym podeście ani szybki, niemal radosny ostrzał karabinowy poniżej, jest ślepa i głucha na to wszystko, zdecydowana odnaleźć go, ale zamiast niego w pokoju męża znajduje posiekaną boazerię i makabryczną, kleistą masę, w miejscu, gdzie kiedyś w szafie było lustro.

W odgłosach kanonady jest, w pewnym sensie mniej szaleństwa niż w dźwiękach, jakie wydają ludzie. Cała chmara biegnie na tyły domu, w odpowiedzi na jakieś pilne wezwanie. Nie poruszają się wcale jak śmiertelnicy, ale jak bogowie, wydając dzikie i pobożne, wojenne okrzyki. Przez kontrast terkotanie karabinów jest chłodne,

matematyczne, niemal przemyślane. Woła, ale nikt jej nie słyszy ani nie patrzy w jej kierunku. Właśnie wtedy, gdy stoi na następnym półpiętrze i waha się, strażnik Foley dostrzega ją poprzez długie okno z witrażami - postad poruszająca się w półmroku przed świtem, sylwetkę w płaszczu przeciwdeszczowym, osobę z krótko obciętymi włosami.

- Jest jeszcze jeden uzbrojony mężczyzna... Drugi uzbrojony mężczyzna - mówi i prosi towarzysza, żeby popatrzył, ale ona już odeszła.

- Jesteś pewien?

- Widziałem go...

Kobieta nie czuje lęku. Kiedy idzie, woła, przedzierając się po omacku przez nieprzeniknione kłęby dymu. Muszą wziąć go żywcem. Jego życie składa się z wielu etapów i wiele było w nim punktów zwrotnych. Nie wiedzą o tym. Ale ona wie, przecież go zna. Kiedy wchodzi do drugiej sypialni, gromada wirujących nietoperzy daje jej więcej powodów do trwogi niż nieustanne trzeszczenie, od którego ciągle czuje się oddzielona. Słyszy głosy mężczyzn nad sobą, na dachu i myśli, że już go osaczyli, głosy są odczłowieczone i histeryczne. Josie przechodzi przez pokój, żeby ich zawołać. W połowie drogi zatrzymuje się w dziwacznym, przypominającym pantomimę zawieszeniu, bo podłoga nagle usuwa jej się spod nóg, a ona spada. Wie, że jest ranna. Kaskada pocisków, jak rój oszalałych owadów przelatuje wokół niej ze świstem, tam i z powrotem, a potem jakaś kula zderza się z drugą; kobieta otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, bo nogi i dolna część jej ciała wypadają przez sufit i zwisają tak, jakby należały do jakiegoś groteskowego artysty ćwiczącego na trapezie. Tymczasem na dole strażnik Slattery, nawet nie dotykając, wie, że to kobieta, że to są łydki i koślawe paluchy kobiety.

- Słodki Jezu! - mówi ze strachem. A potem, nie panując nad sobą, jakby oszalał, krzyczy na nich, żeby przestali, żeby przestali strzelać, bo kobieta jest ranna.

Głosy, ucieczka, istne piekło, wszystko zagłuszone przez straszliwy łoskot walącej się balustrady. Uzbroiwszy się w cierpliwość, McGreevy czeka jak w kokonie, w koronach wiecznie zielonych drzew, pełznąc z gałęzi na gałąź jak Szalony Sweeney w znanym wierszu.

- Zamknijcie... - mówi do wron, które siedzą wokół niego w idiotycznym osłupieniu, a przed nim wyzwolenie - akry sosen i świerków, i śliska jak węgorz ciemność, przez którą przemknie i zniknie. A potem, z niedowierzaniem wstrzymując oddech, wyczuwa obecność kogoś innego. Przez koronkę oszronionej zieleni widzi karabin, który robi wyłom w jego osłonie, a w odległości nie większej niż trzydzieści centymetrów wystraszoną twarz.

- A dokąd to, McGreevy? - pyta policjant, a drżenie w jego głosie jest oznaką zdumienia.

Jeszcze jedna, ostatnia szansa. W milczeniu, dysząc ciężko, mocują się ze sobą, każdy z nich za pomocą wolnej ręki, szarpiąc i odsuwając od siebie drugiego, jak zwierzęta zwarte w jakiejś pierwotnej, brutalnej walce, aż w końcu zdobywa nad nim przewagę, wciska tego drania kolanem w zagłębienie drzewa i już ma wyrwać mu spluwę, kiedy przyroda, ta suka, zdradza go, i McGreevy ześlizguje się z mokrej, omszałej gałęzi na ziemię, uderzając o nią miękko jak worek.

- O Jezu Chryste, łapcie go! - krzyczy ktoś, a potem kula muska jego kostkę i mijając go, uderza w pniak, który wyskakuje w powietrze, po czym rozpada się na drobne kawałki.

- Nigdzie nie ucieknie... Jego karma* wyczerpała się - mówi Rory,

* karma - (w buddyzmie) suma dobrych i złych uczynków, myśli i słów człowieka, która wyznacza jego los w nowym wcieleniu.

z rozpromienioną twarzą i gratuluje młodemu strażnikowi, że wywęszył tamtego na drzewie.

Wtedy rzucają się na niego, wykrzykując rozkazy, żeby rzucił broń, podniósł ręce do góry, położył się twarzą w dół. Rewidują jego szczupłe ciało przez kamizelkę i dżinsy i badawczo przyglądają się jego twarzy, szukając lęku, wstydu, szoku albo śladu jakichkolwiek uczuć.

- Mamy go, chłopaki... Mamy go, chłopaki! – krzyczą jeden przez drugiego, aż docierają do grupy, która jest w domu, i odpowiada im chełpliwe echo, krzykliwe niczym pianie koguta. Trzask kajdanków brzmi jak zgrzyt klucza przekręcanego wewnątrz czaszki, zgrzyt, który odcina go od świata, przygotowując do wędrówki w kierunku sześciennego lochu.

Osiem lub dziewięć twarzy wpatruje się w niego, wgapia z tryumfem, który nie przypomina okrzyków radości wydawanych przez kilku mężczyzn, lecz jednobrzmiący dźwięk, głos potwierdzenia, że słuszność i prawda leżą po ich stronie. Jest to urągający głos ziemi, tej ziemi, której zaprzysiężony był od urodzenia.

Palący ból w kostce w pewnym sensie przynosi mu ulgę, a krople na wpół roztopionego szronu, kapiące z drzew, są jak łzy, albo woda święcona, którą ktoś go skrapia.

- Wyciągnijcie tego skurwiela... - odzywa się Rory głosem pełnym nienawiści i natarczywości, powtarzając to zdanie coraz to wyższym tonem. Wewnątrz, w karetce, było ciemno i przytulnie, czuł się bezpieczny - odizolowany od wrzawy i obelg, wsunięty do środka jak taca z chlebem, noga bolała nieznośnie, ale był bezpieczny. A potem znowu ten zimny i mokry świt, położyli go na trawie i przechodzą nad nim, jakby chcieli rozdeptać na miazgę.

Czuje rosę, zgarnia ją palcami. Właśnie widzi, jak wywlekli na noszach kobietę, kropla krwi na jej skroni wygląda jak drewniana

truskawka, świeża i lśniąca. Jakiś młody strażnik lamentuje, pochylając się nad noszami.

Cormac pochyla się nad kobietą, powtarzając w kółko to samo, powtarzając w kółko, że żałuje. Jego nowy przyjaciel, Ross, odciąga go od noszy, twierdząc, że to nie była jego wina, że to się mogło przytrafić każdemu, jakaś przeklęta kula, która odbiła się rykoszetem do góry, przeszła przez sufit i poleciała, gdzie jej się żywnie podobało.

- To smutny koniec tego wszystkiego - mówi sierżant Slattery.
- I jeszcze zamieszanie, jakiego narobił wywiad - dodaje inny.
- Jak to możliwe, że jest tak mało krwi? - pyta Cormac, a potem, głosem przypominającym zwierzęce wycie, wykrzykuje to pytanie w stronę niewyspanych twarzy stojących wokół niego kolegów. Wszyscy choć mu współczują, jednocześnie rozkoszują się i weselą tym przerażającym, zdławionym uniesieniem mężczyzn, którzy razem dokonali czegoś niebezpiecznego. Pyta o to wrony - o wilgotnych, bezlitosnych oczach, i wiekowe pozieleniałe mury obracające się wniwecz. Pyta, dlaczego kula, która zabiła, chce pozostać w środku, żyć w środku niczym jakiś wybryk natury.
- Znałem ją dobrze - mówi strażnik Gallagher i klęka przy kobiecie, jak mógłby to zrobić krewny, żeby uchwycić jej ostatnie słowa. Ale nie ma żadnych. Nikt nigdy nie pozna ostatnich myśli Josie ani jej ostatnich słów. Widzą kobietę o bladej jak białko w skorupce jaja twarzy, z kroplą krwi jak jagoda i zastygłym grymasie wokół ust, sugerującym niedokończone zdanie.
- Nie ma większego głupca niż stary głupiec - mówi Matt i myśli o tym, że widział coś, czego nikt inny nie wie, coś sprośnego, obrzydliwego - tych dwoje wijących się na podłodze, a potem wychodzących na dwór, żeby rzecz dokończyć. Co teraz mówiła swojemu Stwórcy?

- Musiała umrzeć - mówi sierżant, wysoki mężczyzna, który trzyma w dłoni lśniącą gałązkę wawrzynu. Za co? Za Irlandię. W imię męczeństwa. Kurwa, za wszystko.

Wiele głosów pyta, ale żaden nie odpowiada, tylko wrony wystraszone hałasem krążą i wirują, jak oszalałe kreślą koła nad ich głowami.

- Udzieliła mu schronienia... - dodaje sierżant i z powagą wsuwa tę zieloną gałązkę pomiędzy jej złożone dłonie, jakby była posągiem. W tym momencie jakiś ptak, na pewno nie wrona, obniżył lot i wydawało się, że wypił odrobinę krwi ze skroni kobiety, zanim odleciał.

- To nie jest zwyczajny ptak - mówi pielęgniarka i każe im uklęknąć, i odmówić Akt skruchy. Cormac nie może uklęknąć i nie może się modlić. Chciałby pójść do lasu i zastrzelić się, tylko że zabrali mu karabin dla potrzeb przesłuchania.

- Wszędzie byli ludzie, którzy strzelali i ja też strzelałem... Myślałem, że to moje zadanie. - Wykrzykuje to na całe gardło, tak że jego głos niesie się przez zarośnięte ostami pola, a potem wzdłuż drogi, do wsi, gdzie właśnie przenikają wieści o tym wydarzeniu.

- Przestań się zadręczać - pociesza go sierżant Slattery, a inni zapewniają, że to nie jego wina, lecz tej szumowiny, tego mężczyzny, który leży tam, a w jego oczach nie ma ani jednej łzy. Teraz skupiają się na nim. Niektórzy pochylają się, jakby mogli zajrzeć do jego wnętrza, zajrzeć do jego chorego umysłu, i to, co zobaczyli, zapisać dla innych. Jego twarz jest bez wyrazu, jak usypana z proszku, pokryta talkiem, a żyły na skutych kajdanami przegubach wydają się niebieskie i nabrzmiałe i wyglądają tak, jakby krew w nich zakrzepła.

- Wariat, który wziął cały kraj jako zakładnika - mówi ktoś, a Rory kiwa głową. Przypomina sobie córkę Aoife, jej ataki lęku, i to, że mówi przez sen, lunatykującą żonę i całą rodzinę, która ciągle się sprzecza.

- Niewiele ponad metr siedemdziesiąt wzrostu – szydzi strażnik Foley i obchodzi nosze dookoła, aby się upewnić, czy nie jest w błędzie.

- Ciekawe, że cię nie ugryzł - zastanawia się Matt, przypominając sobie faceta złapanego w pobliżu Nenagh, który tak capnął zębami strażnika w łydkę, że aż przegryzł mu ubranie.

Padają różne głosy, każdy z policjantów wykonuje inne gesty. Niektórzy chcieliby z miejsca zabić go kopniakami, inni chcieliby widzieć, jak będzie wisiał, a jeden, ten wysoki sierżant z zieloną gałązką, chciałby tylko zadać mu jedno pytanie: „Co sprawiło, że jest taki, jaki jest?"

- Znałem jedną z twoich nauczycielek ze szkoły – mówi z poczuciem beznadziejności.

Żadnej odpowiedzi.

- Gnida - odzywa się Matt i kopie go w jedną z gołych stóp.

McGreevy wyglądał jakby nie słyszał i nie zamierzał nigdy usłyszeć. Leżał tam samotny, nieruchomy, otoczony cienką aureolą deszczu, a jego oczy patrzyły w górę na kilka bladych gwiazd, które na powrót roztapiały się na tle nieba.

- A, nasz rycerz w lśniącej zbroi - mówi sierżant Slattery, kiedy dostrzega inspektora śledczego, który wyłania się z samochodu i szybko idzie w ich kierunku. Najpierw jednak spogląda na kobietę leżącą w karetce i zwraca się do pielęgniarki. Następnie skłania głowę każdemu ze swoich ludzi, nie wyróżniając szczególnie żadnego. Oczywiście wie, że to Cormac oddał ten fatalny strzał, a nawet gdyby nie wiedział, i tak poznałby to po jego spuszczonej głowie i różowych dłoniach, które chwytają powietrze prosząc o zmiłowanie.

- Osiągnęliśmy wielki sukces, ale też spotkała nas bardzo smutna rzecz - mówi, a potem przykuca, żeby powiedzieć coś McGreevy'emu. Dwaj przeciwnicy, którzy tropili się nawzajem jak polarne zwierzęta, przez trzęsawiska, góry i kamieniołomy, aż w końcu stanęli twarzą w

twarz. Nie może uwierzyć, że ten drobny człowiek, który wszystkim wydawał się uosobieniem dwudziestu mężczyzn, leży tam w dżinsach i pomarańczowej kamizelce z wizerunkiem boga słońca. Wspomina tę noc, kiedy gonił go w Wexfordzie i zgubił na Vinegar Hill, a potem następnego ranka w obozie cygańskim, gdzie zatrzymała go jakaś kobieta rozrzucająca gałęzie, żeby wprowadzić go w błąd. Pamięta wszystko - godziny nadliczbowe, rozmowy telefoniczne, brak snu, i to, że nie mógł nawet pójść na swoją małą żaglówkę, żeby pomyśleć. Wszystko dopełniało się teraz w tej upiornej, pełnej dramatycznego napięcia sytuacji.

- Zimno ci? - pyta.

Nie ma odpowiedzi. Jest tylko ten nieruchomy kształt, jakby został tam odlany.

Jego ludzie obserwują, jak inspektor odchodzi, chudy i wynędzniały, ręce trzyma za plecami, i jest w nim jakaś straszliwa powaga, kiedy zbliża się do domu. Przez otwór, w którym kiedyś były drzwi, widzi poobijane, podziurawione kulami ściany, powykrzywiane schody i owinięty wokół nich wieszak na kapelusze, na którym beztrosko wisi stare futro. Wewnątrz jest gorzej. Z tyłu, gdzie eksplodowały materiały wybuchowe, drewno, metal i szkło leżą w dziwacznych konfiguracjach, szczątki ściany chwieją się jak obluzowane zęby w dziąsłach. Tam, gdzie obraz Chrystusa i dziewic rozprysł się po ścianie, wciskając się w nią niczym fresk, została tylko bezkształtna masa farby.

- Mogła tutaj być rzeź - mówi jeden z ludzi z sądu. Za pomocą taśm i kamer odtwarzają linie ognia, śledzą, skąd nadleciały kule, którędy przeszły, zaznaczają drogę kobiety idącej z jednego pokoju do drugiego, a on myśli, że najbardziej ponurą robotą ze wszystkich jest pomiar koleiny śmierci. Będzie odpowiadał za jej śmierć przed tymi na górze i przed samym sobą. Ten młody chłopak także odpowie, choć nie powinien się znaleźć w tym miejscu w tamtej chwili. I jeszcze ten mężczyzna leżący na noszach z niezachwianym przekonaniem

Mesjasza. Ludzki błąd. Ludzkie okrucieństwo. Głodne, kraczące wrony.

- Mogła - przytakuje tamtemu człowiekowi, patrząc w górę przez dziury w suficie na kawałki nieba, na bezwstydne słońce i bezwstydny dzień, i słyszy, jak syrena karetki zaczyna wyć, jak jej dźwięk staje się coraz wyższy. Irytuje go to rozpaczliwe jodłowanie, o którym zawsze myślał, że jest na wpół ptasie, na wpół zwierzęce.

Jego gniew już minął, piękno i niepowtarzalne cechy tego domu zostały całkowicie zniszczone, kobieta nie żyje, a tak zwana „walka" osiągnęła już następny etap. Stoi nad McGreevym i ogarnia go zimna i wściekła determinacja, żeby zetrzeć na proch tę nienawiść i fanatyzm, które z niego promieniują, i dobrać się do niego. Wie, że w powykręcanych i rozdartych zakamarkach jego umysłu znajduje się coś w rodzaju sumienia i odpowiedzialności. To odróżnia go od innych, tkwi w nim powaga, która każe innym darzyć go szacunkiem, i daje mu tę nieprzeniknioną aurę męczennika.

- Mogłeś dużo zrobić dla swojej sprawy i swojego kraju, McGreevy... ale wszystko, co zrobiłeś, to śmierć, śmierć i jeszcze raz śmierć.

McGreevy nie porusza się ani nie odpowiada, wygląda tak, jakby ześlizgiwał się w niewidzialność, tak jak wieczorem linia brzegowa wtapia się w blade niebo.

- Czy mamy zabrać go na posterunek? - pyta strażnik Gallaghe.

- Nie... Czekają na niego w Dublinie - odpowiada inspektor śledczy, wypatrując jakiejkolwiek reakcji McGreevy'ego, jakiegoś ludzkiego odruchu. Ale on leży tam samotny i nieruchomy jak dziecko, które właśnie zostało wysłane do obcego świata.

- A więc z powrotem na stare śmieci - stwierdza jeden ze strażników, kiedy dwóch innych bierze go pod pachy i niesie w kierunku

rozwartej czeluści więziennej suki. Spotkali się kilka lat temu, gdy strażnik ten na granicy zakuwał go w kajdanki. Pytał go wtedy o kolor oczu, ponieważ były jakieś spory na ten temat, a on, wykrzywiając twarz, powiedział mu, że są zielone, ale czy to miało jakieś znaczenie. Teraz zrobiły się inne, zimne i zawzięte. Ufność opuściła ten kraj i tych ludzi, stare wojny, stare okrucieństwa zostały wyparte przez jeszcze bardziej nieuczciwe i gorzkie, a brat już nie wzdychał ciężko nad przelaną krwią brata.

- Dostanie ze trzydzieści lat - mówi drugi strażnik rubasznie i pochyla się nad nim, żeby przyjrzeć się uważnie tym niewidzącym oczom i temu głupiemu tatuażowi, który wygląda jak skarabeusz.

Kim on będzie za trzydzieści lat? Czym się będzie zajmował? Czy ta ziemia w końcu się nasyci? Czy będzie mu ciężko na sercu? Czy też wszystko pozostanie takie, jakie jest?

Dziecko

Minęło kilka miesięcy. Wiosna nadeszła o tydzień wcześniej, powietrze straciło ostrość, było słodkie jak miód. Płatki, białe i żółte, obsypane pyłkiem, unosiły się nad ziemią. Wszędzie było ich pełno. Nawet kamienie na polach i wielkie głazy narzutowe nie wyglądały już tak gniewnie. Złagodniały. Była w nich jakaś pulchność. Drzewa wydawały się bardzo przyjazne i zielone, zwłaszcza kasztanowce z długimi kitkami, które przypominały świeczki. Bardzo chciałbym zobaczyć je zapalone. Ludzie otworzyli okna. W wielkim domu nie było to potrzebne. Nie było już ścian ani okien, a wnętrze stanowiło jedno ze światem zewnętrznym. Ptaki porobiły w środku gniazda, a zwierzęta harcowały tu i tam, meble, obrazy i pręty podtrzymujące chodniki na schodach wyrzucone walały się po trawie. Dom czekał na sprawę w sądzie, sprawę spadkową, tak się to nazywa. Zajrzałam do środka. Nie wchodziłam. Ludzie pojawiali się tu bardziej po to, żeby się gapić, niż żeby opłakiwać zmarłą. Pielęgniarka zabrała rzeczy mojej matki w walizce, ale nosiła ten żakiecik z aksamitnym kołnierzem, paradowała w nim. Myślałam, że śmierć mojej matki przyzna mi prawo do życia, lecz tak się nie stało. Tak samo jak ten żołnierz myślał, że odebranie życia Anglikowi wynagrodzi całe wieki krzywd, ale jakże by mogło. Serce tego żołnierza pełne było mrocznych

i brutalnych myśli, lecz Anglicy okazali się całkiem bez serca, jeśli chodzi o nas. Kiedy matka umierała, krzyczała. Gdy odbieramy komuś życie, krzyczymy jednym tonem, ale kiedy tracimy własne, krzyczymy inaczej. Dwa akordy, które muszą się spotkać. Jakże często, widząc ją w jednym z pokoi przed lustrem albo lakierującą paznokcie, zazdrościłam jej życia i urody, życzyłam jej śmierci. Teraz nie żyje, została pochowana wraz ze swoją urodą, a ten żołnierz będzie starym człowiekiem, zanim znowu przejdzie przez te pola.

Góry w nocy zmieniają barwę i poważnieją, tak samo jak ludzie zmieniają się, gdy rozpocznie się strzelanina. Wszystko jest wtedy takie drastyczne. Wszystko jest podziurawione jak sito. Sprawca i ten, w którego czyn był wymierzony. „Albowiem zabójca jest blisko zabijanego". Z bliska i z dalekiej przeszłości dochodzi płacz i zgrzytanie zębów. Groby i kurhany, i jeszcze więcej grobów, i posąg, i farbowany goździk, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie doszło do niespodziewanej rzezi. Ona płacze, ta ziemia płacze, i nic dziwnego. Ale tej ziemi nie da się zabrać. Historia to udowodniła. Ta ziemia nigdy nie zostanie zabrana. Ona jest tam. „Albowiem zabójca jest blisko zabijanego". Tak napisano w pewnej książce. Ale nie wystarczy, żeby ciała były blisko albo bagnety. Wejść do środka, do wnętrza, to najkrwawsza ze wszystkich podróży. Do środka wchodzisz, żeby wiedzieć, że ta sama krew i te same łzy płyną z wroga, i z ciebie, chociaż nie zawsze w jednakowych proporcjach. Żeby dotrzeć do samego jądra nienawiści i zła, i zaczerpnąć z niego, i dać zaczerpnąć z siebie. Tego nie napisano w książkach. To wiedza przyszłości. To wiedza, którą dopiero zdobędziemy...